3–4/2021

Nowa Europa Wschodnia

www.new.org.pl Dwumiesięcznik maj–sierpień 3–4 (75) / 2021 ISSN 1899-5543 Indeks 245534 Cena 19,90 zł (w tym 8% VAT)

W pułapce dezinformacji

Cimoszewicz | Kardaś | Kazdobina

ILE ŚWIAT ZNACZY DLA ROSJI

Dmitrij Trenin

Na nowych drogach Ukrainy

Ziemowit Szczerek

Jesteśmy dziećmi Litwy. LGBT na Litwie

Dominik Wilczewski

Polska Polityka Wschodnia

Bryc | Szerepka | Wańczyk

ISSN 1899-5543

eprasa.pl d185a8d253

REKLAMA



eprasa.pl d185a8d253

Nowa Europa Wschodnia

eprasa.pl d185a8d253

eprasa.pl d185a8d253

Zacznijmy od siebie

Najnowszy numer „Nowej Europy Wschodniej" rozpoczynamy ankietą na temat polskiej polityki wschodniej. Ukraina i Białoruś – państwa niegdyś tak ważne dla polskiego myślenia o Wschodzie – dziś znajdują się na marginesie debaty. Wobec Rosji brakuje jakiejkolwiek polityki. Ekspercki głos w sprawie Wschodu, czyli to, co jeszcze kilka lat temu było naszym znakiem firmowym w Unii Europejskiej, jest ledwie słyszalny. Nasze miejsce (w formułowaniu opinii, wypracowywaniu rekomendacji, polityce pomocowej) zajęła Litwa. Pogrążona w sporach i przejawiająca autorytarne ciągoty Polska przestaje się liczyć. Białoruska aktywistka i artystka Jana Shostak urządza w naszym kraju codzienny happening – minuta krzyku w proteście przeciwko łamaniu praw człowieka na Białorusi. Krzyk Jany jest przejmujący do kości. Można dość wulgarnie spytać, bo takie pytania się pojawiają: „A co my, Polacy, w ogóle możemy zrobić? Przecież nie obalimy Łukaszenki". Zrobić możemy dużo. Możemy interesować się Wschodem, badać go, sondować potrzeby tamtejszych społeczeństw, wspierać ludzi zmuszonych do opuszczenia swojego kraju. Odpowiedniego wsparcia nie udzieliliśmy choćby Romanowi Protasiewiczowi, którego na rozkaz Łukaszenki porwano z pokładu pasażerskiego samolotu. Więcej: prawicowi publicyści dokonali na torturowanym i złamanym przez reżim młodym mężczyźnie zaocznego sądu. Możemy też promować wschodnią kulturę. I przede wszystkim: powinniśmy zaangażować się w wypracowywanie i realizację unijnej polityki wobec Wschodu. Tylko spójna polityka unijna może być skuteczna, osamotniona Polska nie jest tu żadnym poważnym aktorem. Ale do tego trzeba, w pierwszej kolejności, zadbać o porządek konstytucyjny i prawny we własnym kraju.

Redakcja

eprasa.pl d185a8d253

Spis treści

Rozmowa numeru

Rozmowa z Radosławem Marzęckim **Młodzież – barometr zmian** 7

Publicystyka i analizy

Polska Polityka Wschodnia
Rozmowa z Leszkiem Szerepką **Po pierwsze: wyciągajmy wnioski**..... 25
Agnieszka Bryc **„Jesteśmy gotowi!" Naprawdę?** 34
Kacper Wańczyk **W tym tekście nie piszę o Giedroyciu** 41

Rozmowa z Dmitrijem Treninem **Rosja – czas dojrzewania**..... 47
Dominika Kardaś **Dezinformacja po środkowoeuropejsku**..... 57
Rozmowa z Julią Kazdobiną **Pomiędzy prawdą i kłamstwem**..... 66
Rozmowa z Włodzimierzem Cimoszewiczem **Zewnętrzne formy nadzoru**..... 73
Ziemowit Szczerek **Dwa lata z Ze**..... 79
Piotr Pogorzelski **Na wojnie z oligarchami** 87
Dominik Wilczewski **Też jesteśmy dziećmi Litwy** 95
Rozmowa z Andrzejem Pisalnikiem **Ostateczne rozwiązanie kwestii polskiej**... 103
Krasimir Krumow **Wybory w Bułgarii – długa droga donikąd** 110

Reporterzy na Wschodzie

Rozmowa z Moniką Andruszewską **Nie powiem: „Dziękuję! Spadam na inną wojnę"** 118

Kultura

Anna Łazar **A czego tu się bać? Tak ma być** 127

Historia

Sławomir Popowski **Początek końca**..... 134

Reportaż

Miłosz Szymański **Pieskie życie w Gruzji** 151

eprasa.pl d185a8d253

Konteksty

Rozmowa ze Złatkiem Enewem **To nie jest opowieść „o nich”** 166

Recenzje

Urszula Pieczek **Nie ma już** 173
O książce Roberta Nowakowskiego *Ojczyzna jabłek*
Wojciech Górecki **Jak to z Kozakami było** 175
O książce Leszka Szerepki *Kozacy w Rosji Borysa Jelcyna (1989–1999)*
Grzegorz Nurek **Wołyń, czyli rubieże** 181
O książce Natalii Bryżko-Zapór *Pogranicze wszystkiego. Podróże po Wołyniu*
Anna Maślanka **Z fantazją w kuchni i w życiu** 183
O książce Michaela Žantovský'ego *Havel od kuchni*
Katarzyna Rodacka **Lektura do kawy** 184
O książce Božidara Jezernika *Kawa*
Michael Morys-Twarowski **Książę Lew** 185
O książce Leontija Wojtowycza *Lew Daniłowicz. Książę halicko-wołyński (ok. 1225–ok. 1301)*
Grzegorz Nurek **Car dobry, tylko bojarzy źli** 186
O książce Barbary Włodarczyk *Szalona miłość. Chcę takiego jak Putin. Reportaże z Rosji*
Małgorzata Nocuń **Białoruś inaczej** 189
O czasopiśmie „Herito” 2021, nr 41
Maciej Topolski **Piękno tkwi w twoim wnętrzu** 190
O książce Petry Hůlovej *Krótka historia Ruchu*

eprasa.pl d185a8d253

Nowa Europa Wschodnia

Dwumiesięcznik

Wydanie zostało dofinansowane
przez MIASTO WROCŁAW

Wrocław miasto spotkań

www.wroclaw.pl

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania. Redakcja ceni swobodę wypowiedzi i różnorodność opinii, dlatego teksty publikowane w „Nowej Europie Wschodniej" nie muszą być zgodne z poglądami Wydawcy ani Redakcji. Rozpowszechnianie materiałów redakcyjnych bez zgody Wydawcy jest zabronione. Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść zamieszczanych materiałów promocyjnych.

REDAKCJA
Łukasz Grzesiczak, Sonia Knapczyk, Anna Łazar, Małgorzata Nocuń (redaktorka naczelna), Urszula Pieczek, Ewa Polak, Krzysztof Popek, Sławomir Popowski, Zbigniew Rokita, Wojciech Wojtasiewicz, Kamila Zimnicka (korekta)

WSPÓŁPRACUJĄ: Piotr Andrusieczko, Kuba Benedyczak, Jan Brodowski, Kamil Całus, Maciej Falkowski, Wojciech Górecki, Iwona Kaliszewska, Piotr Kępiński, Wojciech Konończuk, Kamil Kłysiński, Tomasz Kułakowski, Grzegorz Nurek, Piotr Oleksy, Piotr Pogorzelski, Witalij Portnikow, Jadwiga Rogoża, Ziemowit Szczerek, Andrzej Szeptycki, Marcin Wojciechowski

PRENUMERATA
prenumerata@new.org.pl
Informacja o prenumeracie:
www.new.org.pl

WINIETA I PROJEKT GRAFICZNY
Piotr Grzyb

SKŁAD, ŁAMANIE I OKŁADKA
Małgorzata Chyc | AT Wydawnictwo

ADRES REDAKCJI I WYDAWCY
Kolegium Europy Wschodniej
im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego
we Wrocławiu
Zamek Wojnowice
ul. Zamkowa 2, 55-330 Wojnowice
tel. +48 71 341 71 97
office@kew.org.pl, www.kew.org.pl

„Nowa Europa Wschodnia"
ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków
redakcja@new.org.pl, www.new.org.pl

Partnerem wydania jest Fundacja Znak

Fundacja Znak

ISSN: 1899-5543
ISSN: 2084-3992 (online)
Cena 19,90 zł (w tym 8% VAT)
Nakład 2000 egz.

eprasa.pl d185a8d253

Młodzież – barometr zmian

Z Radosławem Marzęckim, politologiem i socjologiem,
rozmawiają Łukasz Grzesiczak i Urszula Pieczek

„NOWA EUROPA WSCHODNIA": Zajmuje się Pan badaniem młodzieży. Ostatnio opublikował Pan książkę *Pierwsze pokolenia wolności. Uwarunkowania i wzory partycypacji w sferze publicznej polskich i ukraińskich studentów*. Zanim przejdziemy do kwestii podobieństw i różnic między młodymi Polakami i Ukraińcami, chcemy zapytać o to, czy na podstawie wyników badań nad młodzieżą przeprowadzanych dzisiaj można wnioskować, co czeka nas w przyszłości?

RADOSŁAW MARZĘCKI: Sami Państwo pewnie czujecie, że problem młodzieży, zwłaszcza w debacie publicznej, ale także w dyskusjach akademickich, jest trywializowany. Z jednej strony młodzież przedstawia się jako zagrożenie dla przyszłej demokracji. Bardzo często podnoszone są argumenty, że młodzież pozostaje wycofana, zdepolityzowana. A jeżeli już podejmuje jakąś aktywność, to ma ona najczęściej charakter destrukcyjny. Tę grupę społeczną postrzega się jako źródło nihilizmu i wulgarności. Z drugiej zaś strony – też nieco upraszczającej – młodzież jest zapowiedzią świetlanej przyszłości. „Powinniśmy iść za młodzieżą, bo to oni lepiej dostrzegają drogę", „My, starsze pokolenia, winniśmy podążać za młodzieżą" – można usłyszeć głosy tego typu. Jako naukowiec i badacz uważam, że nie należy przyjmować jednostronnej interpretacji świata, moja aktywność rodzi się w dyskusji z różnymi punktami widzenia. Dlatego nie przyjmuję postulatu bezkrytycznego zachwytu nad młodzieżą, jednak spojrzenie krytykanckie wręcz (nawet nie krytyczne) na młodych ludzi, w których widzi się zagrożenie dla demokracji, systemu politycznego i wartości jest – w mojej ocenie – szkodliwe. Pozostaję zwolennikiem złotego środka, choć moja sympatia leży raczej po stronie młodych ludzi.

Czego możemy się uczyć, obserwując młodzież?

Według klasycznych koncepcji z zakresu socjologii młodzieży, na przykład teorii Karla Mannheima, młodzi ludzie występują w charakterze barometru zmian. Mannheim zachęca, by patrzeć na przemianę ich postaw, hierarchię wartości, którą wnoszą do danego społeczeństwa,

eprasa.pl d185a8d253

jak na papierek lakmusowy, barometr tego, co nas dopiero czeka. To właśnie młodzi ludzie będą stanowić w coraz większym stopniu o kondycji danego społeczeństwa. Ich postawy będą coraz mocniej dominować, naturalnie z każdą fazą życia ulegną zmianie, ale w okresie dojrzewania dochodzi do ważnego momentu kształtowania się postaw. Pozostają one kluczowe dla całego życia. Mimo że postawy mogą ewoluować, to okres młodości stanowi fundament, który, owszem, nieco się zmieni, ale nie radykalnie.

Wielu badaczy zwraca także uwagę na niezwykle ważny moment transformacji ustrojowej. Jeżeli popatrzymy na transformację jako konglomerat trzech sprzężonych ze sobą procesów – politycznego, gospodarczego i społecznego – to dostrzeżemy, że w dwóch pierwszych wymiarach osiągnęliśmy w Polsce sukces. Inaczej rzecz wygląda w państwach Europy Wschodniej, ale kiedy popatrzymy na Europę Środkową – Czechy, Słowację i w pewnym stopniu również Węgry i Polskę – istnieje konsens na poziomie elit politycznych, medialnych i akademickich co do tego, że demokratyzacja i urynkowienie się udały, ale najwięcej problemów pozostało na poziomie odbudowy czy wręcz budowy społeczeństwa obywatelskiego.

Anthony Giddens posługuje się teorią strukturacji, która pozwala wyobrazić sobie, że każde młode pokolenie wnosi do życia społecznego częściowo nowe wartości, a częściowo reprodukuje wartości świata, który ich wychowuje (rodzice, nauczyciele, media, politycy, znajomi, społeczeństwo).

Na to nakłada się teoria pokoleniowej zmiany wartości Ronalda Ingleharta, który wprowadza hipotezę socjalizacji, wedle której ludzie przyjmują postawy uwarunkowane otoczeniem społecznym, gospodarczym i politycznym (trzy konteksty kształtujące ludzkie postawy w okresie socjalizacji). Na nie największy wpływ mają ci, którzy nas wychowują, i warunki, w jakich się wychowujemy. Starsze pokolenia w większości dorastały w innym systemie, ale zmieniające się wraz z transformacją warunki polityczne, społeczne i gospodarcze – struktura społeczna, system polityczny, wolne media, rynek, kultura, otwarcie granic itp. – musiały uformować nowego człowieka, nowy rodzaj postawy.

W tym kontekście właśnie możemy powiedzieć o „pokoleniu wolności".

To pojęcie (także pokolenie transformacji czy pokolenie niepodległości) pojawia się u badaczy specjalizujących się w badaniach obszaru poradzieckiego. U ich podstaw leży przekonanie, że radykalna zmiana warunków socjalizacji musiała w istotny sposób wpłynąć na postawy młodych ludzi i odróżnić

eprasa.pl d185a8d253

ich od starszych pokoleń, które socjalizowały się w okresie komunizmu.

Nie interesowało mnie, na ile młodzi odróżniają się od starszych, bo nie mam takich danych – nie badałem starszych. Ciekawiło mnie, w jakim stopniu młodzi Polacy różnią się od młodych Ukraińców, ponieważ kontekst porównawczy pozostaje dla badaczy kultury politycznej w krajach postkomunistycznych jednym z najciekawszych.

Jakie różnice dają się zauważyć?

Na początku trzeba jasno powiedzieć, że Polska i Ukraina przeszły odmienne drogi transformacji. Oba kraje różnicuje przeszłość, ich potencjał w chwili odzyskania niepodległości, strategie adaptacyjne (w Polsce – terapia szokowa, na Ukrainie zmiany w bardziej stopniowe, niekonsekwentne), strategie modernizacyjne w pierwszej dekadzie transformacji. Zarówno Polska, jak i Ukraina tkwią w odmiennych sieciach międzynarodowych uzależnień, różni je czas pozostawania pod rządami komunistycznymi. I to wszystko wpływa na konteksty socjalizacyjne młodych ludzi, którzy nie mogą pamiętać „starego" systemu.

Jak to wpływa na pokolenia wolności, czyli pokolenie osób wychowanych już po upadku Związku Radzieckiego?

Młodzi ludzie to ważna część społeczeństwa. Stanowią kilkanaście procent uprawnionych do głosowania. Mimo że są najsłabiej zmobilizowani, to ich potencjał jest bardzo duży. Młodzi ludzie nie wyrażają otwarcie swojego zainteresowania polityką, raczej mają poglądy, choć nie postrzegają niektórych kwestii jako polityczne. Posiadają preferencje ustrojowe, zajmują stanowiska w ważnych sprawach. Z refleksji nad młodymi ludźmi płyną także utylitarne korzyści, działania podejmowane przez rządy na polu edukacji, na przykład mogą umożliwić szybszą transformację w sensie społecznym. Jeśli zrozumiemy lepiej młodych ludzi, ich specyfikę, oczekiwania, postawy, wizje, poglądy, to skuteczniej będziemy się mogli z nimi komunikować i wykorzystamy szansę na przyspieszenie zmiany, dokończenie transformacji w wymiarze obywatelskim. W tym też sensie młodzi ludzie mogą się okazać katalizatorem zmian społecznych.

Czy elitom politycznym zależy na upodmiotowieniu młodych ludzi, dodaniu im sprawstwa w życiu społecznym?

W tej kwestii miałbym wiele wątpliwości. Młodzi byli wykorzystywani do zdobycia głosów, ale składane im obietnice nigdy nie zostały zrealizowane. Dotyczy to zarówno polskiego młodego pokolenia, jak i – w większym wymiarze – ukraińskiego. W Polsce to na przykład kazus Ruchu Palikota, na Ukrainie młodzi mówią o tym, jak

eprasa.pl d185a8d253

zmienili kraj dzięki udziałowi w pomarańczowej rewolucji czy rewolucji godności, ale później w żaden sposób nie byli częścią budowania nowego porządku politycznego. Bardzo wyraźnie mówią o tym sami Ukraińcy.

Czy Strajk Kobiet może być wydarzeniem formacyjnym dla młodych Polaków, takim jak dla młodych Ukraińców były pomarańczowa rewolucja i rewolucja godności?

Nie porównywałbym tego. W tekstach publicystycznych, a nawet w grudniowym raporcie CBOS-u na temat Strajku Kobiet pojawia się teza, że to może uformować świadomość młodych ludzi na długie lata, stać się swoistym doświadczeniem pokoleniowym. Mimo że badacze pokoleń wskazują na potrzebę istnienia wydarzenia formującego, to mnie bliższy jest inny punkt widzenia. Wydarzenia takie jak Strajk Kobiet mogą spełniać funkcję wzmacniającą wspólnotą pokoleniową, natomiast pokolenia tworzą się w dłuższym procesie socjalizacji. Pokolenie nie powstanie w tydzień czy miesiąc, tylko w konkretnych warunkach politycznych, społecznych i gospodarczych. Choć wydarzenia polityczne mogą przyspieszyć ten proces i wzmocnić określone postawy.

Jednak obie rewolucje wpłynęły na budowanie tożsamości młodych Ukraińców.

Kiedy Ukraińcy konstruują swoje poczucie wspólnoty w odniesieniu właśnie do tych dwóch wydarzeń, odwołują się do przeżyć traumatycznych (jak w przypadku młodych ludzi biorących udział w operacji wojskowej na wschodzie), tego nie sposób porównać z doświadczeniami młodych Polaków uczestniczących w Strajku Kobiet.

Swoje badania prowadziłem na Ukrainie w latach 2017–2019. Młodzi Ukraińcy odwoływali się w nich do utraconego Krymu, tego, co się dzieje we wschodnich obwodach. W rozmowach z naszym zespołem badawczym młodzi Ukraińcy rzeczywiście powoływali się na dwie rewolucje. Nawet jeśli nie uczestniczyli bezpośrednio w tych wydarzeniach, to mówili o swoich bliskich znajomych, których to doświadczenie zmieniło, na przykład w 2014 roku wrócili z Kijowa i zaczęli odgrywać bardzo ważną rolę w swoich środowiskach. Widać było, że te osoby są autorytetami dla miejscowych przyjaciół. Podobnie powoływali się na innych starszych znajomych, którzy brali udział w pomarańczowej rewolucji.

Dlatego ze względu na kontekst i emocje nie porównywałbym Strajku Kobiet i doświadczeń ukraińskich. Choć z pewnością Strajk Kobiet pozostaje serią wydarzeń bezprecedensowych w III Rzeczpospolitej, szczególnie jeśli chodzi o model partycypacji młodych ludzi w sferze publicznej.

eprasa.pl d185a8d253

Z refleksji nad młodymi ludźmi płyną utylitarne korzyści. Jeśli zrozumiemy lepiej młodych ludzi, ich specyfikę, oczekiwania, postawy, wizje, poglądy, to skuteczniej będziemy się mogli z nimi komunikować.

Istnieje duże prawdopodobieństwo, że w dłuższej perspektywie odciśnie się na ich postawach i stosunku do polityki. Wzmocni – już dobrze znane – poczucie marginalizacji, niechęć do elit politycznych, być może na dłużej zdeterminuje preferencje partyjne.

To, co obserwujemy w Polsce, pozostaje częścią szerszego zjawiska. Być może Strajk Kobiet jest ekspresją zmiany kulturowej, a nie przyczyną samej zmiany. To nie strajk wytworzy przyszłe pokolenie, ale to nowe pokolenie zrobiło strajk. Inaczej niż na Ukrainie, gdzie rewolucje mogły stać się przyczyną zmiany konkretnych postaw, choć skala zaangażowania młodych ludzi pokazuje też coś ważnego na temat ich samych. Można jednak mówić o pewnej tradycji młodzieżowej kontestacji na Ukrainie, kształtującej się od początku lat dziewięćdziesiątych. Wywołały traumy, które bardzo mocno wpłynęły na świadomość młodego pokolenia, ale też dały nadzieję na zmianę w sensie politycznym, której potrzebę artykułowano bardzo jednoznacznie. W swobodnych wypowiedziach, w toku wywiadów indywidualnych, zapytani o wydarzenia, które ich ukształtowały, młodzi Polacy, jak się okazywało, mieli problem ze wskazaniem wydarzenia formującego ich pokolenie (niektórzy wspominali wejście Polski do Unii Europejskiej, ale większość z nich przecież tego nie pamięta, urodzili się tuż przed akcesją do Wspólnoty, otwarte granice były w ich życiu zawsze, tak jak brak paszportów i tanie linie lotnicze).

Co odpowiadali młodzi Ukraińcy na tak postawione pytanie?

Na pytanie, jakie wydarzenia i postaci ich uformowały, w większości mówili o rewolucji godności. Badałem osoby w wieku osiemnastu–dwudziestu pięciu lat, które nie uczestniczyły w pomarańczowej rewolucji, ale często powoływały się na starszych znajomych, którzy im o tym wydarzeniu opowiadali. Bardzo mocno było widać solidarność wewnątrzpokoleniową, natomiast u młodych Polaków – nie. Co więcej, młodzi Polacy o swoich nieco starszych kolegach mówili jak o osobach, które myślą zupełnie inaczej niż oni. Młodzi Ukraińcy mówią o sobie w kategoriach politycznych. Twierdzą, że chcą być częścią zmiany na lepsze, która jest ich zdaniem konieczna i może się dokonać głównie za sprawą młodych ludzi. Młodzi Polacy natomiast, mówiąc o sobie, rzadziej odwoływali się do kategorii politycznych. Zwracali uwagę raczej na problemy ekonomiczne, na rynek pracy, prekaryzację.

Skąd te różnice?

Różnice w odpowiedziach na pytania, czy czują, że żyją w specyficznych warunkach, różnych od tych, w których wychowywali się ich rodzice, i czy widzą siebie jako generację wolności,

eprasa.pl d185a8d253

wynikają przede wszystkim z tego, że oba pokolenia były socjalizowane w odmiennych kontekstach kulturowych, politycznych, społecznych i ekonomicznych.

Nie badałem starszego pokolenia, ale pytałem młodsze, co myśli o starszym. Ukraińcy się bardzo mocno polaryzują i konfrontują ze starszym pokoleniem (rodzicami, dziadkami i elitami politycznymi). Nazywają ich „radzieckim pokoleniem", „pokoleniem starych radzieckich tradycji", „ludźmi z czasów Związku Radzieckiego", „starszym pokoleniem wychowanym w ZSRR". Według młodych Ukraińców ich rodzice czy dziadkowie pochodzą z innego świata. To chęć autoidentyfikacji poprzez zaprzeczenie cech, których nie chcieliby u siebie widzieć.

Z Pana badań wynika, że młodzi Polacy rzadziej się buntują.

Co nie znaczy, że nie istnieją różnice międzypokoleniowe. Jeszcze w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku nie mieliśmy różnic pokoleniowych, jeśli chodzi o zaufanie do Kościoła lub poczucie religijności – większość Polaków niezależnie od wieku ufała Kościołowi i twierdziła, że wierzy w Boga. Natomiast po tych kilkunastu latach okazuje się, że pod tym względem mamy do czynienia z rozwarstwieniem ze względu na wiek. Młodzi ludzie w większym stopniu ulegli procesowi laicyzacji. To zjawisko może mieć znaczenie także w sensie politycznym.

W Polsce – jak wynika z Pana badań – najczęściej jako autorytet wskazywany jest Jerzy Owsiak, który kojarzy się jednoznacznie z działalnością charytatywną. Na Ukrainie za autorytety uważane są osoby, które w swoim życiorysie mają mocne karty antyrosyjskie. Co z tego wynika? Przy tym współczynnik ksenofobii na Ukrainie jest niższy niż w Polsce, co przeczy polskiemu stereotypowi Ukraińca z „czarnym podniebieniem".

Wyniki ukraińskie należy próbować zrozumieć w określonym kontekście politycznym. Wcześniej mówiłem o narracji o własnym pokoleniu, w której młodzi Ukraińcy odwołują się do traumy z 2013 i 2014 roku. To nie znaczy, że Ukraińcy nie mają innego wydarzenia, które mogliby wymienić, to świadczy o tym, że tak mocno je przeżywają. Zastanowiło mnie, że większość postaci, które wymieniają, ma w biografii silny wątek antyrosyjski czy antyradziecki. W swojej książce cytuję też badania, które pokazują stosunek ukraińskiego społeczeństwa do Rosji – dramatycznie zmienił się on po 2014 roku, czyli po aneksji Krymu i po wybuchu wojny na wschodzie kraju. To główny powód, dlaczego młodzież odwołuje się do tych autorytetów. Należy pamiętać, że po 2014 roku ukraińskie elity polityczne próbowały wytworzyć kulturę obywatelską, nazywają ją nową tożsamością ukraińską, opartą

eprasa.pl d185a8d253

na nowych autorytetach, dzięki którym można by tę tożsamość tworzyć. Należy podkreślić, że nowa ukraińska tożsamość buduje się w dobie wojny. W Polsce młodzież czegoś takiego nie doświadcza, a starsze pokolenia nie są w stanie nam tego przekazać. Część młodych Ukraińców sama uczestniczyła w działaniach wojennych, często brał w nich udział ktoś z ich rodziny, na swoich uniwersytetach mają osoby, które uciekły na przykład z okupowanego Ługańska.

A jeśli chodzi o czynnik ksenofobii, to można uznać za zaskakujące, że wskaźnik jest nieco niższy na Ukrainie, ale należy zwrócić uwagę, że wskaźnik ksenofobii pozostaje wyższy tam, gdzie społeczeństwo jest bardziej homogeniczne. Poziom ksenofobii był tutaj liczony stosunkiem do ludzi obcych, przybywających. W Polsce istnieje strach przed wyimaginowanym uchodźcą, którego wielu z nas nie postrzega w rozumieniu słownikowym, tylko jako pojęcie zmitologizowane przez elity polityczne. Wkomponowano w nie zupełnie nowe znaczenia. Dziś uchodźca bardziej przywodzi na myśl przestępcę, terrorystę, kogoś odmiennego kulturowo. Nic dziwnego, że ten strach się udzielił młodym ludziom. Różnice kulturowe w społeczeństwie polskim są o wiele mniejsze niż w społeczeństwie ukraińskim i być może to jest wyjaśnienie, dlaczego wskaźnik ksenofobii pozostaje tam niższy.

Porozmawiajmy o migracji Ukraińców do Polski. Ukraińska młodzież podejmuje tu studia, buduje kapitał intelektualny, często też zostają w Polsce. Pojawiają się zatem co najmniej dwa pytania: co z Ukrainą, kiedy elity wyemigrują? Jak opisałby Pan relacje między Polakami i Ukraińcami?

Z moich badań wynika, że niektórzy Ukraińcy pozostający na Ukrainie uważają, że wyjazdy są niepatriotyczne. Obowiązkiem Ukraińca – ich zdaniem – jest znoszenie trudów. Mówili nawet, że wyjazd do Polski to zachowanie niepatriotyczne, ponieważ młodzi ludzie mogą być szansą dla rozwoju Ukrainy.

Korzystałem z danych sondaży realizowanych w 2019 roku na Ukrainie, które dotyczyły motywów emigracji zarobkowej wśród obywateli tego kraju. Wskazywali oni na tak zwane czynniki wypychające. Podkreślali, że wcale nie chcą wyjeżdżać, ale są do tego zmuszeni, by móc zapewnić podstawowe potrzeby rodzinie. W ten sposób odpowiadało 55 procent ankietowanych. Tylko 20 procent dostrzega w emigracji szansę na realizację nowych możliwości. Aż 19 procent nie widzi dla siebie przyszłości na Ukrainie. Można więc zauważyć rozdźwięk: ci, którzy zostali, patrzą z wyrzutem na tych, którzy wyjechali, bo – być może – mają w sobie poczucie misji (zmiana może przyjść tylko za sprawą młodych ludzi). Ci, którzy wyjeżdżają, zwracają uwagę,

eprasa.pl d185a8d253

że warunki życia na Ukrainie dynamizują proces emigracji.

Co więc czeka Ukrainę, z której wyjeżdżają osoby najbardziej aktywne?

Młodzi Ukraińcy widzą w sobie zarzewie zmiany i bardzo dużo o niej opowiadają. Wyrzut, który mają do wyjeżdżających, pogłębia ich rozczarowanie i tłamsi nadzieje. Jeżeli popatrzeć na historię Ukrainy od 2004 roku, to okaże się, że największe przewroty polityczne w kierunku demokratyzacji, rewolucje, zapoczątkowały krótkie wybuchy „demokratyczności", w których często podmiotową rolę odgrywała młodzież.

W polskiej transformacji mówi się o paradygmacie linearnym. Mieliśmy komunizm, gospodarkę centralnie sterowaną i w prosty sposób na jednej ścieżce przeszliśmy do demokracji i wolnego rynku przy względnym konsensie społecznym w tym zakresie. Politolodzy – jak na przykład Samuel Huntington – zwracają uwagę, że to przejście nie zawsze było takie proste. Ukraina to kraj, który pozostaje w stanie *equilibrium*, równowagi między autokracją i demokracją, te wektory co chwilę się zmieniają. Przez kilka lat Ukraina się absolutnie autokratyzuje (odejście od nietrwałej demokracji do reżimu autorytarnego), potem znów demokratyzuje. Przechodzi od jednego do drugiego bieguna, nigdy go nie osiągając. Nie udaje jej się zorganizować instytucji, które świadczyłyby o istnieniu systemu demokratycznego. Postawy polityczne młodych Ukraińców mogą okazać się tym elementem, który w przyszłości pozwoli zatrzymać to „wahadło".

Wróćmy na chwilę do zawiedzionych nadziei młodych Ukraińców.

Młodzi Ukraińcy mówią: „Dzisiaj mamy oznaki demokracji, ale konieczne jest, by przyszły dwa młode pokolenia, które będą myśleć zupełnie inaczej. Potem pewnie w końcu będziemy mieli demokrację". Taka percepcja jest wskaźnikiem rozczarowania, ale i zniecierpliwienia. Dodatkowo – coraz wyraźniej widać zjawisko drenażu mózgu. Wysysania na przykład pracowników IT z Białorusi czy Ukrainy. Trzy lata temu na studiach niestacjonarnych miałem studentkę, która opowiadała, że pracuje w Polsce w korporacji, gdzie zatrudnieni są niemal wyłącznie Białorusini, Ukraińcy i Rosjanie – dobrze wykształceni informatycy.

Jak wygląda spotkanie tych dwóch pokoleń wolności na gruncie polskim?

Nie widać żadnych konfliktów na polu kulturowym, etnicznym czy językowym, które by się tliły czy wybuchały. Osoby współżyją ze sobą w przestrzeni uniwersyteckiej bardzo dobrze. Obserwuję to podczas pracy w grupach. Studenci o pochodzeniu

eprasa.pl d185a8d253

ukraińskim czy białoruskim tworzą wspólne grupy z Polakami, rzadko się zdarza, by budowali enklawy.

Warto jednak popatrzeć na to spotkanie przez pryzmat etapu w szerszym planie społecznym. Zawsze jest tak, że pierwsza fala emigracji – kiedy ludzie z zewnątrz wykonują prace poniżej swoich kompetencji, zatem nie zagrażają nam ekonomicznie – sprawia, że pewne animozje są utajone lub ich po prostu nie ma. Przed chwilą zwróciłem uwagę, że zaczęliśmy zatrudniać specjalistów takich jak informatycy, którzy są pewnie po prostu tańsi. Na tym tle mogą się pojawić konflikty, tak jak to miało miejsce w przypadku Polaków we Francji czy w Wielkiej Brytanii. Nie sądzę, by one wypłynęły ze strony ich rówieśników z Polski. Jednocześnie trzeba pamiętać, że różnego rodzaju konflikty i resentymenty są uruchamiane nie przez umiarkowaną większość, ale przez skrajności, a w sytuacjach kryzysowych, takich jak kryzys ekonomiczny, stereotypy etniczne na tle ekonomicznym mogą zyskiwać zwolenników. W każdym społeczeństwie jest pierwiastek niegodziwości, który może się rozwinąć w określonych warunkach. Dlatego warto – szczególnie w wolnym pokoleniu – pielęgnować postawy otwartości i współpracy.

Dr hab. Radosław Marzęcki jest profesorem Uniwersytetu Pedagogicznego im. KEN w Krakowie, politologiem i socjologiem. Jego główne zainteresowania naukowe dotyczą roli młodzieży w procesach politycznych, kultury politycznej, społeczeństwa obywatelskiego oraz dyskursu politycznego. Autor książek: *Młody obywatel we współczesnej demokracji europejskiej* (2013); *Pokolenie '89. Aksjologia i aktywność młodych Polaków* (2015); *Pierwsze pokolenia wolności. Uwarunkowania i wzory partycypacji w sferze publicznej polskich i ukraińskich studentów* (2020).

eprasa.pl d185a8d253

REKLAMA



Europa - Polska - Kurpie



Kurpiowski strój ludowy



Zagroda kurpiowska w Kadzidle

Kochóm Kurpśe!

: kocham Kurpie!

Kurpie należą do najciekawszych polskich regionów. Oryginalna kultura ludowa, znakomite rękodzieło, mnogość wybitnych artystów, archaiczna mowa, sosnowe lasy, malownicze, meandrujące rzeki, siedliska ptaków, fascynujące obrzędy, oryginalne obyczaje, umiłowanie piękna i harmonii, towarzyszą tej ziemi od wieków. Zachwycają kurpiowskie wycinanki, rzeźby, architektura, haft, muzyka, taniec, kulinaria, poezja.

Zapraszamy najmilej, z całego serca, do krainy, której pokochać nie sposób, której nie sposób zapomnieć.

Z nadzieją na spotkanie

Dariusz Łukaszewski

Wójt Gminy Kadzidło

/gminakadzidlo



www.kadzidlo.pl

eprasa.pl d185a8d253

REKLAMA

Najpiękniejszy polski magazyn intelektualny



W prenumeracie:



darmowa dostawa



dostęp do e-wydań



najlepsza literatura w prezencie

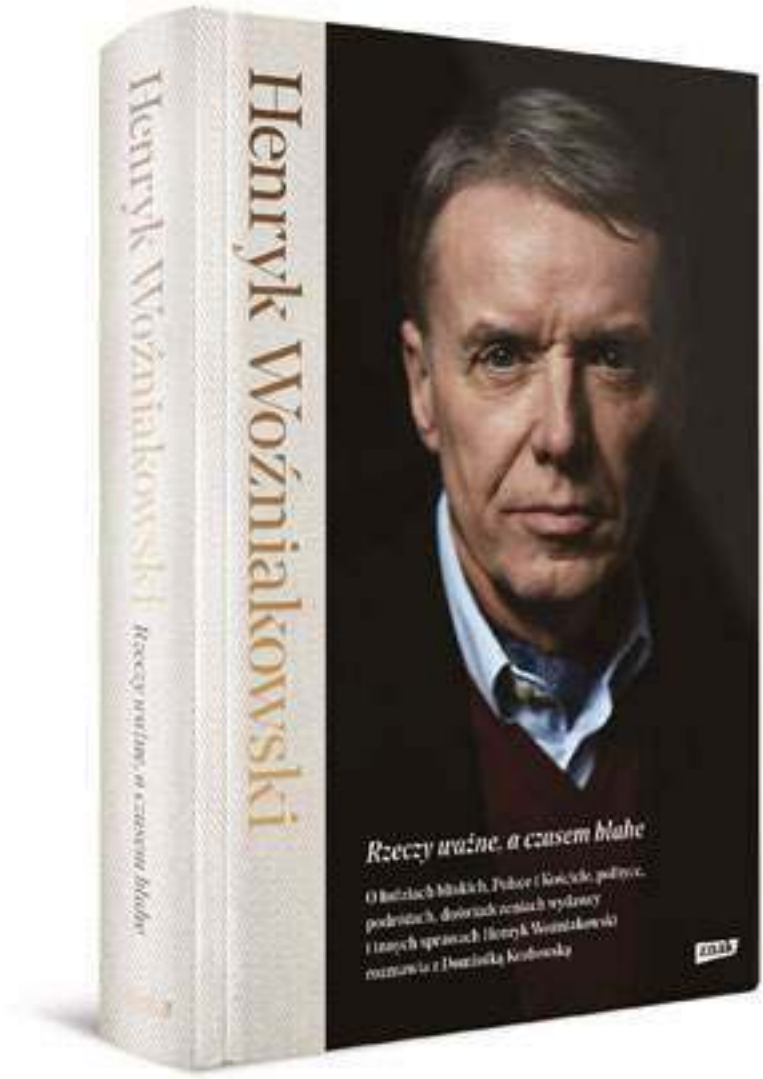


PLAKATY z kultową okładką miesięcznika „Znak”

Zamów na
miesiecznik.znak.com.pl/prenumerata/

eprasa.pl d185a8d253

REKLAMA



W rozmowie z Dominiką Kozłowską Henryk Woźniakowski opowiada o zawodzie wydawcy i swoim spojrzeniu na sprawy publiczne. Wspomina bliskich, którzy nauczyli go przywiązania do wolności, pokazuje, skąd biorą się współczesne polskie podziały, a jednocześnie nie stroni od anegdot. W książce znaleźć można ciekawe relacje ze spotkań z Jerzym Giedroyciem, Józefem Czapskim, Michelem Foucault czy Henrym Kissingerem.

Rzeczy ważne, a czasem błahe

W dążeniu do wolności jest coś świętego. Ale kiedy znajdziemy się już w ustroju wolności, wkraczamy w obszar polityki, całkowicie świecki.

PREMIERA JUŻ 16.06

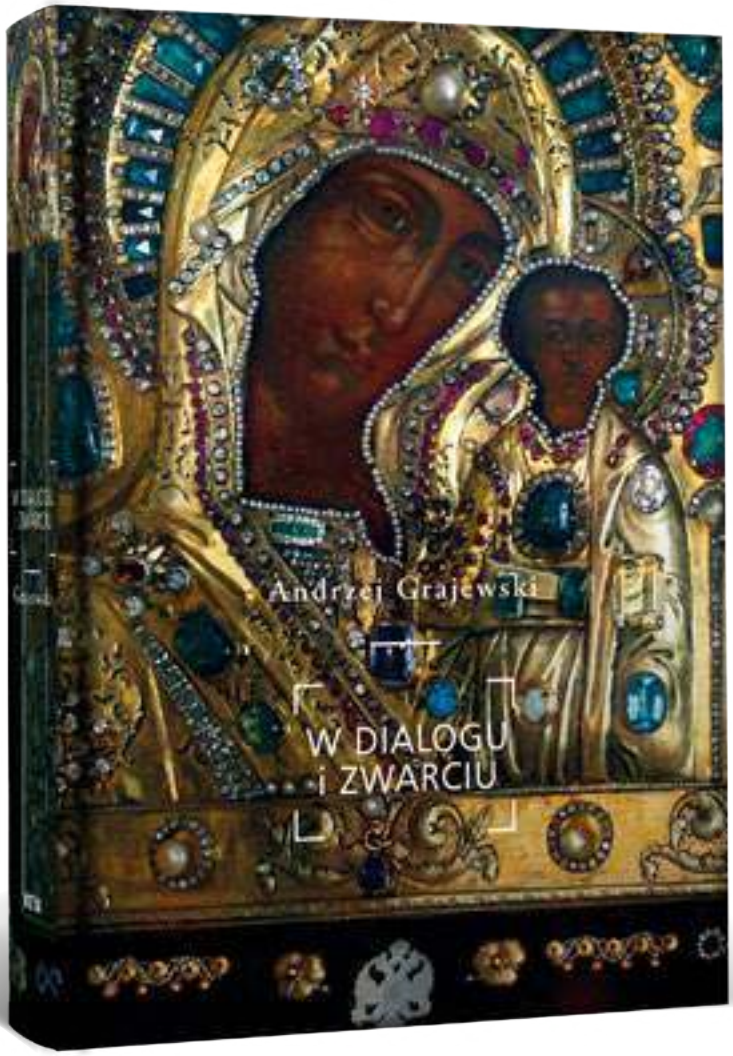
znak KSIĘGARNIA **Zobacz na znak.com.pl**

eprasa.pl d185a8d253

REKLAMA

Książka Andrzeja Grajewskiego stanie się z pewnością punktem odniesienia dla wszystkich badań nad historią Kościoła w XX wieku i w ogóle historią powszechną tego okresu. Jej wydanie jest potrzebą chwili nie tylko dla samego Kościoła, ale także dla bardziej zrównoważonych ocen jego roli w dziejach.

profesor Wojciech Roszkowski



Andrzej Grajewski

W DIALOGU i ZWARCIU

STOLICA APOSTOLSKA WOBEC SOWIECKIEGO KOMUNIZMU 1918-1991

Książka dostępna w najlepszych polskich księgarniach i w sklepie internetowym **www.kew.org.pl**

20 LAT Kolegium Europy Wschodniej

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

DOFINANSOWANO ze ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY i DZIEDZICTWA NARODOWEGO PODCHODZĄCYCH z FUNDUSZU PROMOCJI KULTURY

eprasa.pl d185a8d253

REKLAMA

Lidia Czukowska | *Zapiski o ANNIE ACHMATOWEJ* w TRZECH TOMACH



Książki dostępne w najlepszych polskich księgarniach i w sklepie internetowym **www.kew.org.pl**

20 LAT Kolegium Europy Wschodniej im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego we Wrocławiu

CENTRUM POLSKO-ROSYJSKIEGO DIALOGU I POROZUMIENIA

W niezwykłych zapiskach
z rozmów dwóch wspaniałych kobiet,
chorych, biednych i nieszczęśliwych,
czuć smak i zapach życia codziennego
w kleszczach stalinowskiego terroru;
czuć niszczące działanie codziennej
trucizny, z którą zmagają się te kobiety,
myśląc o uwięzionych najbliższych.

Adam Michnik

eprasa.pl d185a8d253

REKLAMA

KEW


STANI
SŁA
WÓW
20/XX
miasto
i architektura
(1918—1939)
ŻANNA KOMAR

REKLAMA

Podcasty Nowej Europy Wschodniej



Dawid Ben-Gurion

WROTA DO IZRAELA ZNAJDUJĄ SIĘ W POLSCE

W cyklu podcastów opowiemy o twórcach idei syjonistycznej pochodzących z ziem polskich. O ludziach, których marzenia o państwie żydowskim tworzyły podstawy, na których zbudowano Izrael. O ile dużo mówi się o późniejszym życiu ludzi takich jak Dawid Ben-Gurion czy Menachem Begin, to ich związki z Polską są często zapominane. Dlatego historie ojców współczesnego Izraela opowiemy po polsku, hebrajsku i angielsku.

Rzeczpospolita Polska
Ministerstwo
Spraw Zagranicznych

Zadanie publiczne finansowane przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych RP w konkursie „Dyplomacja publiczna 2021"

STITCHER

eprasa.pl d185a8d253

REKLAMA



eprasa.pl/d185a8d2

Po pierwsze: wyciągajmy wnioski – rozmowa z Leszkiem Szerepką
Agnieszka Bryc, *„Jesteśmy gotowi!". Naprawdę?*
Kacper Wańczyk, *W tym tekście nie piszę o Giedroyciu*

Po pierwsze: wyciągajmy wnioski

Z Leszkiem Szerepką, byłym ambasadorem RP w Mińsku, rozmawia Piotr Pogorzelski

PIOTR POGORZELSKI: Jaką rolę w polityce wobec Białorusi może odegrać Polska?

LESZEK SZEREPKA: Nie ma wątpliwości, że sama Polska może zrobić niewiele. Przez lata denerwował mnie brak konsekwencji w działaniach Warszawy i to, że ona się daje tak łatwo rozgrywać przez Łukaszenkę. To jest sprawny polityk, ale to nie Klemens von Metternich. On postępuje według sprawdzonych wzorców, powtarza się. I tak się jakoś składa, że gdy była potrzebna nasza pomoc, to my się zgłaszaliśmy, a jak było to już niepotrzebne, to on nas odsuwał. I my się na to godziliśmy. Dawaliśmy się wykorzystać jako żyranci bez zabezpieczenia.

Nawet w czasie ostatniej próby „otwarcia na Łukaszenkę" nie udało się chociażby sprawić, żeby Związek Polaków na Białorusi uzyskał podstawy legalnego działania. Myśmy dawali mu czek, nie żądając od niego żadnych działań. Nam wystarczyło, że Łukaszenka powiedział: „Nie przejmujcie się, będzie dobrze". Powinniśmy żądać, żeby to było zabezpieczone prawnie. Gdy przystajemy na takie stwierdzenie, że będzie dobrze, to czynimy z białoruskich Polaków zakładników.

Próby dialogu z Mińskiem podejmowali Radosław Sikorski i Aleksander Kwaśniewski i za każdym razem było to samo. Nie wyciągamy wniosków z tego, co miało miejsce w przeszłości, wydaje nam się, że jesteśmy lepsi od poprzedników, że Łukaszenka jest w gorszej sytuacji i uda się go do czegoś zmusić.

A on traktuje Białoruś jako swoją własność i nie będzie skłonny do tego, żeby rozmawiać o demokratyzacji, o swojej

eprasa.pl d185a8d253

przyszłości, o tym, żeby ktoś mu narzucał sposób postępowania.

Jak więc Warszawa powinna postępować?

Powinna być konsekwentna w swoich działaniach. Nawet jeśli podejmuje próby porozumienia, bo z sąsiadami trzeba rozmawiać, to powinny być one przemyślane. Trzeba też mieć jakieś zabezpieczenia.

Ciekawe, że nie wykorzystujemy najprostszych środków do umocnienia swoich pozycji na Białorusi. Myślę tu o polityce wizowej. Łukaszenka jest zainteresowany tym, aby utrudniać ludziom wyjazd z kraju, chce ich mieć pod kontrolą. A my, Zachód, mu w tym pomagamy. Uczyniliśmy bardzo mało, żeby ułatwić Białorusinom swobodny wjazd do Unii Europejskiej. Ułatwialiśmy działania propagandy białoruskiej, która mówiła ludziom, że jeśli chcą jechać do Unii, to muszą płacić za wizę pół swojej pensji.

Ale były próby wprowadzenia małego ruchu granicznego?

Próbowaliśmy pójść w tym kierunku, ale Łukaszenka nie był tym zainteresowany. On nie chce, żeby ludzie kontaktowali się z sąsiadami, nasiąkali ich sposobem myślenia, by byli pod wpływem „wrogiej polskiej propagandy" czy wydawali dewizy na zagraniczne produkty.

Ważna jest też promocja kultury, języka białoruskiego. Musimy zdać sobie sprawę, że jeśli większość Białorusinów mówi po rosyjsku, oznacza to, że ulegają wpływom kultury rosyjskiej, sposobowi myślenia Rosjan, nie czują bariery między sobą a Rosjanami, utożsamiają się z nimi. Propagowanie kultury białoruskiej naturalnie czyni ich odrębnymi od Rosjan. My przez lata tego nie robiliśmy w odpowiedniej skali. Nie inwestowaliśmy w takie rzeczy. Zbyt mało uwagi poświęcaliśmy na przykład wymianie młodzieży, kiedy ona była jeszcze możliwa. Po ostatnich wydarzeniach na Białorusi widać, że takie rzeczy procentują.

Większość PKB na Białorusi jest generowana przez państwowe przedsiębiorstwa. Czy one są tylko formalnie państwowe, a *de facto* kontrolowane przez otoczenie Łukaszenki?

Łukaszenka uważa całą Białoruś za swoją własność. Ogromne kombinaty (MAZ, BiełAZ, BiełSzyna, HomelSielMasz, Biełaruskalij czy rafinerie) cały czas są formalnie własnością państwa. Eksport produktów ropopochodnych z dwóch rafinerii oraz z kopalni soli potasowych w Salihorsku generuje większość przychodów dewizowych budżetu Białorusi.

Jeżeli już mówimy o prywatnych firmach, to one raczej wchodzą w nowe technologie, na przykład IT. Ten sektor generował niemal 10 procent PKB Białorusi, teraz nie wiadomo, co z tego zostało, bo wielu informatyków opuściło kraj. Prywatne firmy zajmowały się też budowlanką, przemysłem spożywczym i odzieżowym, handlem wielkopowierzchniowym. Ale jest tu pewien układ: one zwykle nie odmawiają, gdy władze proszą o uczestnictwo w jakimś przedsięwzię-

eprasa.pl d185a8d253

ciu, na przykład imprezach, festiwalach, dożynkach. To jest forma dodatkowego opodatkowania.

Poza tym, jeśli ktoś próbuje się z tego wyłamać albo staje się zbyt samodzielny, to wtedy ma kłopoty. Takim przykładem jest Jury Czyż, biznesmen, który przez długi okres uważany był za bankiera prezydenta Białorusi. Od 2016 roku jest już wyautowany, bo Łukaszenka uznał, że jest zbyt samodzielny.

Mówimy cały czas o dużym biznesie. A jakie są warunki dla małych i średnich przedsiębiorstw?

Z założeniem biznesu nie ma problemu, ale jeśli on będzie zbyt dochodowy, to można później się spotkać z ofertą „nie do odrzucenia" – chodzi o sprzedaż tego biznesu osobom z otoczenia Łukaszenki za określoną sumę. W razie odmowy można mieć do czynienia z częstymi kontrolami i zawsze się coś znajdzie, będzie można nałożyć kary, które sprawią, że firma będzie nierentowna. Wymiar sprawiedliwości jest dyspozycyjny.

Ale i tak jest mało takiej inicjatywy prywatnej.

Tak, bo ludzie się boją ryzykować. Zyski nie równoważą ryzyka. Lepiej pracować u kogoś albo robić coś na zlecenie, tak jak na przykład część programistów.

Na ile skutecznym narzędziem mogą być sankcje gospodarcze, które wprowadza Unia Europejska w odpowiedzi na ciągłe naruszanie praw człowieka? Ostatnim takim wydarzeniem było zmuszenie do lądowania 23 maja w Mińsku samolotu linii Ryanair i zatrzymanie dziennikarza Romana Protasiewicza i jego partnerki Sofii Sapiegi.

To zależy od sankcji. Nie wyobrażam sobie skutecznych sankcji wobec Białorusi w sytuacji, gdy ma ona dobre kontakty z Rosją, granica jest otwarta i największa część obrotów handlowych jest generowana przez handel z tym krajem. To samo dotyczy możliwości handlu z Chinami.

Można jednak uderzyć boleśnie w pewne dziedziny eksportu Białorusi, które generują przychody dewiz, na przykład sole potasowe czy ropa. Tylko że tutaj trzeba działać solidarnie. Można myśleć o sankcjach nakładanych na systemy finansowe, SWIFT itp. Ale to musiałoby być zdecydowane, jednoznaczne działanie, bez możliwości unikania sankcji.

Pytanie, czy te sankcje zaduszą reżim Łukaszenki. Nie, one sprawią, że poziom życia będzie niższy niż obecnie. Nie będzie pieniędzy na realizację jakichś dodatkowych pomysłów czy programów socjalnych. Ale to nie zniszczy reżimu.

Po Chinach nie widać, żeby pędziły teraz z pomocą Łukaszence.

My nie mówimy o pomocy, a o swobodnym handlu, bo jeśli Łukaszenka nie sprzeda towaru w jednym miejscu, to może zrobić to w drugim, choć nawet za niższą cenę. Na przykład w Chinach. Pekin przez jakiś czas chciał zrobić z Białorusi *hub* eksportowy, stąd pomysł parku

eprasa.pl d185a8d253



Archiwum prywatne

Łukaszenka traktuje Białoruś jako swoją własność i nie będzie skłonny do tego, żeby rozmawiać o demokratyzacji.

przemysłowego Wielki Kamień pod Mińskiem. Jeśli jednak granica między Białorusią a Unią Europejską będzie zamknięta, to ta idea nie zadziała. Moim zdaniem to jest jedna z przyczyn, dla których jest on budowany w tak ślimaczym tempie.

Kiedy nastąpi moment, w którym Putin uzna, że wreszcie można usunąć Łukaszenkę? Za bardzo go przecież nie lubi.

Nie lubi, to prawda. Łukaszenka jest dłużej u władzy niż Putin i jest mocniej zakorzeniony, ma też przełożenie na pewne środowiska w Rosji. Dlatego jest niezbyt wygodnym partnerem dla Putina, ale nie jest groźny. On nie zmieni gwałtownie swojej polityki, jest przywiązany do Rosji i robi wszystko, żeby pozostać w rosyjskim mirze. Przecież to Łukaszenka zmarginalizował język białoruski, propaguje sowiecką, nawet bardziej niż w Rosji, wizję historii. To Moskwie nie przeszkadza. Dlatego nie sądzę, że Putin będzie na siłę dążył do wyeliminowania Łukaszenki. Ale gdy pojawi się okazja, gdy będzie można tanim kosztem doprowadzić do zmiany, to Rosjanie z tego skorzystają. Ale nie zrobią tego do momentu, gdy nie będzie sytuacji podbramkowej, czyli takiej, w której dalsze pozostawanie przy władzy Łukaszenki będzie groziło destabilizacją. Wtedy strona rosyjska, która ma narzędzia nacisku, na przykład finansowe, może nalegać na Łukaszenkę, żeby ustąpił.

eprasa.pl d185a8d253

Czy obecne wsparcie dla Łukaszenki ze strony Putina może zrazić Białorusinów do Rosji?

Moim zdaniem już obserwujemy taki proces. Wcześniej na Białorusi nie było środowisk nastawionych antyrosyjsko. Za to teraz coraz częściej widać krytykę poczynań Rosji na Białorusi, ludzie mówią, że jakby nie było poparcia dla Łukaszenki ze strony Moskwy, to on by się nie utrzymał i musiałby pójść na ustępstwa.

Moskwa na razie nie stawia na rezygnację Łukaszenki, co widać po wygłaszanych pod koniec ubiegłego roku deklaracjach, że nie wyklucza wprowadzenia sił porządkowych, wsparciu kadrowym dla białoruskich mediów państwowych. Jest jeszcze jeden czynnik: Rosja chciałaby zmienić Łukaszenkę na mniej skompromitowanego lidera, w sposób niedestabilizujący sytuacji. Teraz cały system podporządkowany jest Łukaszence, po jego odsunięciu wszystko może się posypać. Kilka grup w elicie władzy może zacząć walczyć o schedę po nim. Tu w grę wchodzą ogromne pieniądze. Po co Rosjanom kolejny problem?

Ale jeśli zrobić uczciwe wybory, to i tak pewnie wygrałby kandydat, który jest co najmniej życzliwy w stosunku do Moskwy?

W obecnej sytuacji nie wyobrażam sobie kandydata, który byłby wrogi wobec Rosji. Gospodarka białoruska jest bardzo uzależniona od rosyjskiej. Nawet gdyby powstał „plan Marshalla dla Białorusi", jeśli miałby coś zmienić, to zajęłoby to dekadę. Przez te dziesięć lat trzeba się jakoś utrzymać. A jak to zrobić? Bez współpracy z gospodarką rosyjską, finansami, bez dostaw ropy i gazu z Rosji Białoruś raczej nie będzie w stanie normalnie funkcjonować.

Także mentalnie znaczna część Białorusinów czuje się spokrewniona czy niemal tożsama z Rosjanami i oni by raczej nie zaakceptowali antyrosyjskiej władzy.

W tym wszystkim nie chodzi o zmianę wektora integracji Białorusi, bo nie jest to możliwe. Ona nie może obrócić się plecami do Rosji. Mówimy o systemie, który by nie tłamsił inicjatyw społecznych, nie był za bardzo represyjny, pozwalałby ludziom żyć i się rozwijać. Dałby nowy impuls do rozwoju kraju. Obecnie istnieje groźba, że Białoruś stanie się skansenem sowieckim, który nie wykorzystuje swoich szans, będzie coraz gorzej się rozwijał, bo gospodarka wprowadzona dwadzieścia lat temu jest już niewydolna. Mówimy jedynie o liberalizacji systemu.

Coraz więcej ludzi wyjeżdża z Białorusi, to są ludzie młodzi lub w średnim wieku, aktywni, a ci, którzy zostają na miejscu i sprzeciwiają się reżimowi, są prześladowani. Jak w takiej sytuacji może dojść do zmiany?

Trzeba sobie jasno powiedzieć, że nikt za Białorusinów systemu nie zmieni. Nawet Rosja będzie się przed tym broniła. Jeśli Białorusini nie są do tego zdolni, to są skazani na Łukaszenkę. Ani Zachód, ani sankcje, ani Rosja nie będą im w sta-

eprasa.pl d185a8d253

nie zmienić władzy. Bez oddolnych inicjatyw białoruskich i bez oporu ta władza będzie trwała długo. Będzie gniła, będzie sprawiała, że aktywni będą uciekali. Białoruś będzie się przekształcała w skansen bez perspektyw.

Co się stało rok temu, że na Białorusi wybuchło nowe życie? Pamiętam Grodno, Mińsk w sierpniu zeszłego roku, to były zupełnie inne miasta niż jeszcze rok wcześniej.

Błąd popełnił Łukaszenka. Myślał, że sytuacja jest pod pełną kontrolą, bo ci najbardziej aktywni, niebezpieczni dla niego, zostali zatrzymani jeszcze przed wyborami. Łukaszence się wydawało, że Swiatłana Cichanouska, kandydująca w imieniu zatrzymanego męża, i w ogóle kobiety, nie będą w stanie niczego osiągnąć, bo społeczeństwo białoruskie uważa, że polityka to sfera działalności mężczyzn. Okazało się, że właśnie one były w stanie zorganizować protesty. Oczywiście nie na pustym polu, bo jeszcze przed wyborami widać było, że Białorusini nie godzą się z rzeczywistością. Na te spotkania z kandydatami opozycji przychodziły setki ludzi i Łukaszenka trochę przespał ten moment. Za mało dokręcił śrubę, myślał, że kontroluje sytuację.

Długofalowo na zmianę nastrojów wpłynęło kilka czynników. Pierwszy to rozmowy z Rosją o tworzeniu wspólnego państwa. Nie mówię, że zdecydowana większość Białorusinów jest temu przeciwnych, ale jest znacząca grupa, która chciałaby żyć we własnym państwie. Im nie odpowiadało to, że takie rozmowy się toczą w tajemnicy, są nietransparentne. A przecież chodziło o przyszłość całego narodu. Druga kwestia to pandemia. Ludzie są bardzo wrażliwi na punkcie swojego zdrowia, a tu się okazuje, że ich przywódca kpi sobie z ich obaw, traktuje jak idiotów, jak bydło, jak biomasę, której można wszystko sprzedać, a oni to kupią. Mówi jakieś głupie rzeczy, że wódka, traktor i sauna leczą koronawirusa. To trochę niepoważne jak na lidera kraju, który się prezentował jako *baćka*, jako ojczulek.

W końcu kwestie ekonomiczne. Gospodarka nie pokazuje może oznak recesji, ale się dynamicznie nie rozwija. Różne obietnice władz, na przykład o podwyżce pensji, nie zostały realizowane. Poziom życia był niższy niż oczekiwania. Te czynniki sprawiły, że potencjał protestów wzrósł.

Nie było zmiany pokoleniowej? Odniosłem wrażenie, że pojawiła się nowa klasa średnia, która chce innego prezydenta.

Spora część klasy średniej, tej mającej najlepsze zabezpieczenie materialne, jest powiązana z Łukaszenką. Nie ma jednak wątpliwości, że pojawiła się grupa młodych ludzi, dla których to, co mówi Łukaszenka, nie jest zbyt wiarygodne, bo oni to mogli w każdym momencie weryfikować na przykład za pomocą internetu. Znają języki, nie tylko rosyjski, ale i angielski, często wyjeżdżają na Zachód. Ci ludzie uważali, że on traktuje ich nie-

eprasa.pl d185a8d253

poważnie. Gdy poczuli, że ręka dyktatora nie jest za bardzo twarda i wyszli na ulice, policzyli się i fala protestu zaczęła narastać. Widać było, że Łukaszenka się przestraszył. Chodził z kałasznikowem po Mińsku.

Problem polegał na tym, że z jednej strony był system, który był dobrze zorganizowany, zakorzeniony, a z drugiej były tłumy, które traktowały protest jak happening. Z jednej strony polityk walczył o swoją przyszłość, był zdeterminowany, bo mógł stracić wszystko, a z drugiej – ludzie, którzy poczuli wolność i starali się nią naoddychać. Ale organizacja protestów była słaba.

Kto więc miał to zorganizować, jeśli Łukaszenka rozbijał i rozbija wszelkie formy aktywności?

Właśnie, nie było centrum, które mogłoby to zorganizować i wystąpić jako przeciwwaga dla dyktatora. Po początkowej panice, która trwała dwa–trzy tygodnie, Łukaszenka odzyskał wigor i zaczął robić to, co robi najlepiej, czyli dawkować przemoc.

Nie było centrum, bo każda nawet najdrobniejsza inicjatywa jest tłamszona, ale czy są jakieś grupy w otoczeniu Łukaszenki, które mogłyby przejąć władzę?

Są jakieś koterie, frakcje, które nie zawsze ze sobą dobrze żyją i rywalizują. Jednak system jest zamknięty, a my z zewnątrz mamy duże problemy, żeby go zdiagnozować. Na tym etapie nikt nie będzie z nami szczerze rozmawiać. Elity boją się, że to wycieknie i stanie się ich końcem. Wydaje się, że Łukaszenka wciąż kontroluje grupy wpływu w swoim otoczeniu, choć rzeczywiście taki „wewnątrzsystemowy przewrót" byłby najbardziej logicznym sposobem zmiany władzy na Białorusi.

Zawadzki, Zacharenko, Krasouski, Honczar – to kilka nazwisk, które wymieniane są w kontekście zabójstw politycznych na Białorusi. Dotąd nie zostały one wyjaśnione. Z jednej strony to są sprawy sprzed dwudziestu lat, z drugiej dużo mówią o naturze Aleksandra Łukaszenki i jego sposobie rządzenia.

To prawda. Pomysł na książkę *Białoruski snajper* narodził się jeszcze, gdy pracowałem w Mińsku. Szukałem jednak odpowiedniej formuły. Zabójstwo w 2016 roku w Kijowie pochodzącego z Białorusi dziennikarza Pawła Szeremeta stało się dla mnie taką klamrą, która pozwoliła wyjaśnić przyczyny pewnych wydarzeń. Dlatego książka jest zadedykowana „obrońcom prawdy", czyli niezależnym dziennikarzom, którzy pracują na Wschodzie, często ryzykując życie.

Paweł Szeremet zginął w lipcu 2016 roku w Kijowie, pod jego auto została podłożona bomba. Czy tu są jakieś nitki, które by prowadziły do Mińska?

Pojawił się niedawno przeciek (nagranie z 2012 roku), na którym ówczesny szef białoruskiego KGB Wadzim Zajcau mó-

eprasa.pl d185a8d253

wi o zabójstwach oponentów Aleksandra Łukaszenki. Tam było wyraźnie powiedziane, że lider Białorusi życzyłby sobie uciszenia Pawła Szeremeta. Łukaszenka jest pamiętliwym człowiekiem, a ten dziennikarz nieraz zalazł mu za skórę.

Ukrainie nie zależy na wyjaśnieniu tej sprawy? Można odnieść takie wrażenie, że śledztwo jest tak prowadzone, żeby minister spraw wewnętrznych Arsen Awakow nie tyle znalazł sprawców, ile uderzył w pewne środowiska na Ukrainie.

Myślę, że chodzi jeszcze o coś innego. Władze ukraińskie obiecały na pewnym etapie, że szybko tę sprawę wyjaśnią. Zaczęto na siłę kompilować pewne fakty, przedstawiano różne wersje, zatrzymano jakieś osoby nie bardzo powiązane z Szeremetem, motyw był wątpliwy. W pewnych środowiskach uznano, że ich zatrzymanie ma na celu dyskredytację środowiska wolontariuszy pomagających armii na froncie.

Wspomniał Pan o przecieku z KGB z 2012 roku, który pojawił się na początku stycznia tego roku. Czy mogą wyjść na jaw jakieś nowe dowody?

Dopóki nie zmieni się białoruski reżim, to trudno będzie mówić o dowodach. Natomiast jest bardzo dużo poszlak. Nikt nie ma wątpliwości, że były to zlecenia państwowe. Dyktator sam publicznie się przyznał do części tych zabójstw, które możemy określić jako popełniane w interesach państwa. Chodzi o to, że władze liczyły, że Białoruś będzie zarabiać na tranzycie, inwestowały w rozbudowę trasy M1, ale przeszkadzał w tym bandytyzm – rekiet na tej trasie. Żartowano, że Białoruś była takim trójkątem bermudzkim, gdzie wjeżdżał TIR i niknął po nim ślad. Łukaszenka uznał, że należy działać zdecydowanie, omijając prawo. Polecił swojemu głównemu współpracownikowi Wiktarowi Szejmanowi, który był w latach 1994–2000 szefem Rady Bezpieczeństwa, zorganizowanie grupy, która rozprawi się z liderami mafii. Dosłownie miał on „biegać po Białorusi z pistoletem i robić porządek". Po wielu bandytach zaginął wszelki ślad.

Co do zabójstw politycznych, to ślady wskazują jednoznacznie na robotę służb. Można się zastanawiać, z jakiego poziomu poszedł rozkaz, ale znając system władzy na Białorusi, nie ma wątpliwości, że rozkaz poszedł z samej góry. Potwierdził to raport eurodeputowanego Christosa Pourgouridesa, przygotowany na zlecenie Rady Europy, w którym Szejman został nazwany głównym podejrzanym o organizowanie politycznie motywowanych porwań, szwadronu śmierci. Trafił wówczas na unijną listę sankcyjną. Oczywiście śledztwo Pourgouridesa nie mogło pójść dalej, ale ustalono, że osobą, która wydawała rozkazy, był właśnie Szejman.

Wspomniał Pan o rozprawie z mafią. Czy można powiedzieć, że teraz na Białorusi nie ma przestępczości zorganizowanej?

eprasa.pl d185a8d253

Na pewno jest, tylko stara się działać bardziej skrycie i na mniejszą skalę. Nie mam wątpliwości, że białoruskie grupy przestępcze, już po zabójstwach ich liderów, zajmowały się na przykład rekietem na granicy polsko-białoruskiej.

W jakim stopniu nielegalna działalność jest zintegrowana z państwem? W śledztwach dziennikarskich często pojawiają się oskarżenia o to, że otoczenie Łukaszenki zajmuje się przemytem towarów z Unii Europejskiej do Rosji, których import jest oficjalnie zabroniony ze względu na sankcje, oraz kontrabandą papierosów do Wspólnoty.

Co do tego nie ma wątpliwości. Powstaje tylko pytanie, czy to jest na Białorusi nielegalne, skoro zajmują się tym najwyższe władze państwowe. Na przykład papierosy: nie wyobrażam sobie, żeby w warunkach białoruskich można było załadować dwa kontenery papierosów, odpowiednio zakamuflować i przerzucić przez granicę. To jest niemożliwe bez działania samych służb białoruskich, ponieważ – po pierwsze – nie jest możliwe kupno takiej ilości papierosów przez osobę prywatną, a po drugie – trzeba też zorganizować ich przemyt logistycznie.

W 2011 roku była afera związana z przemytem na Łotwę ogromnej ilości ropy naftowej, która wjeżdżała na Białoruś jako surowa ropa, potem stawała się formalnie produktem ropopochodnym, a potem znów ropą i była sprzedawana na giełdzie w Amsterdamie. Chodziło o uniknięcie opłat celnych, które powinny być przekazane do budżetu Rosji. I tu mówimy o interesach wartych miliardy dolarów. To jest niemożliwe na Białorusi, gdzie Łukaszenka podpisuje wszelkie dokumenty finansowe (nawet opiewające na kilka tysięcy dolarów), żeby przekręt na kilka miliardów był poza jego systemem władzy.

Nie mówiąc już o omijaniu rosyjskiego embarga na produkty z Unii Europejskiej, gdzie Białoruś jest traktowana jako pośrednik, który przerzuca towary z Zachodu.

Leszek Szerepka jest analitykiem i pisarzem. Pracował w MSZ, Ośrodku Studiów Wschodnich, w placówkach w Moskwie i Kijowie. W latach 2011–2015 był ambasadorem RP w Mińsku. W tym roku ukazała się między innymi jego książka *Białoruski snajper*, w której oparta na faktach fikcja polityczna odnosi się do zabójstw politycznych na Białorusi i zamachu w Kijowie w 2016 roku na pochodzącego z tego kraju dziennikarza Pawła Szeremeta.

eprasa.pl d185a8d253

„Jesteśmy gotowi!” Naprawdę?

Agnieszka Bryc

Im bardziej Polska marginalizuje swoją pozycję w Unii Europejskiej czy popada w konflikt z partnerami na Zachodzie, tym mniejszą wagę ma w relacjach z Rosją. Rząd Zjednoczonej Prawicy bagatelizuje ten fakt. A przecież skuteczna polityka wschodnia nie powinna ograniczać się do formuły bilateralnej.

Myśląc o polityce Polski wobec Rosji w ostatnich kilkunastu latach, mam przed oczami dwa obrazki. Pierwszy: premier Donald Tusk rozmawia z prezydentem Władimirem Putinem na sopockim molo. To symbol próby normalizacji wzajemnych stosunków. I drugi, nie tak odległy, bo z 2019 roku: minister Siergiej Ławrow i Jacek Czaputowicz rozmawiają w kuluarach szczytu Rady Europy w Helsinkach. Tym razem to symbol kryzysu polskiej dyplomacji.

Trudno jest oceniać relacje polsko-rosyjskie, zwłaszcza gdy ich kryterium jest skuteczność. Stosunki Polski z Rosją od lat są zamrożone i uwięzione w pułapce braku zaufania, a nawet wrogości. Prawo i Sprawiedliwość wygrało wybory, wykorzystując hasła antyrosyjskie, co po 2014 roku nie było tak nieoczywiste. Rosjanie z kolei nie byli zainteresowani podtrzymywaniem czy też naprawą stosunków z Polską. Nie zasiedliśmy przy stole negocjacyjnym, przy którym omawiano rozwiązanie konfliktu rosyjsko-ukraińskiego, nie mieliśmy najlepszych relacji z Ukrainą, a z partnerami europejskimi wpadaliśmy z jednego kryzysu w drugi. Sami pozbawiliśmy się znaczenia.

Kompromis – z założenia zgniły

Polityka Polski wobec Rosji cechuje się w ostatnich latach dualizmem. Z jednej strony mamy do czynienia z oficjalną narracją przedstawiającą Rosję jako państwo agresywne, z drugiej – obserwujemy próby wznowienia dialogu z Moskwą. Wydawałoby się to słuszne, gdyby nie to, że sami pouczamy naszych europejskich kolegów, że dialog bez warunków wstępnych nie zmieni postępowania Kremla. Co więcej, przez ostatnich sześć lat szefowie polskiej dyplomacji słali Moskwie sygnały, że

eprasa.pl d185a8d253

jesteśmy gotowi do poprawy wzajemnych relacji. Witold Waszczykowski przekonywał o tym w wywiadzie dla „Kommiersanta" w 2017 roku, rok później na jego łamach czynił to również Jacek Czaputowicz, te same deklaracje padły w 2019 roku w rozmowie z agencją TASS. Słowa: „Polska jest otwarta na dialog z Rosją", wypowiedział także nowy ambasador RP w Moskwie Krzysztof Krajewski w marcu bieżącego roku (wywiad dla agencji Interfax). My „sygnalizujemy", a rosyjski MSZ pozostaje letni w swojej reakcji. Rosjanom odpowiada, że mamy przypiętą łatkę państwa rusofobicznego – to po pierwsze. Po drugie, odpowiada im również sceptycyzm obozu rządowego wobec Unii Europejskiej. Traktowanie Brukseli jak ciała obcego wpisuje się w stanowisko Kremla, który głosi konieczność obrony tradycyjnych, nieliberalnych wartości oraz chrześcijaństwa w obliczu laicyzacji zachodnich społeczeństw, pochwałę silnej władzy, a także krytykę mieszania się obcych państw w suwerenne decyzje władz. I po trzecie, siła Polski (w ocenie Kremla) jest proporcjonalna do pozycji naszego kraju w ważnych dla Moskwy strukturach, takich jak NATO i Unia Europejska czy instytucje regionalne. Im bardziej marginalizujemy się w Unii czy popadamy w konflikt z partnerami na Zachodzie, tym mniejsze znaczenie mamy w relacjach z Rosją.

Rosjanom ewidentnie odpowiada łatka państwa rusofobicznego przypięta Polsce.

Rząd Zjednoczonej Prawicy bagatelizuje ten fakt. A przecież skuteczna polityka wschodnia nie powinna ograniczać się do formuły bilateralnej, tu nie mamy szans na forsowanie swoich interesów w relacjach z Rosją. Musi pozostać częścią współpracy wielostronnej. Najlepiej z partnerami europejskimi, tak jak czyniły poprzednie ekipy. Do tego jednak trzeba mieć zdolność koalicyjną, umiejętność perswazji oraz zrozumienie kompromisu.

O to jednak trudno. Pod tym względem przypominamy Rosjan, dla których kompromis z założenia jest zgniły, a polityka zagraniczna jest grą o sumie zerowej. Stąd wycofanie się USA z sankcji na Nord Stream 2 potraktowaliśmy jak zdradę. Na Szucha mieli świadomość, że była to inwestycja Białego Domu w relacje z najważniejszym amerykańskim sojusznikiem w Europie, Niemcami. Korzyść dla Rosji jest tego konsekwencją, tak jak i policzek dla Warszawy. Pretensje możemy mieć wyłącznie do siebie. W relacjach z Waszyngtonem opowiedzieliśmy się jednoznacznie po jednej stronie tamtejszego sporu wewnątrzpolitycznego. Popieraliśmy Donalda Trumpa nawet wtedy, kiedy było jasne, że zwycięzcą wyborów jest Joe Biden. Rejtan w wykonaniu rządu polskiego byłby nawet wytłumaczalny, lecz nie brak potępienia ataku na Kapitol. Dla administracji demokratycznej było to przecież wydarzenie o randze symbolicznej, drugie co do znaczenia po atakach z 11 września 2001 roku. Tym bar-

eprasa.pl d185a8d253

dziej dziwiła taka postawa, skoro mieliśmy pełną świadomość, że ewentualne zablokowanie dokończenia budowy Nord Stream 2 zależy od Białego Domu.

Na straconej pozycji

Wydaje się, że sukcesem Polski jest odrzucenie propozycji niemiecko-francuskiego tandemu zwołania szczytu Unia Europejska–Rosja z udziałem Władimira Putina, czemu sprzeciwiły się głównie państwa Europy Środkowej. Obawiam się jednak, że głos Wilna był uważniej słuchany niż Warszawy. Rzecz w tym, że dla wielu państw na Zachodzie przestaliśmy być punktem odniesienia w diagnozie sytuacji na Wschodzie. Nawet nie wykorzystujemy potencjału naszego największego sukcesu, czyli Partnerstwa Wschodniego. Co stoi na przeszkodzie, żeby dyplomacja kierowana przez polityków Prawa i Sprawiedliwości postarała się ożywić tę inicjatywę? Chyba nie to, że była ona projektem poprzedniej ekipy, czyli Platformy Obywatelskiej, a konkretnie zażartego krytyka obecnej władzy, ministra Radosława Sikorskiego. To prawda, Partnerstwo Wschodnie przeżywa głęboki kryzys, ale jego idea wciąż odpowiada polskiej racji stanu. Znowu więc polityka krajowa dominuje nad zagraniczną.

Dla wielu państw na Zachodzie przestaliśmy być punktem odniesienia w diagnozie sytuacji na Wschodzie.

Nie jesteśmy państwem wiarygodnym, kiedy nakłaniamy naszych europejskich partnerów, by ostrzej przeciwstawiać się agresywnej polityce Rosji, *vide* aneksja Krymu, wspierać rosyjską opozycję, *vide* Aleksiej Nawalny, zabiegać o poszanowanie praworządności przez rosyjskie władze czy potępić rosyjskie wsparcie w tłumieniu buntu społecznego na Białorusi przeciwko uzurpatorskiej władzy Aleksandra Łukaszenki. Warszawa sama ma problemy z praworządnością i nie jest stolicą, która mogłaby przekonać partnerów unijnych do bardziej asertywnej postawy względem Rosji. Ci coraz częściej głośno wytykają rządowi Zjednoczonej Prawicy autokratyczne ciągoty.

Przestaliśmy być także państwem dostarczającym Europie Zachodniej ekspertyzę wschodnią. Dzisiaj wszyscy spoglądają na Litwę, która przejęła dotychczasową rolę Polski. Wilno reaguje szybko, jest konstruktywne we wnioskach, przede wszystkim jednak proaktywne. Jednocześnie kraje Europy Zachodniej odbudowują swoje kompetencje eksperckie w sprawach wschodnich i coraz mniej polegają na opinii ekspertów z Polski. Tymczasem my pozostajemy z dobrą samooceną i przekonaniem o swojej racji, lecz bez większego wpływu na kształtowanie europejskiej polityki wschodniej.

eprasa.pl d185a8d253

Błędem pierwotnym stanowiącym źródło kryzysu polityki wschodniej jest uwikłanie spraw międzynarodowych w polsko-polską wojnę polityczną. Polityka zagraniczna stała się zakładniczką polityki wewnętrznej, żeby nie powiedzieć: partyjnej. Za rządów Zjednoczonej Prawicy teka spraw zagranicznych jest najsłabszą w gabinecie. Ideologizacja, myślenie magiczne oraz brak zrozumienia, że polityka zagraniczna jest zbyt ważna, by kompetencje zagraniczne rozproszyć poza MSZ, spowodowały, że problemy polityki wschodniej są jedynie częścią głębokiego kryzysu polskiej polityki zagranicznej.

W stosunkach polsko-rosyjskich można zidentyfikować kilka zagadnień problemowych. Jednym z nich jest kwestia zwrócenia stronie polskiej przez Rosję wraku samolotu, który rozbił się w 2010 roku pod Smoleńskiem. PiS wykorzystało instrumentalnie tę sprawę najpierw w marszu po władzę, a później na rzecz konsolidacji własnego elektoratu. Odzyskanie wraku miało być dowodem na sprawczość ekipy Prawa i Sprawiedliwości, w przeciwieństwie do imposybilizmu poprzedników. I ponownie polityka wewnętrzna zdominowała zagraniczną ze szkodą dla państwa. PiS brnęło w „narrację smoleńską", choć miało świadomość, że sprawa szczątków samolotu jest wyłącznie narzędziem w polityce Rosji. Moskwa tak długo będzie nim grać, jak długo wrak będzie w stanie podgrzewać nastroje w Polsce czy pogłębiać podziały społeczne.

Wiele kontrowersji w stosunkach Warszawy z Moskwą wywołała kwestia usuwania pomników żołnierzy radzieckich na terytorium Polski. Sprawa ta jest dla Rosjan niezmiernie ważna. Działania Warszawy szły w kontrze do postanowień umowy międzyrządowej z 1994 roku. Wychodzę z założenia, że są one jednak funkcją nie tyle relacji dwustronnych z Rosją, ile nieprzepracowanej przez Polaków przeszłości. Pomniki świadczą o konkretnym doświadczeniu historycznym. Mogą być wspomnieniem chwały, męstwa czy tragedii. Bądź stanowić przestrogę przed fatalnymi błędami. Zawsze jednak są lekcją, z której powinniśmy wyprowadzać wnioski. Nie ma więc znaczenia, czy chodzi o pomniki radzieckie czy cmentarze żydowskie.

Nie sposób również dostrzec w ostatnich latach sukcesów Polsko-Rosyjskiej Grupy do Spraw Trudnych. Kiedy współprzewodniczącym był profesor Adam Daniel Rotfeld, Grupa działała prężnie. Pamiętamy chociażby publikację o białych i czarnych plamach wspólnej historii, w której swoje interpretacje przedstawiały obie strony. W ten sposób powstało naprawdę unikatowe dzieło, a historycy mieli platformę do dialogu. Po przejęciu władzy przez rząd Prawa i Sprawiedliwości Grupa do Spraw Trudnych okazała się problematyczna dla nowej ekipy. Wymieniono więc jej skład. W efekcie pozostaje *de facto* martwa. Z drugiej strony prezydent Putin prowadzi ofensywną wobec Polski politykę historyczną. Relatywizuje pamięć zbiorową własnego kraju, zarzucając Polakom między innymi antysemityzm w latach trzydzie-

eprasa.pl d185a8d253

stych XX wieku czy przyczynienie się do wybuchu II wojny światowej. Siłą rzeczy dajemy się wciągać w dyskusje, które z historią, tym bardziej historyczną prawdą, nie mają wiele wspólnego. Historia jest bowiem dla Kremla kolejnym narzędziem presji na państwa problematyczne, takie jak Polska. Zresztą presją doskonale rozegraną, co obserwowaliśmy w styczniu 2020 roku, kiedy prezydent Andrzej Duda zrezygnował z udziału w uroczystościach w Jerozolimie upamiętniających Holokaust, w których głównym gościem był właśnie przywódca Rosji.

Litwa przejmuje pałeczkę

Odnosząc się do spraw społeczno-gospodarczych, warto zwrócić uwagę na kwestię likwidacji małego ruchu granicznego z Kaliningradem. Sprawa ma wymiar polityczny, gospodarczy, jak również bezpieczeństwa. W mojej ocenie jego likwidacja była błędem. Rozumiem względy bezpieczeństwa, lecz od czego są odpowiednie służby? Mały ruch graniczny to zawsze miękkie i długofalowe korzyści. Poprawia sytuację bytową społeczności po obu stronach granicy, umożliwia wzajemne kontakty, odczarowywanie stereotypów i budowanie odporności na propagandę. Nic przecież lepiej nie rozbraja napięcia niż bezpośredni kontakt.

Warto przyjrzeć się również bezpieczeństwu energetycznemu w stosunkach dwustronnych. Wydaje się, że w ostatnich latach głównym problemem była dla nas budowa drugiej nitki Nord Stream 2. Tymczasem błędem, który popełnialiśmy, było nadmierne koncentrowanie się na projekcie, na którego zatrzymanie szansa była przecież znikoma. Nord Stream 2 był zrealizowany w 95 procentach, a my wciąż liczyliśmy, że Amerykanie, mając do wyboru poprawę relacji z ich głównym partnerem europejskim i wsparcie kraju, który z trudem przyjął zmianę władzy w Białym Domu, nie będą kierować się swoim interesem. Brakuje nam myślenia wyprzedzającego i podejścia zadaniowego. Zamiast celebrować porażkę i oskarżać partnerów o porzucenie Polski, należało już dawno realizować scenariusz B, podjąć nawet trudne decyzje – energia jądrowa czy zielona, czy może i jedna, i druga. Przede wszystkim jednak działać z założeniem, że gazociąg jest faktem.

Na koniec warto przeanalizować politykę rządu PiS wobec byłych republik radzieckich, które odgradzają nas od Rosji, a które zawsze postrzegane były jako pas bezpieczeństwa pomiędzy Polską a naszym największym wschodnim sąsiadem.

Natychmiast narzuca się porównanie z polityką prowadzoną przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Cechowało go większe zrozumienie spraw międzynarodowych, miał też swoją wizję polityki wschodniej. Tego z kolei brakuje Jarosławowi Kaczyńskiemu. Jest on zainteresowany wyłącznie polityką krajową. I na jej potrzeby pozwala na konflikty z Berlinem. Są one oczywiście naturalnym elementem polityki, lecz

eprasa.pl d185a8d253

powinny wynikać z obiektywnej racji lub potrzeby państwa, a nie interesu partyjnego. Widzimy także, że Kaczyński boi się Moskwy, co przekłada się na coraz większą bierność i bezsilność polskiej dyplomacji w relacjach z państwami na Wschodzie.

Niedawno w sprawie uwięzionych na Białorusi Polek potrzebowaliśmy protekcji Nursułtana Nazarbajewa. Nasze kanały dyplomatyczne w państwie Aleksandra Łukaszenki są zablokowane. Polska miała być bezpieczną przystanią dla uciekających z milicyjnego państwa Łukaszenki Białorusinów. Natomiast przypadek Ramana Pratasiewicza stał się symbolem błędów i niepoważnego podejścia do polityki zagranicznej. Premier Morawiecki wielokrotnie obiecywał wszelką pomoc dla uciekających z Białorusi. Wystarczyło więc od słów przejść do czynów, usprawnić procedury biurokratyczne, wydać azyl polityczny Pratasiewiczowi i jego kolegom. Białorusini nie musieliby wyjeżdżać na Litwę w poszukiwaniu lepszej ochrony. W rezultacie po raz kolejny okazujemy się państwem niewiarygodnym. Nieodpowiedzialne wypowiedzi polityków najwyższego szczebla, na przykład marszałka Ryszarda Terleckiego, nie poprawiają sytuacji. A przecież stawką jest zbudowanie przyszłych, przyjaznych Polsce postłukaszenkowskich elit na Białorusi.

W relacjach z Ukrainą dość szybko okazało się, że nie jesteśmy atrakcyjnym partnerem. Kijów woli bezpośrednio rozmawiać z Berlinem lub Waszyngtonem. Co nie dziwi, jeśli przypomnimy, że podczas gdy Ukraina była pogrążona w wojnie, destabilizowana przez Rosję i przechodziła trudną transformację wewnętrzną, strona polska podkreślała głównie różnice we wzajemnych relacjach, a kluczowymi sprawami były dla nas problemy historyczne. Był moment, że poważnie zastanawiałam się nad tym, kto odpowiada za kontakty z Kijowem: MSZ czy IPN? Nie wypominając wypowiedzi szefa gabinetu politycznego MSZ Jana Parysa, który stwierdził, że „Polska poradzi sobie bez niepodległej Ukrainy". Co w istocie jest prawdą, lecz niekoniecznie motywującą Kijów do współpracy z Warszawą.

Problemy polskiej polityki wschodniej wynikają nie tylko ze skomplikowanej materii międzynarodowej. Są częścią poważniejszego systemowego kryzysu polityki zagranicznej naszego państwa.

Na Kaukazie Południowym Gruzja stała się „misją zbyt odległą". W Tbilisi po wyjątkowych relacjach z czasów Lecha Kaczyńskiego pozostało wspomnienie. Bardziej atrakcyjny dla polskiego rządu okazał się Azerbejdżan, podobnie jak Turcja i inne kraje o problematycznych relacjach z Zachodem. Zastanawiam się, dlaczego działania wspierające demokratyzację państw poradzieckich przestały być istotne. Przecież wzmacnianie praworządności i demokracji w krajach byłego ZSRR zakotwicza je na Zachodzie, a tym samym czyni Polskę bezpieczniejszą.

eprasa.pl d185a8d253

Problemy polskiej polityki wschodniej wynikają nie tylko ze skomplikowanej materii międzynarodowej. Są częścią poważniejszego systemowego kryzysu polityki zagranicznej naszego państwa. Naprawa wymaga zdecydowanych działań. Po pierwsze, należy przywrócić konsensus ponadpartyjny dla priorytetów polityki zagranicznej, w tym w relacjach ze Wschodem. Po drugie, przywrócić rangę dyplomacji – jej profesjonalizm i jakość służby. Po trzecie, odmitologizować politykę wschodnią, porzucić magiczne myślenie, własne kompleksy i jasno sprecyzować koncepcję. I po czwarte, odbudowywać wiarygodność i zaufanie w relacjach z Ukrainą, Białorusinami oraz Gruzją. A także utrwalać wizerunek Polski jako przykładu sukcesu transformacji, w tym namacalnego dowodu skutecznej ucieczki z rosyjskiej strefy wpływów.

Opracował Wojciech Wojtasiewicz

Agnieszka Bryc jest adiunktką w Instytucie Politologii Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu; doktorka nauk politologicznych, publicystka. Specjalizuje się między innymi we współczesnej polityce rosyjskiej.

eprasa.pl d185a8d253

W tym tekście nie piszę o Giedroyciu

Kacper Wańczyk

Ukraińskiej dyplomacji Polska jest potrzebna z dwóch powodów. Po pierwsze: jako kraj, który podtrzymuje zainteresowanie Ukrainą w NATO. Po drugie: jako państwo, które wciąż mówi w Unii Europejskiej o wojnie rosyjsko-ukraińskiej.

Tradycyjnie relacje z sąsiadami nie należą do najłatwiejszych. Podobnie jest w przypadku stosunków polsko-ukraińskich. Łączy nas i dzieli wiele. Choć polscy politycy lubią na każdym kroku podkreślać, że to Warszawa jako pierwsza uznała niepodległość Kijowa, a ukraińscy politycy często wspominają strategiczny sojusz z Polską, to codzienność naszych relacji pełna jest potyczek i drobnych złośliwości. Dlaczego tak się dzieje?

Infrastruktura stosunków dwustronnych

Przegląd relacji polsko-ukraińskich zacznijmy od tego, co stanowi sól pracy każdego dyplomaty. Od spotkań i rozmów między politycznymi reprezentantami obu krajów.

Praca w Ambasadzie RP w Kijowie wymaga specyficznego zestawu cech. Nie wystarczy znać się na ekonomii, kulturze, polityce, wojskowości czy sprawach konsularnych. Niezbędne są umiejętności logistyczne i kondycja dyrektora sporej agencji turystycznej.

Wizyty polskich polityków różnych szczebli i różnych „barw" w Ukrainie odbywają się niezależnie od tego, jak ich temperaturę opisują media. Jednak od obrazu medialnego relacji zależy gotowość polityków ukraińskich do spotykania się z polskimi partnerami.

Ambasada Ukrainy w Warszawie jest mniej obciążona wizytami. Ale gdy już do nich dochodzi, ukraińscy dyplomaci proszą o spotkania z wierchuszką polskich polityków niezależnie od szczebla ukraińskiej delegacji. Listę rozpoczyna prezydent RP (lub przynajmniej szef Kancelarii Prezydenta) i kończy wiceminister spraw zagranicznych. I znów: niezależnie od medialnej koniunktury relacji polsko-ukraińskich na większość tych spotkań strona polska się zgadza.

eprasa.pl d185a8d253

Istnieją też grupy wielostronne, w których uczestniczą oba kraje. Mamy format Grupy Wyszehradzkiej i Ukrainy czy niedawno utworzony Trójkąt Lubelski (Polska, Litwa i Ukraina). Reprezentanci polityczni obu krajów spotykają się regularnie w trakcie różnych globalnych wydarzeń dyplomatycznych – przy okazji Zgromadzenia Generalnego Organizacji Narodów Zjednoczonych czy Zgromadzenia Parlamentarnego Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie.

Polska polityka wobec Ukrainy pozostaje rozpięta między dwoma wersjami pozy starszego brata. Obie zakładają spoglądanie na Kijów z góry.

Są też tak wielkie medialne wydarzenia jak ostatnie obchody 230-lecia Konstytucji 3 maja, w których uczestniczył prezydent Wołodymyr Zełenski.

Stworzono szereg grup na szczeblu roboczym, takich jak Komitet Konsultacyjny Prezydentów, Polsko-Ukraińska Komisja Międzyrządowa ds. Współpracy Gospodarczej oraz inne grupy międzyresortowe. Współpraca międzyparlamentarna odbywa się w ramach Polsko-Ukraińskiej Grupy Parlamentarnej. Ponadto sformowano gremia współpracy społecznej czy naukowej, jak na przykład Polsko-Ukraińskie Forum Partnerstwa lub Polsko-Ukraińskie Forum Historyków.

Infrastruktura stosunków polsko-ukraińskich jest więc rozbudowana. Właściwie każda sfera posiada odpowiednie miejsce, w którym można je omawiać. Każdy problem mógłby być rozwiązany. Skoro zatem mamy tak rozbudowane relacje, to czemu jest w nich tyle komplikacji? Czemu niewiele z problemów, które trapią nas od ćwierćwiecza, udało się rozwiązać?

Dwa światy dyplomacji

Uważam, że wynika to z tego, że Polska i Ukraina operują w zupełnie innych światach dyplomatycznych.

Kijów od dawna utrzymuje głębokie relacje z największymi graczami sceny międzynarodowej. Ukraińska dyplomacja jest w regularnym kontakcie z Berlinem, Paryżem czy Waszyngtonem. Z tego poziomu relacje z Polską są w zasadzie sprawą drugorzędną.

Doskonale widać to w programowym artykule *Zadanie z trzema wiadomymi* autorstwa Igora Żowkwy, zastępcy szefa Biura Prezydenta Ukrainy. Tekst został opublikowany w tygodniku „Dzerkało Tyżnia" w styczniu bieżącego roku. Mówi o celach ukraińskiej polityki zagranicznej; Polska wymieniona jest wśród państw kontynentu europejskiego na samym końcu.

eprasa.pl d185a8d253

Ukraińskiej dyplomacji Polska jest potrzebna z dwóch powodów. Po pierwsze: jako kraj, który podtrzymuje zainteresowanie Ukrainą w NATO. Po drugie: jako państwo, które wciąż mówi w Unii Europejskiej o wojnie rosyjsko-ukraińskiej.

Kijów wie, że Polska i tak będzie wspierać współpracę NATO z Ukrainą. Z jednej strony dlatego, że leży to w polskim interesie bezpieczeństwa, z drugiej – dlatego, że Warszawa jest wykonawcą polityki Waszyngtonu.

Ukraińscy partnerzy nie odczuwają więc potrzeby rozwiązywania realnych problemów. Wystarczą regularne spotkania z polskimi politykami, po których wyda się odpowiednie oświadczenie. W związku z tym Kijów wybiera sobie formaty i rozmówców, unikając tych struktur dialogu, które wymagałyby rozwiązywania problemów. Dlatego tak wiele z wymienionych formatów jest *de facto* martwych.

Tymczasem polska polityka wobec Ukrainy pozostaje rozpięta między dwoma wersjami pozy starszego brata. Obie zakładają spoglądanie na Kijów z góry.

Jeden typ tej postawy oparty jest na założeniu, że Polska jest opiekunem, który pomoże Ukrainie w „drodze na zachód". Dlatego należy przymykać oko na różne drobne niedociągnięcia. Nie należy zadawać niewygodnych pytań o realizację zapisów umowy stowarzyszeniowej z Unią Europejską ani warunkować polskiej współpracy rozwojowej z Ukrainą postępami w reformach.

Drugi typ pozy wywodzi się z poczucia wyższości. Zakłada, że Ukraina to słabszy partner. Stąd oczekuje się, że Kijów będzie realizował wszystko, czego Polska zażąda, i w sposób, jaki tego zażąda.

Co zabawne, zdarza się, że obie te pozy się przenikają. Wprawdzie domagamy się obrony statusu języka polskiego w Ukrainie, ale nie wykorzystamy żadnego realnego narzędzia nacisku. W naszym bowiem interesie jest wspieranie Kijowa.

Stąd polska polityka wobec Ukrainy nie ma jasnych celów, poza tymi, które – jak wspomniałem – są efektem bycia przez Polskę podwykonawcą polityki USA w regionie. Brak jasnych celów nie pozwala na dążenie do rozwiązywania problemów, skazuje nas na dryfowanie od kryzysu do kryzysu.

Oczywiście fakt, że Ministerstwo Spraw Zagranicznych RP w zasadzie już nie koordynuje polityki wobec Ukrainy, nie pomaga. Dyplomacja ukraińska może stosować tradycyjny zabieg z sowieckiej szkoły dyplomacji: izolowania różnych partnerów i prowadzenia z nimi różnych dialogów.

Miękki wpływ

Drugą zasadniczą różnicą między Polską i Ukrainą jest siła wpływu nieformalnego. Chodzi mi o kwestie, które w dyplomacji określa się mianem polityki publicznej. W tym obszernym worku mieszczą się: sztuka, literatura, film i – oczywiście – kwe-

eprasa.pl d185a8d253

stie historyczne. Choć sprawy te umykają często z pola codziennej debaty o relacjach polsko-ukraińskich, to one jednak decydują o ich długofalowym charakterze. Tworzą bowiem strukturę umysłową naszych stosunków.

Polskie zaangażowanie kulturalne w Ukrainie jest bardzo silne. Nie tylko chodzi o naukę języka polskiego (jeden z najpopularniejszych obecnie języków obcych tam nauczanych), promocję polskiej literatury, koncerty czy wystawy polskiej sztuki. Realizowane są także wspólne projekty – czy to dwustronne, czy w ramach projektów Partnerstwa Wschodniego.

Jednak to ukraińscy inteligenci i artyści potrafią zmieniać programy polskich festiwali kulturalnych. W 2016 roku organizatorzy Festiwalu Conrada anulowali zaproszenie dla Zachara Prilepina, rosyjskiego nacjonalistycznego pisarza i działacza. Stało się to pod naciskiem ukraińskich uczestników wydarzenia.

Prilepin, który uczestniczył z bronią w ręku w konflikcie rosyjsko-ukraińskim po stronie rosyjskiej, gotów był przyjechać na spotkanie ze skrajnie nieprzyjazną publicznością. Kto wie – być może to spotkanie pozwoliłoby lepiej zrozumieć postawy sporej części rosyjskiego społeczeństwa. Jednak z powodu siły ukraińskiego wpływu towarzysko-kulturalnego nigdy się tego nie dowiemy.

Innym przykładem miękkiej siły Ukrainy jest sprawa podejścia do polsko-ukraińskiego dialogu historycznego. Kwestia ta w ostatnich latach stała się jednym z elementów definiujących przynależność do obozu politycznego. Dlatego środowiska opozycyjne wobec obecnego polskiego rządu dominuje gotowość do powielania ukraińskiej narracji historycznej.

Nie zamierzam usprawiedliwiać konfrontacyjnego stanowiska części środowisk w tej sprawie. Pomysły typu drukowanie nowych polskich paszportów ozdobionych rysunkiem Cmentarza Łyczakowskiego we Lwowie, zmiana ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej czy stwierdzenia „z Banderą do Europy nie wejdziecie" nie sprzyjają budowaniu atmosfery dobrych relacji.

Jednak powtarzanie tez ukraińskiej oficjalnej narracji historycznej też nie prowadzi do rzetelnej dyskusji historycznej. Narracja ta nie jest zbudowana na wynikach badań historycznych. To zestaw politycznych haseł. Został stworzony, kiedy Instytutem Pamięci Narodowej Ukrainy kierował Wołodymyr Wiatrowycz. To nie tylko znawca historii Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) i Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA), ale konsekwentny negacjonista udziału ukraińskich ugrupowań zbrojnych w Holokauście.

Ponieważ narracja stworzona przez Wiatrowycza ma charakter mitu – nie podlega dyskusji. Dlatego nawet gdy w Warszawie rządziła koalicja bardziej otwarta na dialog historyczny z Ukrainą, Kijów ignorował wszelkie propozycje dyskusji w tej sprawie. Mitów nie można analizować, należy w nie wierzyć.

eprasa.pl d185a8d253

Gdy władzę w Polsce przejęła koalicja z PiS na czele, Kijów zaczął lansować hasło „zostawmy historię historykom". Postulat ten, słuszny i promowany przez część polskiej inteligencji, nie może jednak być zrealizowany po forsownej ideologizacji dialogu historycznego przez Ukrainę. Tym bardziej nie można go zrealizować wobec partnera, który także dąży do ideologizacji dialogu historycznego.

Nowy paradygmat

Biorąc pod uwagę powyższe rozważania, uważam, że potrzebna jest zmiana w paradygmacie podejścia do Ukrainy. Postulował to już na łamach „Nowej Europy Wschodniej" Wojciech Konończuk (*Czas na doktrynę postgiedroyciowską wobec Ukrainy*, NEW, nr 1/2018).

Po pierwsze, niezbędne jest wyjście z pozy „starszego brata". Pozwoli to na pragmatyczne spojrzenie na Ukrainę i nasze interesy w relacjach z tym krajem.

Polska inteligencja powinna odegrać w tej transformacji paradygmatu kluczową rolę. Jedna jej część musi przestać nazywać Iwano-Frankiwsk „Stanisławowem" i zrozumieć, że empatia jest warunkiem zdrowego dialogu dwustronnego. Druga – zaniechać zamiatania pod dywan odpowiedzialności ukraińskich bojowców za czystki etniczne i bezapelacyjnie wspierać kijowskich polityków.

Po drugie, niezbędne jest zdefiniowanie własnych celów polskiej polityki wobec Kijowa. Takich, które nie wynikają z naszych relacji z USA. Uważam, że w centrum nowej polityki powinna się znaleźć sprawa współpracy z Unią Europejską, do której współpraca w dziedzinie bezpieczeństwa byłaby istotnym, ale jednak dodatkiem.

Brak jasnych celów polskiej polityki wobec Ukrainy nie pozwala na dążenie do rozwiązywania problemów. Skazuje nas na dryfowanie od kryzysu do kryzysu.

Stowarzyszenie z Unią jest idealnym narzędziem, które pozwoliłoby na zreformowanie Ukrainy. Do pewnego stopnia to już się dzieje, ale proces jest powolny i nierówny. Przyczyną takiego stanu jest brak prawdziwego nacisku międzynarodowego na Kijów w sprawie realizowania zapisów umowy. Tymczasem zreformowana Ukraina, ściśle związana z Unią Europejską była celem rewolucji godności. Ukraińcy wyszli na ulice w proteście przeciwko rezygnacji prezydenta Wiktora Janukowycza z podpisania umowy stowarzyszeniowej.

I to jest trzeci istotny element nowego paradygmatu polityki wobec Ukrainy: ukraińskie społeczeństwo. Od czasu rewolucji godności jest ono realnym podmiotem. Lata po rewolucji sprawiły, że zaczęło się ono odwracać od polityków, którzy nie wydają się zainteresowani realizacją długofalowych reform. Stąd to właśnie oby-

eprasa.pl d185a8d253

watele powinni być podstawowymi partnerami polskiej dyplomacji. Do nich należy adresować większość programów współpracy, by ułatwić im domaganie się od ukraińskich polityków zmian w kraju.

Co więcej, potrzebna jest także polityka wobec Ukraińców mieszkających w Polsce. Obecnie jedynie gdzieniegdzie na szczeblu lokalnym realizowane są działania integracyjne. A tylko szeroka i planowa integracja imigrantów z Ukrainy może pomóc zminimalizować napięcia między obywatelami polskimi i rosnącą grupą przyjezdnych. Niezbędna jest także znacznie większa wrażliwość władz centralnych i lokalnych wobec mniejszości ukraińskiej w naszym kraju. Utrzymujące się napięcie w Przemyślu pokazuje, że tej wrażliwości dziś nie ma.

Ta nowa, realistyczna i długofalowa polityka pozwoliłaby na realizację polskiej racji stanu w wyniku stabilizacji Ukrainy, a przez to i całego regionu. Wymaga ona jednak zasadniczej zmiany paradygmatu myślenia decydentów w sferze polskiej polityki zagranicznej. Na razie nie widzę choćby jaskółki, która by ją zwiastowała. Do głowy przychodzi wiersz Bohdana Zadury *Hotel Ukraina*:

wstyd mi kochani
że tym bardziej
jestem z wami
im bardziej nie słyszę
waszych przywódców
i wszystkich
którzy mówią
do was ze sceny
również po polsku.

Kacper Wańczyk jest byłym polskim dyplomatą. Pracował między innymi jako naczelnik Wydziału Ukrainy i Mołdawii w Departamencie Wschodnim MSZ, w Ambasadach RP w Mińsku i Kabulu, w misji EU EUBAM Libya. Wizytujący badacz grupy analitycznej Białoruś w Regionie (Studium Europy Wschodniej UW). Student studiów doktoranckich w Akademii Leona Koźmińskiego (ekonomia), gdzie przygotowuje rozprawę poświęconą modelowi białoruskiej gospodarki. Publikował teksty na temat polskiej polityki wschodniej, Białorusi i Rosji.

eprasa.pl d185a8d253

Rosja – czas dojrzewania

Z Dmitrijem Treninem, wicedyrektorem Moskiewskiego Centrum Carnegie, rozmawia Kuba Benedyczak

KUBA BENEDYCZAK: Jaka jest dziś najważniejsza myśl strategiczna determinująca politykę zagraniczną Rosji Władimira Putina?

DMITRIJ TRENIN: Kreml zdaje sobie sprawę, że architekturę światową określa rywalizacja chińsko-amerykańska. W ramach tej rywalizacji Rosja stara się złapać równowagę między dwoma centrami siły: Pekinem i Waszyngtonem. Oznacza to odejście od myślenia o „blokowej" polityce zagranicznej, która wymagałaby od Rosji przyłączenia się do Chin przeciwko Ameryce lub do Ameryki przeciwko Chinom. Rosja nie chce się do nikogo przyłączać, dąży do zbudowania możliwie dobrych relacji z najsilniejszymi graczami w każdym regionie świata, nie zapominając jednocześnie o asertywnej, niekiedy agresywnej obronie własnych interesów. Dobrze widać to na przykładzie Bliskiego Wschodu, gdzie państwo rosyjskie nie odgrywa roli supermocarstwa, nie posiada sojuszników ani przeciwników, nie stara się nikomu narzucać swojego modelu politycznego ani gospodarczego, nie przynosi „postępowej ideologii", nie próbuje nawet jak w czasach sowieckich nikogo jednoczyć do walki z „amerykańskim imperializmem". Najzwyczajniej w świecie stara się na Bliskim Wschodzie realizować swoje interesy gospodarcze, a w nieco mniejszym stopniu interesy geopolityczne. Czyli nawet nasze relacje z Syrią [gdzie Rosja posiada bazę wojskową – przyp. red.] są całkowicie odmienne od relacji łączących Stany Zjednoczone z członkami NATO, co zresztą wielokrotnie podkreślał Siergiej Ławrow.

Pana słowa odbieram mniej więcej tak, jak kiedyś mówiło się o Wielkiej Brytanii, która nie ma wrogów ani przyjaciół, a jedynie żywotne interesy. Władisław Surkow w artykule o polityce zagranicznej Rosji nazwał to „samotnością mieszańca".

Od trzystu lat Europa była dla Rosji punktem odniesienia, wzorem do naśladowania i źródłem modernizacji. Rosja chciała być jak Europa Zachodnia – najpierw jak Francja, potem jak Anglia i Niemcy. Trzysta lat europocentryzmu wiele Rosji dały, przede wszystkim dążenie do tego, by stać się bardziej nowoczesną, włączając w to okres rządów Gorbaczowa i Jelcyna. Mimo że lata osiemdziesiąte i dziewięćdziesiąte XX wieku bardzo się u nas krytykuje, to pozwoliły one Rosji stać się lepszym państwem. Jednak ten okres dobiegł końca i drugiego takiego punktu odniesienia Rosja szukać nie bę-

eprasa.pl d185a8d253

dzie, nie będzie chciała upodabniać się do Chin, USA czy Indii. Tak samo jak człowiek nie może być wiecznym uczniem, tak i państwo nie może wiecznie spoglądać na innych. Kiedy dorastamy i zaczynamy poznawać świat, chcemy być jak ktoś inny. Jak pisał nasz poeta Władimir Majakowski, pragniemy stworzyć własne życie z kogoś innego. Po angielsku nazywa się to *role model*.

Mnie się ten koncept podoba, ale już widzę reakcję polskich czytelników: Rosja Putina jako nastolatka wybijająca się na dorosłą niezależną kobietę.

Niekoniecznie nastolatka. Ja to poczułem, mając trzydzieści trzy lata.

Bo mężczyźni dojrzewają później niż kobiety.

Możliwe, ale ja poczułem to właśnie wtedy, tak samo jak Rosja teraz.

A jaka będzie ta dorosła i samoświadoma Rosja?

Rosyjska. Z własnym modelem rządzenia, który wywodzi się z jej doświadczenia historycznego, który jest bliższy modelowi azjatyckiemu niż europejskiemu. Przy czym nie mam wcale na myśli modelu chińskiego. Proszę spojrzeć na Japonię. Formalnie to państwo zachodnie. Demokracja parlamentarna. W rzeczywistości jednak Japończycy tworzą społeczeństwo kolektywne, oparte na azjatyckiej koncepcji harmonii między rządzącymi i rządzonymi. Tak się złożyło, że rosyjski model polityczny i państwowy wywodzi się z dwóch źródeł: Bizancjum i Złotej Ordy [okres władzy imperium mongolskiego nad Rusią symbolicznie datowany na lata 1240–1480 – przyp. red.]. W okresie Piotra Wielkiego [1682–1725 – przyp. red.]. Rosja zaczęła sobie szyć europejskie kostiumy, ale jej esencja pozostała bizantyjsko-mongolska. To ona determinowała schemat państwa w czasach Piotra I, Mikołaja II, Stalina, Gorbaczowa, a dzisiaj Putina, ponieważ jest głęboko osadzona w podświadomości narodu rosyjskiego. Wszelkie próby rewolucjonizowania i europeizowania tych skryptów, na przykład przez bolszewików Lenina czy jelcynowskich liberałów w latach dziewięćdziesiątych nie przyniosły rezultatu.

Dlaczego?

Ponieważ chcieli przełamać materię, a jak mawia nasze narodowe przysłowie: „nie wolno łamać przez kolano", gdy materiał się nie poddaje. Znowu użyję tego porównania: tak jak człowiek musi żyć w zgodzie z samym sobą, tak polityczny model musi odpowiadać historii i kulturze narodu, wtedy okazuje się bardziej trwały i harmonijny.

Powiedział Pan, że Moskwa chce złapać równowagę między Pekinem a Waszyngtonem, ale w ostatnich latach to z Chinami, a nie ze Stanami Zjednoczonymi jest Rosji po drodze. Podczas gdy USA nakładają na Rosję sankcje, rosyjsko-chińska współpraca militarno-gospodarcza

eprasa.pl d185a8d253

rozkwita, przez co wielu ekspertów mówi o sojuszu niedźwiedzia ze smokiem przeciwko demokratycznemu światu.

Współpracy rosyjsko-chińskiej nie można nazwać sojuszem, choć przyznaję, to coś więcej niż strategiczne partnerstwo. Ten ostatni termin zresztą jest obecnie potwornie nadużywany i ulega dewaluacji. Sam zadałem sobie trud, by znaleźć właściwe słowo na współpracę Rosji z Chinami. Nie odnalazłem go ani w języku rosyjskim, ani angielskim, chińskiego nie znam. Najodpowiedniejszy wydał mi się francuski termin „ententa". Dlatego, że ententa zakłada zbieżne stanowisko w kluczowych kwestiach. I tutaj ono faktycznie występuje.

Jakie to kwestie oprócz niechęci do Stanów Zjednoczonych?

Oba państwa uważają, że porządek globalny nie powinien mieć jednego koloru, czyli koloru demokracji liberalnej, tak jak życzą sobie tego państwa Zachodnie. Chiny i Rosja chcą stworzyć wielobiegunową, wielobarwną przestrzeń globalną, wewnątrz której znajdzie się miejsce dla specyficznego chińskiego kapitalizmu sterowanego przez partię komunistyczną, specyficznej indyjskiej demokracji, specyficznych modeli ustrojowych państw Bliskiego Wschodu i Ameryki Łacińskiej oraz specyficznego modelu rosyjskiego, który jedynie na papierze jest demokracją. Drugie spoiwo rosyjsko-chińskiej ententy to prawo międzynarodowe. Co prawda, państwa Zachodu odsądzają w tej kwestii Rosję od czci i wiary, oskarżając o permanentne łamanie prawa międzynarodowego, ale ja się z tym nie zgadzam.

Wie Pan, to pierwsze brzmi sensownie, ale to drugie nieco dziwnie, biorąc pod uwagę aneksję Krymu czy separatystyczne republiki w Gruzji i na Ukrainie sponsorowane przez Rosję.

Chodzi o coś innego. Rosja wychodzi z założenia, że stosunki między państwami powinno regulować prawo międzynarodowe, które za najważniejszą zasadę uważa suwerenność państwa i niemieszanie się w jego wewnętrzne sprawy. Jest to do pewnego stopnia prolongata pokoju augsburskiego z 1555 roku, który wnosił zasadę *cuius regio, eius religio* (czyj kraj, tego religia). Jeśli chcecie, żeby rządziła wami partia komunistyczna, to nam nic do tego, bądźcie sobie komunistami, nie będziemy was zmieniać na siłę. Mówi o tym rosyjskie przysłowie: „Nie chodź do cudzego klasztoru ze swoimi prawami" [co oznacza, że należy przestrzegać zasad państwa, w którym się gości – przyp. red.]. Pekin myśli podobnie i jest to ważne w kontekście współpracy rosyjsko-chińskiej, bo pozwala obu państwom unikać wzajemnej krytyki w kwestiach wewnętrznych, czego nie można powiedzieć o relacjach Rosji z USA.

To jest poziom meta rosyjsko-chińskiej ententy. A jak się ona materializuje, jak wygląda przemiana chleba i wina w ciało i krew?

eprasa.pl d185a8d253

W ostatnich trzydziestu latach Chiny – największy sąsiad Rosji – wyrósł na gospodarcze i technologiczne mocarstwo. Moskwa nie mogła nie wykorzystać tego faktu do własnej modernizacji. Kiedyś jedynym jej źródłem był Zachód, ale teraz również Chiny. Kiedy przed 2014 rokiem Rosja ogłaszała swój *piwot* na Wschód, nie miała na myśli odwrócenia się plecami do Europy, lecz czerpanie z obu źródeł modernizacji jednocześnie. Ponadto Kreml wiedział, że musi zrobić coś dla modernizacji Syberii i rosyjskiego Dalekiego Wschodu, inaczej ten ogromny obszar naszego kraju wejdzie w orbitę wpływów innych graczy. Po 2014 roku *piwot* na Wschód zmienił znaczenie, ponieważ Chiny stały się jedyną potęgą gospodarczą, która nie dołączyła do sankcji nałożonych na Rosję. Przynajmniej formalnie, bo chińskie korporacje i banki boją się podejmować współpracę z Rosją, aby nie podlegać amerykańskim sankcjom. Także celem była równowaga, ale obecnie jest ona zaburzona na rzecz Chin. Nie mogę jednak powiedzieć, by była to wina Moskwy. O ile kiedyś zajmowaliśmy się w zbyt dużym stopniu Zachodem, poświęcając za mało uwagi państwom dalekowschodniej Azji, o tyle obecna sytuacja nie wynika z naszego wyboru.

Pewnie się powtarzam, ale jednak Krym nie anektował się sam, a „zielone ludziki" same nie wylądowały w Donbasie.

Te dwie kwestie należałoby omówić oddzielnie, co nie zmienia faktu, że Rosja nie chce być odcięta od gospodarek USA i państw Unii Europejskiej, a stało się tak wbrew jej woli.

Czy właśnie dlatego Rosja stara się być tak aktywna w regionie Indo-Pacyfiku, między innymi krytykuje inicjatywę QUAD (Czterostronny Dialog Bezpieczeństwa Indii, USA, Japonii i Australii), nazywając go „azjatyckim NATO"?

Po pierwsze, region Indo-Pacyfiku to polityczna koncepcja, a nie region. Po drugie, każde państwo: USA, Indie, Japonia, Rosja, stworzyło własne koncepcje Indo-Pacyfiku, które jak mawiali marksiści, „nie odzwierciedlają obiektywnej rzeczywistości". Po trzecie, amerykańska koncepcja pojawiła się – będę mówił otwarcie, a nie formułkami z amerykańskich dokumentów – gdy Stany Zjednoczone oficjalnie nazwały Chiny zagrożeniem dla swojej globalnej hegemonii i w związku z tym za konieczne uznały zjednoczenie azjatyckich sojuszników przeciwko Pekinowi. Po czwarte, amerykańska koncepcja napisana jest z pozycji mocarstwa morskiego, które projektuje siłę militarną i handlową za pomocą floty. Stąd łączy ona dwa oceany: Indyjski i Spokojny.

I czego szuka tutaj rosyjskie mocarstwo lądowe?

Dla Rosji oceany nie mają znaczenia. Kiedy politycy na Kremlu rozwijają mapę lub kręcą globusem, widzą jedynie Euroazję, stąd Rosja wypracowała własną koncepcję Wielkiej Euroazji zasadzającą się

eprasa.pl d185a8d253

na platformie kontynentalnej. Ale moim zdaniem Rosja powinna zaproponować koncepcję uzupełniającą, która byłaby oparta na trzech oceanach: Indyjskim, Spokojnym i Arktycznym. W Arktyce Rosja ma przecież bardzo silną pozycję. Rosyjska koncepcja powinna pokazywać morskie i lądowe szlaki handlowo-transportowe – od Murmańska do Bombaju. Byłoby to dla świata interesujące i nie stwarzałoby wrażenia, że jest skierowane przeciwko komukolwiek. Niedawno mówiłem kolegom z Nowego Delhi, że Rosja nie przyłączy się do indyjskiej lub amerykańskiej koncepcji Indo-Pacyfiku, choćby dlatego, że nie chce drażnić Chin.

Indie i Rosję łączy niemal siedemdziesięcioletnia przyjaźń oraz formalne strategiczne partnerstwo. Jednak w ostatnich latach ich relacje uległy ochłodzeniu. Moskwę boli coraz bliższa współpraca indyjsko-amerykańska, za co otwarcie krytykuje Delhi i ostentacyjnie rozwija kontakty z Pakistanem. To z kolei boli władze Indii.

W kwietniu bieżącego roku Siergiej Ławrow, minister spraw zagranicznych Rosji, po wizycie w Indiach wsiadł w samolot i odleciał do Islamabadu, co stanowi najlepszy komentarz do napięć między Moskwą a Delhi.

Co tym gestem chciał powiedzieć Ławrow władzom Indii?

Chcecie współpracować z Amerykanami, proszę bardzo, wasze prawo, ale w takim razie i my mamy swoje interesy. Pakistan to ważna część układanki w Afganistanie, z którym już teraz mamy wiele problemów, a będziemy mieć jeszcze więcej, gdy wyjdą z niego Amerykanie. Poza tym to ponad dwustumilionowe, największe na świecie państwo muzułmańskie. Zatem skoro nam nie przysługuje prawo weta wobec waszej współpracy z Amerykanami, to i wy nie zabronicie nam współpracy z Islamabadem. Oczywiście, Rosjanie nie zamierzają wchodzić w żadne alianse z Pakistańczykami przeciwko Indiom, o ile tylko indyjskie władze nie wpadną na pomysł, aby w zamian za określone korzyści współpracować z Amerykanami przeciwko Rosji. Myślę, że Indie to dla Rosji pouczający przykład, pokazuje, że w stosunkach międzynarodowych nie ma sojuszników i przyjaźni na wieczność. W trakcie zimnej wojny można było być pewnym promoskiewskiej orientacji Indii, ale dzisiaj już nie. Dzisiaj należy przyjąć następujące założenie: część interesów mamy zbieżnych, część przeciwstawnych, ale spróbujmy ze sobą żyć tak dobrze jak tylko potrafimy. Jak już mówiłem, Rosję wiele nauczyło ostatnie sześć na Bliskim Wschodzie, gdzie w tym samym czasie prowadziła negocjacje z Iranem i Izraelem, z Kurdami i z Turcją.

Podczas lutowej wizyty Josepa Borrella, wiceprzewodniczącego Komisji Europejskiej, w Moskwie Ławrow w ostrych słowach powiedział, że właściwie dialog na linii Rosja–Unia Europejska nie istnieje, podobnie jak wypracowane przez ostatnie dwadzieścia

eprasa.pl d185a8d253

lat mechanizmy współpracy. Kreml postawił krzyżyk na Wspólnocie?

Patrzę na tę sprawę nieco inaczej. Prawdziwy publiczny skandal został wywołany dopiero w Parlamencie Europejskim po powrocie Borella z Moskwy. Eurodeputowani zarzucili mu, że nie był w stanie obronić pozycji Unii Europejskiej, że pozwolił się poniżyć. A proszę zwrócić uwagę, że sama konferencja Borella z Ławrowem była utrzymana w tonie chłodnej, ale jednak „cywilnej" dyplomacji. Oczywiście nie zmienia to faktu, że o ile Rosja utrzymuje relacje z najważniejszymi europejskimi stolicami, o tyle relacje między Brukselą i Moskwą praktycznie wygasły. Ma to przełożenie chociażby na gospodarkę – handel między państwami Unii Europejskiej a Rosją od 2013 roku zmniejszył się dwukrotnie. To jedna strona medalu. Druga to prostackie zachowanie Rosji podczas tej wizyty, czyli wydalenie unijnych dyplomatów, co stanowi zaprzeczenie tradycjom sowieckiej i rosyjskiej szkoły dyplomacji. Bez wątpienia Rosja potrafi działać brutalnie wobec swoich przeciwników, ale w dyplomacji nie zachowuje się prostacko. Amerykanie lubią to robić, sądząc, że jest to oznaka siły, ale nie Rosjanie.

W takim razie dlaczego Ławrow i Rosja zachowali się prostacko?

Prawdopodobnie nasze służby specjalne chciały wysłać stanowczy sygnał Brukseli, że przysyłanie tutaj swoich emisariuszy, aby bronili opozycjonisty Aleksieja Nawalnego, to nie sposób na rozmowę z Rosją, bo przecież po to przyjechał unijny przedstawiciel do spraw zagranicznych, prawda? Aby na wewnętrzny użytek zademonstrować, że Unia Europejska nie ignoruje tego, co dzieje się z Nawalnym.

W artykule na temat przyszłości relacji rosyjsko-unijnych napisał Pan, że jednych i drugich dzielą różnice wartości. Tego rodzaju stwierdzenie pada bardzo często, ale ja zawsze zastanawiam się: co to tak naprawdę znaczy, czy to aby nie pusta abstrakcja?

Pierwsza rzecz to model polityczny, historycznie determinujący Rosję. Druga to fakt, że Rosja jako państwo wyrosła na fundamencie ochrony własnego bezpieczeństwa i wertykalnej struktury władzy, która to dążyła do odtworzenia mocarstwa. Stąd dla Rosji wartości i cele państwa stoją na pierwszym miejscu, a wartości i cele jednostki schodzą na drugi plan, co zresztą zbliża Rosję z Chinami, Japonią i Koreą, za to oddala od Europy, a nawet od Ukrainy, której ziemie nie wchodziły w skład Złotej Ordy. Proszę zauważyć, że odkąd w 1991 roku zaistniało państwo ukraińskie, nie było ono ani silne, ani opresyjne wobec jednostki, stąd do tej pory utrzymuje się tam system oligarchiczny. Zatem w relacji państwo–jednostka tkwi podstawowa różnica między Rosją i Unią Europejską.

Sądzi Pan, że Rosja i Stany Zjednoczone skazane są na konflikt, a maksimum, jakie mogą osiągnąć, to formuła, która wybrzmiała podczas

eprasa.pl d185a8d253

czerwcowego spotkania Putina z Joem Bidenem w Genewie: pokojowa konfrontacja?

Tak, Rosja i Stany Zjednoczone skazane są w kolejnych latach na konflikt, ale konflikt regulowany. Dobrze pokazuje to sytuacja na Ukrainie. Ten konflikt może cichnąć bądź wybuchać na nowo, ale ma wbudowane bezpieczniki hamujące eskalację, takie jak na przykład członkostwo Kijowa w NATO czy stała obecność amerykańskich wojsk na Ukrainie, co wywołałoby militarną reakcję Moskwy. Poza tymi bezpiecznikami może być nakładana nieskończona ilość sankcji, mogą padać wyzwiska i najbardziej niestworzone oskarżenia. Ale samo sedno stosunków amerykańsko-rosyjskich będzie podlegało chłodnej regulacji. To może mieć swoje dobre strony, bo jak mawia Rahm Emanuel, doradca Baracka Obamy, który później został burmistrzem Chicago: *„Never waste a good crisis"*, czyli „Nigdy nie trać dobrego kryzysu". Rządzącym w USA i Rosji powinno się powiedzieć: *Never waste a good confrontation*. Nie zaprzepaszczajcie swojej konfrontacji, wyciągnijcie z niej dla siebie tyle dobrego, ile możecie.

A co dobrego może wynieść dla siebie Rosja z konfrontacji z silniejszym przeciwnikiem?

Rosja potrzebuje znaczących zmian, jeśli chodzi o elitę polityczną, a mówiąc dosadniej, o jej stosunek do państwa i społeczeństwa. Musi zmienić sposób prowadzenia polityki, który dziś służy wyłącznie jej interesom, a nie rozwojowi państwa. Konfrontacja z USA już teraz do pewnego stopnia przysłużyła się Rosji. Kiedy Waszyngton nałożył na nią sankcje i zablokował eksport niektórych towarów, nagle pojawili się u nas ludzie, którzy uruchomili własny proces produkcyjny. Wcześniej panowała zasada: sprzedajemy gaz i ropę naftową, a całą resztę kupimy, chodziło jedynie o to, by naftowi i gazowi magnaci pozostali szczęśliwi. Aż tu nagle trzeba było pomyśleć o tym, jak stworzyć technologię produkcji, innowacyjne gałęzie gospodarki, rozwinąć klasę średnią. Jestem optymistą również dlatego, że nigdy w naszej historii nie mieliśmy gorszych elit niż obecnie, więc może być tylko lepiej.

A elita stalinowska? A bezbarwna elita trzech starców z KC – Breżniewa, Andropowa i Czernomyrdina? Do czasów Dymitra Samozwańca już nie chcę sięgać, ale...

Oj, nie. Obecna elita nie służy ani państwu, ani społeczeństwu, a jedynie samej sobie. Nawet elita Chruszczowa czy Breżniewa, która posiadała istotne braki, służyła Związkowi Radzieckiemu, bo wypełniała plany i przestrzegała żelaznych reguł ustanowionych przez Komitet Centralny. Z kolei elita stalinowska w ciągu dziesięciu lat stworzyła potęgę przemysłową państwa sowieckiego, a w ciągu sześciu miesięcy zdolna była ewakuować połowę tego przemysłu o tysiąc kilometrów, tak aby nie przejęli go naziści. A to byli bardzo młodzi ludzie. Aleksiej Kosygin, który nadzorował ewakuację przemysłu, miał zaledwie trzydzieści siedem lat!

eprasa.pl d185a8d253

Ale oni robili to za cenę milionów istnień ludzkich oraz dlatego, że towarzyszyła im wręcz religijna wiara w nową komunistyczną ojczyznę i jej świetlaną przyszłość.

Zgadza się, ale wiara to jeden z podstawowych czynników motywujących istotę ludzką do działania. Obecnie na przykład prezydent Joe Biden próbuje przywrócić Amerykanom wiarę w demokrację, ponieważ zdaje sobie sprawę, że bez tej wiary w Ameryce może rozpaść się wiele amerykańskich osiągnięć, które zostały na jej fundamencie zbudowane. Wracając do Rosji, to właśnie obecny wśród naszej elity brak wiary w cokolwiek, jej apatia i cynizm powodują, że jest ona tak słaba. A co gorsza, ryba psuje się od głowy. Apatia i cynizm elit przechodzą na całe rosyjskie społeczeństwo, które staje się coraz bardziej zatomizowane i egoistyczne. Wystarczy popatrzeć, jak jeżdżą nasi kierowcy, by zrozumieć zjawiska, o których mówię.

Pana słowa potwierdzałyby żelazną zasadę polskiego myślenia o Rosji – że trzeba ją możliwie najbardziej dociskać do ściany.

Nie, chodzi o to, że w modernizacji Rosji czynnik zewnętrzny zawsze odgrywał znaczącą rolę. Reformy Piotra Wielkiego miały miejsce nie dlatego, że Piotr Wielki tak pokochał Europę, ale dlatego, że chciał wygrać ze Szwecją. Reformy Aleksandra II były rezultatem porażki w wojnie krymskiej [1853–1856 – przyp. red.], a jak napisał amerykański sowietolog Steven Kotkin w swojej monumentalnej biografii Stalina, stalinowska modernizacja i uprzemysłowienie było niczym innym jak oczekiwaniem na napaść Hitlera. I podobnie może być teraz. A poza tym nie demonizowałbym konfrontacji rosyjsko-amerykańskiej. To normalne, że państwa ze sobą rywalizują, kłócą się, stają przeciwko sobie oraz przedstawiają odmienne interesy i wartości.

Jest Pan surowy dla Rosji, ale w wywiadach mocno punktuje Pan również Stany Zjednoczone za błędy, jakie popełniły wobec Rosji po rozpadzie Związku Radzieckiego.

Jelcyn, a w początkach swoich rządów także Putin chcieli integracji z Zachodem. Jelcyn miał nadzieję na pełnowartościową integrację ze strukturami państw zachodnich. Natomiast lord Robertson [George Robertson, sekretarz generalny Sojuszu Północnoatlantyckiego – przyp. red.] mówił mi, że kiedy Putin doszedł do władzy, zaproponował wejście Rosji do NATO i stworzenie dla niej odrębnej ścieżki dojścia do tego celu. Ale zostało to odrzucone przez Amerykanów. Kiedyś widziałem w tym błąd. Dziś rozumiem, że gdyby Amerykanie zgodzili się na propozycję Putina, mieliby do czynienia z państwem wewnątrz Sojuszu, które podważa ich pozycję i w efekcie utraciliby status hegemona wewnątrz NATO. Amerykanie nie byli gotowi zapłacić tak wysokiej ceny. Tym bardziej, że Rosjanie nie zamierzali wykupić biletu wstępu do Sojuszu, jakim jest uznanie amerykańskiej do-

eprasa.pl d185a8d253

minacji nad sobą. Ale jednocześnie skutkiem ubocznym odrzucenia putinowskiej propozycji odczuwanym do dziś jest to, że Kreml postrzega działania NATO jako próbę podważenia rosyjskich interesów przez Waszyngton.

Z dzisiejszej perspektywy trudno wyobrazić sobie Rosję wewnątrz NATO, ale są ludzie, którzy twierdzą, że USA byłoby łatwiej rywalizować z Chinami, gdyby miały Moskwę po swojej stronie.

Zupełnie się z tym nie zgadzam. Zanim doszło do otwartej rywalizacji USA–Chiny, NATO z Rosją w swoim gronie musiałoby zmierzyć się z fundamentalną różnicą zdań na temat Bałkanów, Bliskiego Wschodu, Korei Północnej czy właśnie Chin, czego nie zaakceptowałyby Stany Zjednoczone, ponieważ nie były i nie są gotowe zrezygnować ze swojej supremacji. Dla Amerykanów bycie numerem jeden na świecie to część ich tożsamości, między innymi dlatego, że pozostają jedynym państwem, które dotąd nie poniosło historycznej porażki. A tym samym Amerykanie uważają się za niewinnych ludzi, w przeciwieństwie do obywateli europejskich mocarstw postkolonialnych, Niemców, którzy przegrali II wojnę światową, Rosjan, którzy zostali pokonani w zimnej wojnie, bądź Chińczyków, którzy przeżyli sto lat narodowego poniżenia. Niestety, dopóki Amerykanie nie zaznają smaku porażki, nie uznają żadnego innego państwa za równe sobie. Ale jak pokazała historia, nie ma państwa, które istnieje wiecznie, a tym bardziej nie ma państwa, które dominuje całą wieczność.

A rozszerzenie NATO na wschód? Rosyjskie władze ciągle powołują się na argument „przybliżania infrastruktury Sojuszu Północnoatlantyckiego do granic Rosji".

Z pewnością Amerykanie mogli rozegrać tę kwestię inaczej, dlatego że w latach dziewięćdziesiątych Rosja przestała być zagrożeniem dla USA, stała się po prostu zbyt słaba. Zresztą i obecnie nie jest dla Ameryki poważnym przeciwnikiem. W okresie zimnej wojny, gdy Związek Radziecki posiadał status supermocarstwa, a komunizm dążył do tego, by stać się dominującą na świecie ideologią, NATO było niezbędne. Ale po 1991 roku Amerykanie wcale nie potrzebowali tego bloku wojennego, tylko nowej jakościowo struktury. Przecież USA nie będą musiały bronić się przed Rosją. Rozumiem, że na amerykański użytek wewnętrzny taki mit jest potrzebny, ale nadal rosyjskie zagrożenie dla Stanów Zjednoczonych pozostaje wyłącznie mitologiczną opowieścią. Natomiast użycie wojskowej potęgi Sojuszu tam, gdzie to naprawdę potrzebne, na Bliskim Wschodzie czy nie daj Boże przeciwko Chinom, byłoby albo trudne, albo niemożliwe. Dlatego rozszerzenie NATO na wschód uważam za bezcelowe i niepotrzebnie antagonizujące Rosję.

Sądzi Pan, że bez rozszerzenia Sojuszu Północnoatlantyckiego o państwa Europy Środkowej i Wschodniej

eprasa.pl d185a8d253

relacje amerykańsko-rosyjskie wyglądałyby dzisiaj inaczej?

Być może udałoby się uniknąć niektórych problemów, takich jak na przykład wojna na Ukrainie. Kiedy ostatni raz, w lutym 2014 roku, podczas monachijskiej konferencji bezpieczeństwa rozmawiałem ze Zbigniewem Brzezińskim, powiedział mi coś mądrego: że należałoby znaleźć sposób na uczynienie z Ukrainy państwa buforowego, które nie zagrażałoby rosyjskim interesom, a jednocześnie miało szansę na zbliżenie z Europą. Osobiście nie wierzę w żaden „zachodni spisek", którego celem byłoby odciągnięcie Ukrainy od Rosji, sądzę natomiast, że zarówno USA, jak i Unia Europejska poświęciły Ukrainie zbyt mało uwagi oraz nie zastanowiły się nad rosyjskimi interesami. Moskwa była gotowa na trójstronne negocjacje z władzami Ukrainy i przedstawicielami Unii Europejskiej. W 2014 roku ministrowie spraw zagranicznych Francji, Niemiec i Polski, w tym mój dobry kolega Radek Sikorski, popełnili kolosalny błąd, podporządkowując się woli przywódców Majdanu. Dopiero co zawarli z Wiktorem Janukowyczem i Rosją umowę, a już za chwilę pozwolili go obalić Majdanowi, który przecież nie zyskał jeszcze uznania międzynarodowego jako legalna władza na Ukrainie.

Rosja również popełniła wiele błędów na Ukrainie.

Oczywiście. Kardynalnym błędem Putina było to, że w 2013 i 2014 roku próbował zrobić z Ukrainy członka Eurazjatyckiej Unii Gospodarczej. Gdyby mu się udało, Ukraina Janukowycza wyssałaby z Rosji wszystkie soki. Podczas każdej sesji Rady Unii Euroazjatyckiej kazałaby sobie płacić ogromnymi kontraktami za każde podniesienie dłoni.

Tak samo jak dzisiaj Białoruś Łukaszenki.

Dziesięciokrotnie drożej, a koniec końców, i tak odwróciłaby się do Rosji plecami – z jednego powodu, którego, zdaje się, nie rozumieją na Kremlu. Projekt państwowości ukraińskiej, niezależnie od opcji politycznej, nie zakłada integracji kulturalnej, politycznej i gospodarczej z Rosją, ponieważ wówczas państwowość ukraińska straciłaby sens. Wtedy Ukraina stałaby się drugą Syberią, kolejną krainą geograficzną Rosji. To po prostu niemożliwe. Gdyby Putin zrealizował swój plan w 2014 roku, Rosja znajdowałaby się w o wiele gorszej sytuacji niż obecnie, a Ukrainę i tak czekałaby wojna, ponieważ jej zachodnia część próbowałaby oderwać się od państwa zintegrowanego z Moskwą. Kraje zachodnie udzielałyby jej pomocy, a Rosja musiałaby przerzucić swoje zgrupowanie wojskowe na ukraińskie terytorium, jednocześnie wspierając gospodarczo kulejące państwo Janukowycza.

Dmitrij Trenin jest rosyjskim politologiem, wicedyrektorem Moskiewskiego Centrum Carnegie. Publikuje między innymi w „Foreign Affairs".

eprasa.pl d185a8d253

Dezinformacja po środkowoeuropejsku

Dominika Kardaś

W ciągu ostatniego roku mogliśmy obserwować, jak dezinformacja wpływa na ludzi i ich wybory na bardzo podstawowym poziomie. To nie jest jakiś abstrakcyjny problem, ale coś, co może mieć wpływ na nasze zdrowie i życie – mówi Veronika Víchová z organizacji Evropske hodnoty. Analitycy z czeskich, słowackich i węgierskich think tanków opowiadają o tym, jak w ich krajach wygląda problem fake newsów oraz manipulacji faktami.

17 kwietnia premier Czech Andrej Babiš ujawnił, że zdaniem śledczych odpowiedzialność za eksplozje w składach amunicji w rejonie Vrbětic (2014 rok) ponoszą członkowie rosyjskiego wywiadu wojskowego GRU. W reakcji na to odkrycie władze państwa zdecydowały się wydalić osiemnastu rosyjskich dyplomatów. I wtedy czeskie media zalała fala fake newsów.

Raport Semantic Visions – prasko-londyńskiej firmy, która na co dzień monitoruje około pięciu tysięcy źródeł dezinformacji w samych Czechach – wykazał, że już następnego dnia po ogłoszeniu tej wiadomości liczba dezinformujących komunikatów na temat incydentu ponad trzykrotnie przewyższała liczbę fałszywych doniesień o pandemii koronawirusa (tego dnia sześćdziesiąt dziewięć zweryfikowanych fake newsów dotyczyło ataku GRU, pandemii – jedynie dziewiętnaście, o połowę mniej niż średnia z marca). Za dużą część nieprawdziwych lub manipulacyjnych treści na temat eksplozji w Vrběticach odpowiadał finansowany z rosyjskich pieniędzy portal Sputnik News. Kłamliwe materiały rozpowszechniały między innymi teorię, że wydalenie rosyjskich dyplomatów z ambasady Czech to sposób na przypodobanie się Stanom Zjednoczonym, a cała afera została wyciągnięta na światło dzienne (czy też: spreparowana) właśnie teraz, aby stworzyć pretekst do odsunięcia rosyjskiej firmy Rosatom od przetargu na budowę elektrowni atomowej Dukovany II.

Dodatkową konfuzję spowodował znany z prokremlowskich sympatii prezydent Czech Miloš Zeman, który na konferencji prasowej mówił między innymi, że istnieją dwa możliwe scenariusze wydarzeń z 2014 roku (choć nie ma o tym mowy w oficjalnych doniesieniach) i że właściwie nie istnieją dowody na obecność oficerów GRU w wysadzonych składach broni (choć śledczy twierdzą inaczej).

eprasa.pl d185a8d253

Spiski nasze powszechne

To, co wydarzyło się niedawno w Czechach, jak w soczewce skupia najważniejsze problemy związane z dezinformacją w krajach Europy Środkowej. Informacyjne operacje wpływu prowadzone przez Kreml padają tu na podatny grunt. Jak wynika z opublikowanego w czerwcu 2021 roku raportu GLOBSEC Trends, Czechy, Słowacja i Węgry należą do państw, w których panuje wysoki poziom antyunijnych nastrojów (w Czechach jedynie 66 procent społeczeństwa popiera członkostwo w Unii Europejskiej), brak zaufania do mainstreamowych mediów (do czego przyznaje się 69 procent badanych narodowości węgierskiej) i dość powszechna sympatia względem Rosji (na Słowacji 47 procent uważa Rosję za ważnego strategicznego partnera, a 55 procent pozytywnie ocenia Władimira Putina jako polityka).

Według wcześniejszego badania przeprowadzonego przez tę samą organizację, *Voices of Central and Eastern Europe* z czerwca 2020 roku, aż 60 procent Słowaków wierzy, że polityka międzynarodowa w rzeczywistości nie jest prowadzona przez oficjalnych liderów państw, ale przez tajne grupy wpływu. Ich celem jest przejęcie kontroli nad światem. Czesi i Węgrzy są w tej kwestii bardziej sceptyczni (z tezą o światowym spisku zgadza się po 29 procent badanych w każdym z tych narodów), za to odpowiednio 49 procent i 56 procent z nich uważa, że antyrządowe protesty, które miały miejsce w ostatnich latach w ich krajach, zostały ustawione i sfinansowane przez George'a Sorosa. Również 54 procent słowackich respondentów twierdzi, że protesty, które doprowadziły do zmiany władzy w 2018 roku, były finansowane z zagranicy. W sumie okazuje się, że aż 56 procent Słowaków wierzy w różnego rodzaju teorie spiskowe. To największy odsetek wśród dziesięciu narodów uwzględnionych w badaniu. Następne w kolejności znalazły się Bułgaria i Rumunia, a za nimi – z wynikiem 35 procent uplasowały się Węgry. Czesi zajęli szóste miejsce. W Polsce wiarę w spiskową teorię dziejów deklaruje 29 procent respondentów.

Péter Krekó w artykule *The Drivers Of Disinformation in Central and Eastern Europe and Their Utilization During the Pandemic* wskazuje cztery przyczyny, dla których mieszkańcy Europy Środkowej i Wschodniej są wyjątkowo podatni na manipulacyjne treści rozpowszechniane przez propagandowe przyczółki Rosji, a także Chin.

Po pierwsze, w krajach takich jak Czechy, Węgry czy Słowacja rozdarcie pomiędzy Wschodem i Zachodem potęguje poczucie zagrożenia i niższości względem skonfliktowanych ze sobą mocarstw (Rosji, Stanów Zjednoczonych oraz Chin). Po drugie, w krajach tych obserwujemy silną mitologizację Rosji połączoną z nostalgią za Związkiem Radzieckim, popularną zwłaszcza wśród przedstawicieli starszego pokolenia. Trzecią kwestią jest wzmacniający się przede wszystkim na Węgrzech (a także w Polsce) trybalizm i coraz głębsze podziały społeczne. Dodatkowy, czwar-

eprasa.pl d185a8d253

ty czynnik, stanowią budzące wiele emocji spory terytorialne – choć teoretycznie zażegnane na poziomie polityki międzynarodowej i ustaleń administracyjnych, to wciąż żywe w pamięci zbiorowej. Tu, według badań opublikowanych przez Pew Research Center w raporcie *Spring 2019 Global Attitudes Survey*, prym wiodą Węgrzy. 67 procent z nich zgadza się ze stwierdzeniem, że jakaś część sąsiadującego kraju tak naprawdę powinna należeć do nich.

W gruncie rzeczy wszystkie te kwestie sprowadzają się do konstatacji, że społeczeństwa targane niepokojami i konfliktami stają się łakomym kąskiem dla dezinformatorów.

Konspiratorzy

Słowacka strona Konšpirátori.sk zajmuje się analizą witryn internetowych pod kątem rzetelności podawanych informacji. Aktualnie wymienia dwieście dziesięć portali czeskich i słowackich rozpowszechniających antynaukowe treści, fałszywe informacje, teorie spiskowe lub mowę nienawiści, a także niespełniających standardów jakościowego dziennikarstwa. Do lutego 2020 roku najbardziej poczytnym medium na tej liście były słowackie Hlavné správy, konserwatywny portal o neofaszystowskich sympatiach, odpowiedzialny między innymi za dezinformację na temat konfliktu na Ukrainie oraz sytuacji w Stanach Zjednoczonych. Władze portalu wniosły jednak pozew do sądu, sprzeciwiając się umieszczeniu na liście Konšpirátori.sk, i jak na razie twórcy niechlubnego rankingu musieli usunąć z niego Hlavné správy.

Aż 60 procent Słowaków wierzy, że polityka międzynarodowa w rzeczywistości nie jest prowadzona przez oficjalnych liderów państw, ale przez tajne grupy wpływu. Ich celem jest przejęcie kontroli nad światem.

O niskich standardach dziennikarskich portalu świadczyć może chociażby fakt, że w drugiej połowie 2020 roku specjalizujący się w tematyce fake newsów dziennikarz Jakub Goda pod fałszywym nazwiskiem nawiązał współpracę z jego redakcją. Goda zdążył opublikować kilka artykułów opartych na fałszywych informacjach, zanim redakcja zorientowała się, że padła ofiarą podstępu. Jeden z tekstów Gody opowiadał całkowicie zmyśloną historyjkę o muzułmańskim burmistrzu New Jersey, który chciał zakazać słowa *„Christmas"*.

Jednak nierzetelne i nastawione na dezinformację media nie są jedynym źródłem problemu dezinformacji w Europie Środkowej.

– Na Słowacji otwarcie prokremlowskie media istnieją od wielu lat, niektóre z nich mają potwierdzone powiązania z rosyjskimi organami, na przykład agencją

eprasa.pl d185a8d253

RIA Novosti, otrzymują finansowanie z Rosji etc. Ale ostatnimi czasy obserwujemy spadek popularności tych źródeł. W statystykach widać, że największe zaangażowanie budzą profile polityków, celebrytów i publicystów w mediach społecznościowych – mówi Daniel Milo, analityk think tanku GLOBSEC. Jeszcze kilka lat temu osoby te zabiegały o obecność w prorosyjskich kanałach informacyjnych, a teraz jest odwrotnie. Politycy przejęli właściwie wszystkie najbardziej kontrowersyjne tematy w debacie publicznej (od pandemii, przez konflikt na Ukrainie, po rolę Stanów Zjednoczonych w polityce międzynarodowej) i tym samym zdeklasowali portale dezinformacyjne. Co ciekawe, mówię tu o osobach znajdujących się nierzadko na dwóch przeciwstawnych biegunach światopoglądowych. Dezinformacja nie jest tylko domeną prawicy. Często po samej treści posta albo komentarza nie sposób wywnioskować, czy napisał go skrajnie lewicowy poseł, czy też może były neonazista, który przeflancował się na patriotę – wyjaśnia Milo.

Serwis bzdur najnowszych

Temat dezinformacji i fake newsów jest obecny w mediach już od kilku lat. W Europie i poza nią powstały liczne organizacje oraz programy mające na celu podnoszenie jakości informacji oraz *media literacy*, czyli umiejętności korzystania z mediów (skalę działań podejmowanych w ramach Unii Europejskiej pokazuje na przykład raport *Mapping of media literacy practices and actions in EU-28* przygotowany w 2016 roku przez European Audiovisual Observatory na zamówienie Komisji Europejskiej).

Aktualnie 210 portali czeskich i słowackich rozpowszechnia antynaukowe treści, fałszywe informacje, teorie spiskowe lub mowę nienawiści, a także nie spełnia standardów jakościowego dziennikarstwa.

– Od mniej więcej lat 2014–2015 zaczęliśmy odnotowywać pierwsze przejawy prokremlowskiej dezinformacji, zaszła duża zmiana w świadomości publicznej. Temat został szybko podchwycony przez dziennikarzy, przebił się do mediów głównego nurtu i ludzie są bardziej świadomi, że coś takiego istnieje. Niestety nie oznacza to wcale, że są bardziej odporni na manipulację – mówi Veronika Víchová, zastępczyni dyrektora ds. analiz czeskiego think tanku Evropske hodnoty oraz dyrektorka programu Kremlin Watch.

– Badania pokazują, że ludzie są coraz bardziej zaniepokojeni dezinformacją i manipulacją w przestrzeni medialnej – zgadza się Daniel Milo z GLOBSEC. – Problem polega na tym, że nadal konsumują ogromne ilości kontentu, który nosi znamiona manipulacji. Co może być zaskakujące, bardzo często są zdania, że to mainstreamo-

eprasa.pl d185a8d253

we media – które mimo wszystko muszą utrzymywać pewne standardy – prowadzą kampanie dezinformacyjne. W efekcie odbiorcy ci zwracają się ku tak zwanym alternatywnym źródłom informacji – dodaje.

Nie pomaga też retoryka stosowana przez polityków partii opozycyjnych, którzy piętnują media mainstreamowe jako stronnicze i kłamliwe, a do tego zachęcają swoich wyborców, by poszukiwali alternatyw.

– Nawet były premier Słowacji Robert Fico wykorzystuje alternatywne, szerzące teorie spiskowe media jako narzędzie polityczne. Oczywiście chodzi mu o to, by znaleźć dojście do potencjalnych wyborców, ale jednocześnie jako ważny polityk partii opozycyjnej legitymizuje wątpliwej jakości dziennikarstwo uprawiane przez te portale, czasopisma czy rozgłośnie. Bo jeżeli były szef rządu jednego dnia rozmawia z profesjonalnym dziennikarzem, a drugiego udziela wywiadu foliarzom, czyli zwolennikom teorii spiskowych, rozpowszechniającym bzdury o chemtrailsach i reptilianach, to komunikat płynie z tego taki, że oba kanały informacyjne traktowane są równorzędnie – komentuje Daniel Milo.

Jak pokazują wyniki raportu GLOBSEC, w ciągu ostatniego roku współczynnik braku zaufania do mediów głównego nurtu wzrósł niemal we wszystkich krajach objętych badaniem. Na Słowacji – z 50 procent do 60 procent, w Czechach – z 59 procent do 64 procent. Najwyższy wzrost zanotowano jednak na Węgrzech, gdzie w 2020 roku brak zaufania do mediów wynosił 55 procent, a obecnie osiąga 69 procent, co stanowi najwyższy wynik spośród dziesięciu przebadanych państw.

Jednocześnie 46 procent Węgrów, którzy wzięli udział w badaniu, uważa, że media w kraju są „wolne" lub „raczej wolne", jednak odsetek osób podzielających tę opinię jest znacznie wyższy wśród wyborców partii Fidesz oraz Chrześcijańsko-Demokratycznej Partii Ludowej. Biorąc pod uwagę konsekwentne dążenia Viktora Orbána, by przejmować kolejne media w państwie lub doprowadzać do upadku niepokorne ośrodki, wyniki badania można uznać za propagandowy sukces węgierskiego rządu, a także za jedną z głównych przyczyn problemu.

– Węgry są jednym z niewielu państw Unii Europejskiej, gdzie dezinformacja płynie przede wszystkim z sieci dużych prorządowych ośrodków medialnych, do których zalicza się około pięciuset różnych podmiotów, w tym telewizja publiczna – komentuje Patrik Szicherle, analityk węgierskiego think tanku Political Capital. – Główne tematy są zawsze podporządkowane obecnej linii rządu – gdy w 2015 roku władzy zależało na wzroście nastrojów antymigracyjnych, węgierski internet zalały fake newsy o uchodźcach. Potem przyszła kolej na podsycanie nienawiści wobec mniejszości seksualnych, a teraz oczywiście głównym tematem jest pandemia. W tej sytuacji zmanipulowane lub zafałszowane treści rozchodzą się w społeczeństwie z prędkością światła i docierają do szerokiej publiczności. Na Węgrzech pro-

eprasa.pl d185a8d253

kremlowską dezinformację rozsiewają największe media, więc małe portaliki produkujące fake newsy nie mogą się z tym równać – mówi Szicherle.

Wirus nie istnieje

Pandemia koronawirusa okazała się idealną pożywką dla wichrzycieli, internetowych trolli i spiskowców.

– Zaczęło się od podważania tego, czy wirus w ogóle istnieje, a z czasem – gdy liczba zachorowań zaczęła rosnąć – zaczęto mówić, że został on stworzony przez Amerykanów jako broń biologiczna w walce z Chinami. Wreszcie, gdy pojawiły się już pierwsze informacje o szczepionkach, to one stały się głównym przedmiotem antynaukowej dezinformacji. W tym przypadku również zaczęło się od bzdur o zawartych w szczepionkach mikroczipach, a potem narrację zdominowały doniesienia o wadach szczepionek zachodnich, które miały zdecydowanie ustępować Sputnikowi V. To bardzo interesujące, że w sumie wykluczające się informacje publikowały te same osoby, często bardzo znane i wpływowe: celebryci, ale także politycy i urzędnicy państwowi wysokiego szczebla – komentuje Daniel Milo.

Mimo wysokich statystyk zachorowań w październiku 2020 roku aż 39 procent Słowaków twierdziło, że pandemia została wymyślona, by kontrolować społeczeństwo. Jedną z wielu osób publicznych szerzących dezinformację na temat pandemii jest radykalny prawicowy polityk Marian Kotleba. Najpierw twierdził między innymi, że wirus COVID-19 nie istnieje i odmawiał zakładania maseczki w mediach. Podczas debaty wyemitowanej przez RTVS, słowacką telewizję publiczną, argumentował, że od długiego zasłaniania dróg oddechowych w płucach zaczynają tworzyć się toksyny. Gdy w październiku 2020 roku zdiagnozowano u niego zakażenie koronawirusem, utrzymywał z kolei, że zapewne został zainfekowany, kiedy „przesłuchiwało go Gestapo" (Kotlebie wytoczono proces za szerzenie ekstremistycznych treści, w którym został skazany).

Z kolei w węgierskich mediach sprzyjających Viktorowi Orbánowi dominują doniesienia o tym, że Unia Europejska nie jest w stanie poradzić sobie z koronawirusem, a integracja europejska nie wytrzymała pandemicznej próby.

– Rozpisywano się na przykład o tym, że to Rosja musiała udzielić wsparcia Włochom w pierwszej fali pandemii, gdyż państwa unijne nie spieszyły się zbytnio z pomocą. Ale kiedy inne kraje również dołączyły do pomocy, przyjmując włoskich pacjentów i przekazując sprzęt medyczny – nasze media w zasadzie milczały na ten temat. To niestety częsta praktyka, że prorządowe media na Węgrzech donoszą tylko o tych wydarzeniach, które pasują do obrazka kreowanego przez rząd – mówi Patrik Szicherle.

eprasa.pl d185a8d253

– Każdy kryzys na Zachodzie jest w zasadzie wykorzystywany przez ośrodki dezinformacji. Podobna sytuacja miała miejsce chociażby w czasie kryzysu migracyjnego w 2015 roku. Kiedy ludzie są przestraszeni i zdezorientowani, zawsze sprzyja to rozpowszechnianiu fake newsów, wiele osób szuka wówczas informacji, a silne emocje zwiększają podatność na manipulację – podsumowuje Veronika Víchová. – Niestety, na poziomie państwowym stosunkowo niewiele się robi, by zapobiec rozprzestrzenianiu dezinformacji, sprawcy są coraz bardziej bezczelni w swoich działaniach – twierdzi analityczka. W lutym bieżącego roku prasko-londyńska firma analityczna Semantic Visions wycofała się ze współpracy z czeskim Ministerstwem Zdrowia, które miała wesprzeć w opracowaniu kampanii informacyjnej na temat pandemii.

– Rząd ignoruje nasze rady, więc nie ma sensu kontynuować – mówił František Vrabel, prezes Semantic Visions, w rozmowie z magazynem „Hospodářské noviny".

Analitycy z Czech, Słowacji i Węgier są zgodni, że problem dezinformacji i manipulacji w przestrzeni cyfrowej będzie wciąż przybierał na sile.

Walka z dezinformacją to wystawienie się na odwet tych, których działania są demaskowane. W styczniu 2019 roku w prawicowym magazynie „Figyelő" ukazał się artykuł zatytułowany *Dla kogo pracuje Péter Krekó?* W tekście pada sugestia, że prezes węgierskiego think tanku Political Capital pod przykrywką działalności naukowej prowadzi sterowaną przez Brytyjczyków kampanię w wojnie informacyjnej. Tezy artykułu zostały opublikowane również na innych portalach otwarcie wspierających politykę Viktora Orbána i jego partii, między innymi 888 i Origo. Krekó skierował sprawę do sądu i mniej więcej rok później wygrał proces o zniesławienie. Portale musiały wypłacić rekompensatę i zamieścić przeprosiny. Artykuły oczerniające Pétera Krekó nadal można jednak przeczytać w sieci, a prawicowe portale wcale nie dały za wygraną.

Po tym, jak w grudniu 2020 roku prezes Political Capital skomentował dla portalu POLITICO strategię węgierskiego rządu dotyczącą szczepień przeciw koronawirusowi, rozpoczęła się kolejna fala ataków. W sieci zaczęły pojawiać się artykuły, w których zarzucano mu, że podżega antyszczepionkowe nastroje i wykorzystuje je jako kartę przetargową w grze politycznej. Krekó i członkowie jego rodziny mieli nawet otrzymywać groźby śmierci. Wszystko dlatego, że analityk w swojej wypowiedzi skrytykował postawę rządu, który lobbował za rezygnacją ze szczepionek zatwierdzonych przez Unię Europejską na rzecz chińskich i rosyjskich preparatów. Te zaś wcale nie cieszą się dobrą opinią wśród Węgrów, którzy – jak wskazują między innymi badania przeprowadzone przez węgierski portal biznesowy Napi.hu – są zdecydowanie bardziej ufni wobec szczepionek zatwierdzonych przez Unię Euro-

eprasa.pl d185a8d253

pejską. Forsowanie przez rząd preparatów ze Wschodu wiązało się więc z ryzykiem, że duża część obywateli nie będzie chciała z nich skorzystać, a to znacznie utrudni walkę z pandemią i przyczyni się do pogorszenia sytuacji w kraju oraz negatywnie wpłynie na nastroje społeczne przed nadchodzącymi wyborami w 2022 roku. Krekó w rozmowie z POLITICO zasugerował więc, że „jeśli ludzie zniechęcą się do szczepień, [Viktor Orbán] być może będzie musiał ponieść polityczne konsekwencje".

Kultura instant i związana z nią potrzeba ciągłego bycia na bieżąco sprawiają, że znacząco skraca się czas na weryfikację danej informacji. To słabość, którą łatwo wykorzystać.

Wyjęta z kontekstu wypowiedź dyrektora Political Capital błyskawicznie obiegła prorządowe media.

– Ostrzeżenia z monitoringu mediów wyskakiwały jak seria z karabinu maszynowego, bo wszędzie kopiowano niemal identyczne artykuły. W sumie było ich około dwustu – mówił później Krekó w rozmowie z portalem Vsquare. Na portalu CitizenGo pojawiła się nawet petycja wzywająca dyrektora think tanku do przeproszenia Węgrów za swoje słowa, zaś partie opozycyjne – do zdystansowania się wobec działań całej organizacji. Petycję podpisało prawie 25 tysięcy osób.

W lutym tego roku Krekó wygrał w sądzie pierwszej instancji z portalem Magyar Nemzet, który jako pierwszy opublikował oczerniający artykuł.

Będzie tylko gorzej

Analitycy z Czech, Słowacji i Węgier są zgodni, że problem dezinformacji i manipulacji w przestrzeni cyfrowej będzie wciąż przybierał na sile.

– W ciągu ostatnich kilku lat zauważyliśmy wzrost znaczenia takich osób czy organizacji, które potrafią budować swoje zasięgi w sieci i świetnie umieją wyczuć, czego oczekuje internet. Kultura instant i związana z nią potrzeba ciągłego bycia na bieżąco sprawiają, że znacząco skraca się czas na weryfikację danej informacji. To słabość, którą łatwo wykorzystać – komentuje analityk GLOBSEC Daniel Milo.

– A kiedy już jest się w posiadaniu całej infrastruktury potrzebnej do prowadzenia kampanii dezinformacyjnych, bardzo łatwo i bez większych nakładów można zmienić cel, w który chce się uderzyć – dodaje Patrik Szicherle z Political Capital. – Spójrzmy chociażby na takie miejsca jak fabryka trolli w Petersburgu – jeśli masz pracowników, którzy znają swoją robotę, masz już wszystko, co trzeba.

Problem dezinformacji – jak wiadomo – zakorzeniony jest głęboko w strukturze mediów społecznościowych i algorytmach promujących kontent, który budzi najwięcej emocji.

eprasa.pl d185a8d253

– To wada systemowa i dopóki nie zostanie usunięta, fake newsy i manipulacja faktami będą stanowiły nieodłączne elementy debaty publicznej. Cały fact-checking, wszystkie te kodeksy usług cyfrowych, listy dobrych praktyk i górnolotne deklaracje składane przez Marka Zuckerberga są jedynie leczeniem objawów choroby. Od kilku lat obserwuję działalność cyfrowych gigantów takich jak Facebook czy Google i nie widzę w tym zakresie żadnej znaczącej zmiany – komentuje Daniel Milo. – Problem polega też na tym, że dla firm obracających miliardami dolarów tak niewielkie rynki jak Słowacja, Węgry czy Czechy są mało istotnymi partnerami, a więc działania fact-checkingowe nie są odpowiednio finansowane. Pierwszym krokiem więc jest przyznanie, że problem istnieje. Drugim powinna być inwestycja w zasoby ludzkie i techniczne, tak by walka z dezinformacją w ogóle miała sens.

– Głównym problemem, przed jakim cały czas stoimy – i sądzę, że dotyczy to całej Europy – jest brak woli ze strony polityków, by rzeczywiście stawić czoła dezinformacji i wpływom obcych reżimów w europejskiej przestrzeni informacyjnej – dodaje Veronika Víchová. – Wiemy już, co można i powinno się zrobić, ale liderzy polityczni nie wykazują żadnej inicjatywy do zmian. Potrzebujemy owocnej dyskusji i konkretnych działań, by możliwie ograniczyć zjawisko dezinformacji.

Dominika Kardaś jest dziennikarką i redaktorką.

eprasa.pl d185a8d253

Pomiędzy prawdą i kłamstwem

Z Julią Kazdobiną, szefową Ukraińskiej Fundacji Studiów Bezpieczeństwa, rozmawia Piotr Pogorzelski

PIOTR POGORZELSKI: Według ostatnich badań socjologicznych na Ukrainie doszło do przełomu w korzystaniu z mediów. Po raz pierwszy w historii większość obywateli czerpie informacje z internetu – 51 procent, a z telewizji – 44 procent. Jeszcze rok temu te liczby wyglądały następująco: 54 procent – telewizja, 38 procent – internet. Czy odbiorcy są gotowi do czerpania informacji z mediów wirtualnych, gdzie trudno o weryfikację źródła?

JULIA KAZDOBINA: Jest takie pojęcie jak edukacja medialna. Zajmują się nią organizacje pozarządowe i ukraińskie państwo. Próbuje się wprowadzać zajęcia dotyczące tego problemu w szkołach. Organizacja Detector Media przeprowadziła ostatnio badania na ten temat. Skoncentrowano się na kompetencjach odbiorców, rozumieniu przez nich roli mediów w społeczeństwie, a także wyczuciu na dezinformację. Stwierdzono, że połowa badanych ma poziom edukacji medialnej wyższy od średniego. Nie ma grup, które wiedzy dotyczącej mediów w ogóle nie posiadają, nie ma też grup, które mają ją na bardzo wysokim poziomie. Około 55 procent uznaje, że dezinformacja i manipulacja są problemami, ale jedynie co czwarty sprawdza przeczytaną informację. Zobaczymy, jak te liczby będą się zmieniały. Eksperci zapowiadają, że będą przeprowadzać podobne badania co rok.

Chyba momentem przełomowym, w którym zaczęto mówić o zagrożeniu dezinformacją, była rewolucja godności i późniejsza rosyjska agresja. Wtedy właśnie pojawiła się kwestia edukacji medialnej.

Tak, ten temat zaczęły podejmować przede wszystkim organizacje pozarządowe. Stało się to od razu po rewolucji godności. Trzeci sektor reagował i reaguje aktywniej na zagrożenie płynące ze strony Rosji niż państwo. Ono działa ociężale.

Kiedy zrozumiano, że Rosja wykorzystuje nie tylko broń, wojsko, ale też używa dezinformacji, stara się przez nią wpływać na różne środowiska, to oczywiste stało się, że edukacja medialna jest jednym z elementów pomagających przeciwdziałać temu zagrożeniu. Nasza organizacja też zajmowała się treningami dla urzędników. Na uwadze mieliśmy

eprasa.pl d185a8d253

kwestię bezpieczeństwa. Wprowadzaliśmy kontekst: mówiliśmy o propagandzie funkcjonującej w czasach radzieckich. Później, kiedy dezinformacja stała się elementem wojny hybrydowej, tłumaczyliśmy, że trzeba sprawdzać wiadomości, rozumieć źródła i nie za bardzo ufać portalom społecznościowym.

Czy przed rewolucją i wojną ten temat w ogóle istniał?

Tak. Kilka organizacji zajmowało się monitoringiem mediów. Alarmowały, że media często uciekają się do manipulacji, ale takiego pojęcia, jak edukacja medialna nie było. Była *dżinsa* – czyli kryptoreklama polityczna. *Dżinsa* nie zawsze jest fałszywą informacją, ale zawsze jest ukrytą próbą wpływania na odbiorców.

Po rewolucji wiele mówiono o fake newsach rosyjskiej propagandy. Teraz ten temat pojawia się chyba rzadziej? Czy to może jest mylne wrażenie?

Myślę, że to jest błędne wrażenie. Obecnie też często porusza się ten temat. Może więcej dyskutuje się o kanałach, za pośrednictwem których rozpowszechniana jest dezinformacja. Jest też dużo badań dotyczących portali społecznościowych i ich roli. Nie chodzi tylko o Facebook, ale też kanały w komunikatorze Telegram. Dla wyjaśnienia: informacje w Telegramie umieszcza się w podobny sposób, jak na „ścianie" Facebooka. Medium to wyglądem przypomina jednak typowy komunikator internetowy, na przykład WhatsApp.

Więcej mówi się o mechanizmach rządzących dezinformacją, ale nie zapomina się też o treściach płynących z mediów. Wiele jest organizacji, które się tym zajmują. Badają informacje pojawiające się o naszym kraju za granicą. To nigdzie nie znikło.

Czy propaganda rosyjska na temat Ukrainy się zmieniła? Czy przez te siedem lat pojawiła się jakaś nowa narracja? Gdy ogląda się rosyjską telewizję, można odnieść wrażenie, że na temat Ukrainy płynie wciąż ten sam przekaz.

Narracja się nie zmienia. Ukraina jest przedstawiana jako *failed state*, państwo upadłe. Wciąż „informuje" się o zagrożeniu nazizmem, oskarża Ukraińców o rusofobię, którą myli się z procesem budowy tożsamości narodowej. Rosjanie oskarżają nas także o agresję w Zagłębiu Donieckim, mówią, że zabijamy tam dzieci.

Teraz znów uległa zaostrzeniu sytuacja na wschodzie kraju. W rosyjskich mediach pojawiła się wiadomość, że Ukraińcy zrzucili bombę, która zabiła pięcioletniego chłopca na terytorium okupowanym. Problem polega na tym, że niektóre ukraińskie media tę fałszywą informację rozpowszechniają i powtarzają. Robią to też użytkownicy portali społecznościowych – nie wiemy, czy postępują tak z własnej inicjatywy, czy ktoś im za to płaci. I to jest zmiana z ostatnich lat, bo gdy takie informacje płynęły z rosyjskich telewizji, było jasne, że jest to przekaz rosyjski. Teraz ten przekaz powtarza-

eprasa.pl d185a8d253

ny jest w portalach społecznościowych. Źródło „się gubi". Poza tym komunikator Telegram stał się o wiele częściej używany do rozpowszechniania informacji. Źródło to jest w dużym stopniu anonimowe. Są w nim także zamknięte grupy lub kanały, w których publikuje się wiadomości.

Jakie inne oprócz Telegramu sposoby dystrybucji informacji pojawiły się na Ukrainie?

Bardzo istotne są portale społecznościowe. Myślę, że Rada Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony dobrze uczyniła, ograniczając kilka lat temu działalność rosyjskich portali na Ukrainie. Wiemy, że dają one nie tylko możliwość rozpowszechniania informacji, ale też działają w drugą stronę: zbierają informacje o ich użytkownikach.

Co do Facebooka, który jest najpopularniejszym portalem społecznościowym w naszym kraju, jego kierownictwo podejmowało działania w celu ograniczenia rosyjskiej propagandy. To oczywiście dotyczyło głównie Stanów Zjednoczonych, ale miało też wpływ na Ukrainę. Podejrzane rosyjskie konta po prostu usuwano. Kasowano też strony ukraińskich mediów rozpowszechniających fake newsy. Ale zwykli obywatele i tak dzielą się w sieci fałszywymi informacjami. I ich już trudno wyśledzić.

W komunikatorze Telegram są bardzo popularne kanały informacyjne, wykorzystuje się je (robi to Rosja, ale także ukraińscy politycy) zarówno dla krótkoterminowych, jak i długoterminowych operacji dezinformacyjnych. Na przykład na początku pandemii władze zorganizowały przyjazd Ukraińców z Chin. Umieszczono ich w sanatorium w Nowych Sanżarach. Doszło do zamieszek. Ludzie rzucali kamieniami w autobusy. Potem dziennikarze portali Liga i Texty pojechali na miejsce, żeby się zorientować, skąd taka agresja. Okazało się, że tuż przed tymi wydarzeniami pojawiły się w Telegramie grupy, w skład których wchodzili miejscowi mieszkańcy. Ale nikt nie wiedział, kto był administratorem owych grup. Publikowano w nich przerażające, wręcz wywołujące strach informacje na temat COVID-19. To szczególnie dobrze działało w próżni informacyjnej, mało kto wiedział, czym jest ów wirus. Apelowano do ludzi, aby wyszli na ulicę protestować. Później pojawili się prowokatorzy, którzy działali agresywnie. No i doszło do zamieszek.

Portal Texty badał też, z jakich kanałów w Telegramie korzystają deputowani, i stworzył ich krótką listę. Kiedy dziennikarze przeanalizowali zawartość tych kanałów, okazało się, że znajdowały się tam treści antyeuropejskie. To także przykład wywierania wpływu na małą, ale istotną grupę: deputowanych. I jest to wpływ długotrwały.

Telegram pozwala robić rzeczy, których nie pozwala Facebook. Częściej nie wiesz, niż wiesz, kto jest moderatorem jakiegoś kanału czy grupy. To może być ktoś z Ukrainy, ale może też pochodzić z Rosji. Jeśli nie pracujesz w służbach specjalnych, nie pozyskasz takiej informacji.

eprasa.pl d185a8d253

To bardzo trudna sytuacja. Jak państwo może z tym walczyć?

To duże wyzwanie. Wszystkie wymienione technologie mogą być wykorzystane w różnych celach. Wkraczamy więc w problematykę kwestii ograniczenia wolności słowa, prywatności etc. Te kanały mają swoją retorykę. Ale czy to jest niezgodne z prawem? Raczej nie. Państwo powinno to w odpowiedni sposób monitorować. Ale monitorowanie jest z kolei naruszeniem prawa do prywatności. Granica między prywatnym a publicznym wcześniej była bardziej wyrazista. Obecnie nowe kanały komunikacyjne sprawiły, że się rozmyła. Państwu jest więc ciężko z tym walczyć.

Poza tym na Ukrainie, która była częścią ZSRR, istnieje tradycja uciekania się przez państwo do metod represyjnych. Dlatego pojawia się ogromny opór, żeby wyposażać państwo w jakieś dodatkowe narzędzia kontrolowania informacji. Jeśli istnieje możliwość zbadania czegoś i udowodnienia, że ktoś celowo zajmuje się dezinformacją, otrzymuje pieniądze z Rosji, ma podejrzane kontakty w tym kraju, to państwo może kogoś takiego ukarać za naruszenie prawa.

Sprzeciw jednak powstaje. Wiele organizacji pozarządowych odwołuje się do praw człowieka, więc działania władz w tym zakresie wzbudzają ich protest.

Z drugiej strony władze rzeczywiście ostatnio uciekają się do pozaprawnych metod. Na podstawie sankcji Rady Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony zamyka się kanały telewizyjne powiązane z Wiktorem Medwedczukiem. Sankcje to instrument polityczny stosowany raczej w polityce zagranicznej. Wykorzystanie ich w polityce wewnętrznej stanowi naruszenie zasady praworządności. Ale taki krok został wykonany. Poparły to Stany Zjednoczone przy cichej aprobacie Unii Europejskiej, a także wielu Ukraińców. Stanowi to nieprzyjemny precedens – państwo podąża drogą pozaprawną. To duże ryzyko.

Tak. Jestem jednak pewien, że takie kanały także w innych krajach europejskich nie mogłyby działać. Państwo i tak musiałoby coś zrobić. Co, Pani zdaniem?

Jestem przekonana, że państwo musi jakoś reagować. Opracować wyraźne zasady, które mówią, jakie działania można podjąć, a jakich nie. Państwo musi działać zgodnie z procedurami. To one powinny jasno określać, który organ zajmuje się dezinformacją, za co należy się kara administracyjna, co podlega wykroczeniom z zakresu kodeksu karnego. Proces tworzenia tych zasad postępuje opornie, bo Ukraińcy nie wierzą państwu. Politycy nie chcą więc ryzykować swojej popularności. Ale te zasady muszą powstać i państwo powinno działać w ich ramach. Nie łamiąc prawa.

Z drugiej strony, jeżeli te telewizje prowadzą destrukcyjną działalność, trzeba je ograniczyć. Dziwne jest podejście, w imię którego mamy bronić tych kanałów, bo to kwestia wolności słowa [apelowali o to pracownicy tych telewizji – przyp. P.P.].

eprasa.pl d185a8d253

Wolność słowa powinna służyć wymianie myśli, idei, a tutaj albo ktoś kłamie, albo zajmuje się rosyjską propagandą, destrukcyjnymi ideami, które przeszkadzają w dialogu. Dlaczego mamy bronić prawa do takiej działalności? Ale Europa mówi, że „ma istnieć wolność słowa".

Czy państwowe kanały telewizyjne, publiczne i prywatne są odbierane na terytoriach pozostających poza kontrolą Kijowa? Czy mają wpływ na ludzi, którzy na nich żyją? Stworzono nawet specjalny kanał telewizyjny DOM dla tego audytorium.

To trudne zagadnienie. Inna sytuacja panuje na Krymie, inna w Zagłębiu Donieckim. Próbowano zbudować nadajnik i transmitować telewizję na Krym. Ale Rosjanie także zbudowali własny nadajnik, którego sygnał zagłusza sygnał ukraiński. Trudno jest więc dotrzeć do mieszkańców. Możliwe jest to tylko przez antenę satelitarną.

Kanał DOM jest kontrowersyjny. Miał nadawać na terytoria okupowane. Na początku głównie programy rozrywkowe, stopniowo pojawiać się miały wiadomości polityczne. Było kilka programów, które wywołały falę negatywnych komentarzy. Na przykład *Pogląd z Bankowej*, w którym występowała rzeczniczka prezydenta Julia Mendel. Wiele osób uznało to za próbę rozpowszechniania ukraińskiej propagandy czy też promocję prezydenta za państwowe pieniądze.

Poza tym trudno dotrzeć z przekazem do okupowanych terytoriów w Zagłębiu Donieckim. Miejscami ukształtowanie terenu przeszkadza w rozchodzeniu się sygnału. Za czasów prezydenta Petra Poroszenki aktywnie działała komisja zajmująca się wznowieniem transmisji na tych terenach. W jej skład wchodzili przedstawiciele Ministerstwa Tymczasowo Okupowanych Terytoriów, Polityki Informacyjnej oraz Narodowej Rady Telewizji i Radiofonii Ukrainy. Jednostka ta zajmowała się budową infrastruktury, ale w pewnym momencie prace wstrzymano.

Nie ma więc strategii mówiącej, jak tych ludzi przekonać do Ukrainy? Na czym polega problem?

Strategie w formie dokumentów zostały przyjęte. Miałam nawet w tym udział, bo opracowywałam jeden z dokumentów. Pierwszy, który dotyczył Zagłębia Donieckiego, przyjęto w połowie 2018 roku, drugi – dotyczący Krymu – w grudniu tego samego roku. Później kilka razy zmieniano format ministerstwa i nie opracowano planu działań dotyczącego tych strategii. Czyli dokumenty są, ale nie wprowadzono ich w życie.

Najpierw powstały dokumenty ramowe, które wyznaczają kierunki. Opisują obowiązki odpowiedzialnych za informację ministerstw. W kolejnym etapie powinien powstać plan działań wyznaczający każdemu resortowi obowiązki. Niestety nie został opracowany. Kto zawinił? Meandry biurokracji. Wcześniej tymi zagadnieniami zajmowało się Ministerstwo Polityki Informacyjnej, obecnie Ministerstwo Kultury i Polityki Informa-

eprasa.pl d185a8d253

cyjnej, które w większym stopniu koncentruje się na kwestiach kultury i polityce informacyjnej ogólnie. W gestii Ministerstwa Reintegracji jest zajmowanie się polityką informacyjną dotyczącą terenów okupowanych. Biurokracja więc sprawia, że działa to wolniej.

Minęło siedem lat, pojawiły się nowe wyzwania, zamiast działań obserwujemy rozproszenie odpowiedzialności za przeprowadzenie zmian. Może nikt nie chce się tym zająć?

Nie powiedziałabym, że nikt nie chce. Terytoria okupowane stanowią dla Ukrainy nowy problem. Nie mieliśmy odpowiednich ekspertyz. Ich sporządzeniem zajęło się w pierwszej kolejności Ministerstwo Polityki Informacyjnej, potem podjęto decyzję, że wszystkie problemy związane z okupowanymi terytoriami winny znajdować się w gestii Ministerstwa Reintegracji. Tu chodzi o kwestie organizacyjne.

Mówiliśmy o nowych wyzwaniach. Czy koronawirus też do nich należy? W moim kraju problem stanowią fałszywe informacje o epidemii. Jak wygląda to na Ukrainie?

Panują u nas silne nastroje antyszczepionkowe. Ministerstwo Ochrony Zdrowia działa nieumiejętnie zarówno jeśli chodzi o zakup szczepionek, jak i w kwestii wyposażenia szpitali. Obserwowaliśmy konflikt pomiędzy resortem a instytucją, która miała odpowiadać za zakupy medyczne. Były też problemy z zamówieniem szczepionek. Obecnie państwo zachęca do szczepienia się, ale odzew społeczny jest mały. Co ważne, także medycy nie chcą się szczepić. Państwo nie daje nawet lekarzom pełnej informacji dotyczącej szczepionek. To więc nie jest nawet kwestia fake'ów, a złej organizacji ze strony państwa.

W jakim stopniu Rosja zainteresowana jest rozpowszechnianiem fake newsów na temat szczepionki?

Rosja chce sprzedawać swoją szczepionkę Sputnik V. Moskwa składała tę propozycję przez Wiktora Medwedczuka, oligarcha namawiał do jej kupowania, ale Kijów jest w stanie wojny z Rosją, nie może pozwolić sobie na taką transakcję. Zresztą podobnie jak inne kraje nie mamy zaufania do Sputnika.

Czyli podsumowując: ludzie, którzy rozpowszechniają fałszywe informacje – czy to Rosjanie, czy Ukraińcy – wykorzystują słabe punkty państwa?

Tak. To główna taktyka. Celem ataku są wszystkie kwestie wrażliwe: osobiste traumy, pamięć historyczna, kwestie językowe. Źle zorganizowane państwo daje powód do pojawienia się tych obaw. A potem rozdmuchuje się je sztucznie przez różne kampanie.

Czy pojawia się pokusa, by pewne tematy w dyskusji polityków czy działaczy pozarządowych przemilczeć, ponieważ Rosja mogłaby je wykorzystać?

eprasa.pl d185a8d253

Trudno mi mówić o politykach. Mam wrażenie, że kiedy zaczynają się między sobą kłócić, zapominają o następstwach. Co do społeczeństwa obywatelskiego, to wciąż trwa dyskusja, co mówić, a co przemilczeć, by nie dać dodatkowego celu dla płynących z Rosji fake newsów Cały czas musimy odpowiadać sobie na pytanie, jaki poziom krytyki jest dopuszczalny.

Julia Kazdobina kieruje Ukraińską Fundacją Studiów Bezpieczeństwa, w latach 2016–2019 była doradczynią ministra informacji. Pracowała także jako analityczka w ambasadzie Stanów Zjednoczonych w Kijowie.

eprasa.pl d185a8d253

Zewnętrzne formy nadzoru

Z Włodzimierzem Cimoszewiczem, posłem do Parlamentu Europejskiego, rozmawia Wojciech Wojtasiewicz

WOJCIECH WOJTASIEWICZ: We wrześniu 2020 roku w Parlamencie Europejskim powołana została Komisja Specjalna ds. Obcych Ingerencji we Wszystkie Procesy Demokratyczne w Unii Europejskiej, w tym Dezinformacji. Dlaczego powstała, kto był jej inicjatorem i jakie postawiono przed nią zadania?

WŁODZIMIERZ CIMOSZEWICZ: Inicjatywa powołania takiej komisji pojawiła się jesienią 2019 roku, czyli ponad rok przed tym, gdy realnie powstała. Propozycję wysunęła grupa socjalistów i demokratów w Parlamencie Europejskim. Niestety w trakcie głosowania nad rezolucją zawierającą między innymi tę propozycję przyjęto poprawkę usuwającą ten projekt z głosowanej uchwały. Po jakimś czasie udało się przekonać inne grupy polityczne, że sytuacja wymaga głębszej analizy i sformułowania oceny, jakie zagrożenia dla funkcjonowania systemów politycznych krajów członkowskich stwarza zewnętrzna ingerencja. W efekcie Parlament Europejski większością głosów wyraził zgodę na powstanie Komisji. Jej mandat pozostaje ograniczony w czasie, choć został przedłużony, ponieważ pracy jest niezwykle dużo. Im głębiej analizujemy poszczególne zagadnienia, tym bardziej widzimy, jak ogromne są pola dotąd niebadane, albo też takie, w których sytuacja zagrożenia nie jest w ogóle uświadamiana nie tylko przez szeroką opinię publiczną, ale i przez polityków oraz ludzi mających wpływ na funkcjonowanie państw europejskich. Chodzi o różne formy zewnętrznego wpływu na funkcjonowanie demokratycznych procedur i systemów politycznych, w tym partii politycznych. Chcemy zbadać, czy przez nowe środki komunikacji, jak na przykład platformy internetowe i media społecznościowe, podejmowane są działania, które mają podważać wiarygodność procedur demokratycznych lub wpływać na stan świadomości społeczeństw. Chodzi także o przyjrzenie się korupcji politycznej, o wykorzystujące luki prawne bądź brak regulacji prawnych transfery finansowe, zarówno jawne w postaci kredytów bankowych, jak i tajne, będące elementem działań przestępczych, polegające na ukrytym finansowaniu działalności tych sił politycznych, na których sukcesie może zależeć państwom trzecim.

eprasa.pl d185a8d253

Dlaczego zdecydował się Pan podjąć pracę w tej Komisji? Czy ma Pan wpływ na tematykę spotkań i dobór gości zapraszanych na posiedzenia?

Od dawna byłem przekonany o tym, że znane z historii zjawiska ingerencji w życie publiczne i systemy polityczne innych państw stały się bardziej intensywne, ponieważ nowe środki technologiczne ułatwiają szersze i bardziej skuteczne działania. Pięć–sześć lat temu zwróciłem uwagę na informacje dotyczące mikroprofilowania, za którymi poszły informacje o działaniach (później bardzo sławnej) firmy Cambridge Analytica. Odbywały się one najpierw poza Europą: w krajach afrykańskich i latynoskich, gdzie firma miała podobno osiągać duże sukcesy, skutecznie pomagając w zwycięstwach wyborczych kandydatów, którzy korzystali z jej usług. W 2016 roku miały miejsce dwa niezwykle ważne wydarzenia o międzynarodowych skutkach. Chodzi mi o referendum w sprawie Brexitu i jesienne wybory w Stanach Zjednoczonych. Wkrótce okazało się, że w obydwu przypadkach firma Cambridge Analytica odegrała niebagatelną rolę. Byłem przekonany, że sukces Donalda Trumpa w jakimś stopniu stał się pochodną tego, o czym opinia publiczna dowiedziała się ze sporym opóźnieniem, że Cambridge Analytica weszła w posiadanie danych kilkudziesięciu milionów amerykańskich użytkowników Facebooka. Na ich podstawie bombardowano ludzi rozmaitymi komunikatami, których celem było albo zniechęcenie sympatyków Partii Demokratycznej do udziału w wyborach, albo zmobilizowanie sympatyków Partii Republikańskiej do głosowania na Trumpa. Doszedłem wtedy do wniosku, że mamy do czynienia z zupełnie nowym zjawiskiem zagrażającym funkcjonowaniu liberalnej demokracji, ponieważ w ukryty sposób można kształtować sposób myślenia ludzi i wpływać na ich zachowania wyborcze. Do tego dochodziły informacje o związkach dawnego Frontu Narodowego we Francji z rosyjskim biznesem oraz o podobnych relacjach pomiędzy byłym wicepremierem Włoch Matteo Salvinim a Rosją, zarówno elitami politycznymi, jak i wielkimi firmami, na przykład Rosnieftem. To wszystko brzmiało jak dzwonki alarmowe i pozostawałem gorącym zwolennikiem zbadania tych zagadnień. Uważałem, że najlepiej posłuży temu powołanie specjalnej komisji. Tematyka spotkań została właściwie uzgodniona na samym początku prac. Jest ewentualnie uzupełniana z inicjatywy tak zwanych koordynatorów grup politycznych, którzy przekazują swoje stanowiska przewodniczącemu Komisji Francuzowi Raphaëlowi Glucksmannowi. Każdy w prezydium może przedstawiać swoje propozycje. Zgłosiłem też jako wiceprzewodniczący kilku gości w temacie działań dezinformacyjnych Federacji Rosyjskiej.

Jak dużym zagrożeniem dla Unii Europejskiej jest dezinformacja i cyberprzestępczość?

O klasycznej cyberprzestępczości, która polega na wyłudzaniu pieniędzy i prze-

eprasa.pl d185a8d253

stępstwach finansowych, nie będę się wypowiadał. Natomiast cyberprzestępczość rozumiana szerzej jako zagrożenie dla bezpieczeństwa ekonomicznego, finansowego, ale także dla tak zwanej krytycznej infrastruktury, jak na przykład sieci energetycznej czy komunikacyjnej, to niebywałe niebezpieczeństwo. Możliwości działania w tym zakresie stanowią większe zagrożenie niż tradycyjna interwencja wojskowa. Zaatakowanie systemów telekomunikacyjnych innego państwa lub wyłączenie elektrowni może sparaliżować dany kraj skuteczniej od intensywnego bombardowania. Jeśli chodzi o dezinformację, to problem okazuje się bardziej złożony, ponieważ trudno jednoznacznie powiedzieć, jakie czynniki wpływają na świadomość i zachowanie obywateli. Jest ich bardzo wiele. Przy wykorzystaniu współczesnych środków przekazu można posiłkować się metodami wyjątkowo intensywnego oddziaływania, przypominającego rekrutację do sekt religijnych. Jeśli weźmiemy znany w ostatnich miesiącach ruch QAnon, który upowszechnia zupełnie absurdalne teorie przypominające pomysły zawarte kiedyś w *Protokołach mędrców Syjonu*, to okazuje się, że miliony Amerykanów wręcz religijnie przywiązało się do tych absurdalnych koncepcji. Ten przykład świadczy o tym, że to, co kiedyś charyzmatycznym przywódcom sekt religijnych udawało osiągnąć się w ciągu kilku, kilkunastu lat wobec zaledwie kilku tysięcy ludzi, dziś można wskórać w zaledwie kilka miesięcy wobec milionów ludzi. Codzienną rzeczywistość sączy dezinformacja, która podważa wiarygodność rządów krajów członkowskich lub samej Wspólnoty. To bardzo poważny problem, bo to zjawisko nie posiada jednego źródła. Setki internautów lub osób działających na zlecenie na przykład obcego państwa wprowadzają do obiegu pewne opinie lub twierdzenia, które mogą być spontanicznie upowszechniane przez innych użytkowników i trudno powiedzieć, kiedy i w jakim stopniu kształtuje to świadomość i sposób zachowania odbiorców. W Polsce są eksperci, którzy analizują media społecznościowe i umieją wskazać źródła nieprawdziwych informacji i powiązania między użytkownikami je rozsiewającymi. Przykładem może być upowszechnianie negatywnych twierdzeń na temat szczepień przeciwko COVID-19 – od najbardziej absurdalnych o czipach Billa Gatesa do przytaczania czyichś teorii sprzed dziesięcioleci, które mówią o istnieniu międzynarodowego spisku, którego celem jest rozwiązanie problemu przeludnienia planety za pomocą pandemii. To wszystko podważa wiarygodność władz publicznych, rządów oraz systemów politycznych, które prowadzą do wyłonienia takich, a nie innych władz, a więc na przykład do demokracji. Nic dziwnego, że umacniają się zjawiska populizmu oraz nacjonalizmu. Podważanie wiarygodności własnych władz mających demokratyczny mandat prowadzi często do przekonania, że wszystko trzeba inaczej zorganizować, że należy bronić narodowych interesów i że

eprasa.pl d185a8d253

trzeba wyłonić przywództwo zdolne do ich obrony.

Czy działalność Komisji jest jedynym pomysłem Unii Europejskiej na przeciwstawienie się dezinformacji?

Nie, służby analityczne obserwujące te zjawiska są także w strukturach europejskiej dyplomacji. Można powiedzieć, że w tym momencie trzy instytucje – Komisja, Parlament, ale również Rada Europejska – zajmują się intensywnie tym zagadnieniem. To faza rozpoznawania tej problematyki i nie jesteśmy jeszcze nawet w połowie drogi, ponieważ to zjawisko historycznie nowe i wszyscy się go jeszcze uczą. Amerykanie też jeszcze kilka lat temu nie uwierzyliby, że ktoś może manipulować przy ich wyborach, a dziś większość z nich zdaje sobie z tego sprawę.

Które państwa zewnętrzne podejmują działania dezinformacyjne względem krajów członkowskich Unii Europejskiej? Dlaczego to robią i czego dotyczą te działania?

Nie wdając się w szczegóły, ponieważ raport Komisji ukaże się dopiero za pół roku lub trochę później i będzie zawierał tego typu informacje, można powiedzieć, że w sposób zupełnie oczywisty na terenie Unii Europejskiej aktywna jest przede wszystkim Rosja. Nie ma wątpliwości, że są to działania mieszczące się w kanonie działań wywiadowczych i destabilizujących, czyli coś, co obowiązuje w służbach tego państwa od co najmniej stu lat. Kto czytał *Archiwum Mitrochina*, ten wie, jak funkcjonowała bezpieka Związku Radzieckiego. Współczesne rosyjskie służby, wykorzystując po tysiąckroć większe możliwości, nie tylko z tego nie rezygnują, ale po prostu Rosja doszła do wniosku, że to jeden z najtańszych sposobów realizowania jej celów geopolitycznych. Na ten temat posiadamy już sporo informacji dostępnych dla opinii publicznej, jak na przykład o słynnej farmie trolli w Petersburgu finansowanej przez jednego z rosyjskich oligarchów, który zbił fortunę na bliskich związkach z prezydentem Władimirem Putinem. W ostatnim czasie obserwuje się również kampanię dezinformacyjną ze strony Chin związaną z pandemią, zarówno jeśli chodzi o jej przyczyny, sytuację w Chinach na początku jej wystąpienia, jak i skuteczność w walce z nią. Na świecie ukształtował się pogląd, w bardzo dużym stopniu także dzięki działalności dezinformacyjnej, że Chiny najskuteczniej sobie poradziły z koronawirusem. Dopiero teraz dowiadujemy się, i to z oficjalnych chińskich źródeł, że ich szczepionka ma bardzo niską skuteczność. Mocarstwowe Chiny wykorzystują każdą okazję do budowania pozytywnej opinii o sobie jako o państwie lepiej dbającym o interesy własnych obywateli niż rządy innych krajów. To kampania, która może nie tyle podważa działalność władz w innych krajach, co promuje Chiny. Nie wypowiadam się o aktywności Chin w innych regionach świata, ponieważ Komisja zajmuje się tylko Europą.

eprasa.pl d185a8d253

Wspomniał Pan, że Komisja zajęła się rosyjskimi próbami siania dezinformacji w Unii Europejskiej. Na czym one polegały?

Zajmowaliśmy się nimi zarówno w odniesieniu do krajów starej Unii, jak i państw bałtyckich. Analizowaliśmy między innymi zachowanie tradycyjnych mediów rosyjskich, takich jak telewizja, lecz również akcje dezinformacyjne w internecie. Próbujemy zbadać kwestie finansowania partii politycznych w niektórych krajach europejskich. Wciąż jeszcze za wcześnie na wnioski, ponieważ jesteśmy w fazie badania i analizowania, a nie konkludowania. Natomiast spotykaliśmy się z szeregiem europejskich i amerykańskich ekspertów, a także z działaczami rosyjskiej opozycji oraz z rosyjskimi emigrantami badającymi tę działalność ich państwa.

Czy Komisja zgromadziła dowody na to, że działania dezinformacyjne wpłynęły na wyniki wyborów w poszczególnych państwach członkowskich?

Nie byłbym w stanie stwierdzić, czy bardzo prawdopodobne tajne formy finansowania niektórych polityków i partii politycznych miały wpływ na wynik wyborczy, czy nie. Natomiast nie zanotowaliśmy zjawiska polegającego na intensywnej dezinformacji w jakimś kraju tuż przed wyborami, która w widoczny sposób przekładałaby się na wyniki głosowania. Chodziło raczej o wytworzenie pewnego klimatu, o przemiany świadomościowe w dłuższym czasie, a nie o manipulacje w ostatnich tygodniach czy miesiącach poprzedzających wybory w danym kraju.

Jakie narzędzia do walki z dezinformacją Komisja będzie proponowała ciałom decyzyjnym UE we wnioskach ze swojej pracy?

Na to pytanie w tej chwili świadomie nie odpowiem, ponieważ, jak zaznaczyłem wcześniej, to nie jest faza konkluzji. Pewne wnioski się rysują. Dotyczą one między innymi kampanii edukacyjnej, ale także prawdopodobnie przeciwdziałania dezinformacji. Ich adresatem będą źródła dezinformacji, takie jak osoby czy instytucje wykorzystywane do tego celu.

Czy walka z dezinformacją nie niesie ze sobą zagrożenia dla wolności słowa?

Potencjalnie takie zagrożenie istnieje. Dostrzegamy je. Wszyscy, którzy brali udział w pracach Komisji, podkreślali do tej pory, że przywiązują wielką wagę do tego, aby wolność słowa nie ucierpiała. Więc raczej nie należy się obawiać, że którykolwiek z wniosków lub propozycji Komisji będzie niósł ze sobą takie zagrożenie. Natomiast należy zająć się, i to nie tylko z powodu dezinformacji o konsekwencjach politycznych, sposobem funkcjonowania platform internetowych. Gromadzą one dane i wykorzystują je później do różnych celów, najczęściej komercyjnych, ale przecież dokładnie te

eprasa.pl d185a8d253

same mechanizmy mogą być wykorzystywane do celów politycznych. Do tej pory nie istnieją żadne zewnętrzne formy nadzoru nad tym, czy platformy internetowe respektują pewne zasady. Przyjęły jakiś czas temu swoje kodeksy postępowania. Ale po pierwsze, to one same je zdefiniowały, a po drugie, to one same kontrolują, czy ich przestrzegają. To sytuacja trudna do zaakceptowania. Należałoby doprowadzić do takiego stanu, w którym media wykorzystujące współczesne techniki komunikacyjne, zwłaszcza internet, podlegają podobnym zasadom jak te tradycyjne. Gazeta ponosi odpowiedzialność za to, co publikuje, nawet jeżeli tekst nie jest autorstwa dziennikarza – podobnych rozwiązań będzie trzeba szukać w odniesieniu do dużych mediów społecznościowych i platform internetowych.

Czy Unia chce wspierać medialne przedsięwzięcia walczące z dezinformacją? Na przykład stworzyć bądź wspierać medium będące odpowiedzią na rosyjskiego Sputnika.

Uważam, że takie aktywne przeciwdziałanie dezinformacji jest konieczne. Sądzę, że w czasach telewizji satelitarnej i internetu należałoby zdecydowanie bardziej zadbać o to, aby obywatele Rosji mieli dostęp do pełnej, obiektywnej i niezależnej informacji. Także na temat tego, co się dzieje w ich własnym kraju, i to na poziomie lokalnym.

Czy dostrzega Pan też działania dezinformacyjne wewnątrz Unii Europejskiej?

Oczywiście, w tym sensie, że internet jest wykorzystywany przez siły polityczne do walki, także do rozsiewania dezinformacji. Nasze własne doświadczenie z ostatnich kilkunastu lat parę razy dało o tym znać, jak można wprowadzić fałszywą informację czy teorię, którą potem za pomocą internetu upowszechnia się, wzmacnia i wykorzystuje do odniesienia sukcesu politycznego. W Polsce wygrywano wybory parokrotnie, zarówno parlamentarne, jak i prezydenckie, w dużym stopniu przez skuteczne stosowanie kłamstwa.

Włodzimierz Cimoszewicz jest wiceprzewodniczącym Komisji Specjalnej ds. Obcych Ingerencji we Wszystkie Procesy Demokratyczne w Unii Europejskiej, w tym Dezinformacji. Były minister spraw zagranicznych Polski.

eprasa.pl d185a8d253

Dwa lata z Ze

Ziemowit Szczerek

Cokolwiek by mówić, prezydentura Zełenskiego, jak antyrosyjski by aktualnie nie był (koniunkturalnie czy nie), doprowadziła do rozwodnienia nacjonalistycznej narracji mocno promowanej w czasach Poroszenki.

Zełenski buduje drogi na potęgę. To widać: tam, gdzie jeszcze niedawno ziały dziury jak kaniony, teraz trwa zalewanie asfaltem i ustawianie nowych, czerwonych znaków informujących o zmienianych zasadach ruchu. Wizualnie, trzeba to powiedzieć, Ukraina się zmienia. Wzdłuż szos powstają nowe chodniki, co prawda, z taniej kostki brukowej, ale pamiętając, co tu się działo wcześniej, odechciewa się narzekać.

– Wiesz, jak Chińczycy zaczęli budować potęgę? – pyta pan Wasyl, który pod pachą trzyma skórzaną saszetkę, ale na nogach nie ma już dawno niemodnych mokasynów z czubem, tylko eleganckie pantofle na nagie stopy. – Zaczęli od dróg. Infrastruktura. Transport. Zawsze powtarzam: bez infrastruktury państwa nie ma. I co: państwa przed Majdanem prawie nie było – to nie było infrastruktury. A pojawiło się państwo – to proszę: od razu pojawiła się infrastruktura! Przypomnij sobie, jak to dawniej wyglądało!

Półtora pasa

Nie trzeba sobie nawet za bardzo niczego przypominać. Wystarczy zjechać z nowej szosy na większość dróżek wewnątrz wiosek czy pomniejszych dróg lokalnych – tam nadal straszy dawna, nieogarnięta Ukraina i świat wygląda jak spetryfikowany od czasu upadku ZSRR.

Choć tylko na pierwszy rzut oka. Bo – co by nie mówić – pojawia się coraz więcej nowych domów, i to coraz rzadziej w oberkiczowatym stylu typu nowela brazylijska w Europie Wschodniej. A i starych radzieckich aut dożywających już chyba dziewiątych żyć po życiu jest coraz mniej. Knajp za to – i tych stylowych – coraz więcej. A każda pełna, i to nie tylko we Lwowie.

– W Tarnopolu trwa gastronomiczna rewolucja! – Śmieje się Julia, z którą rozmawiam w jednej z lokalnych knajp. – Wszyscy mówili, że Tarnopol to brzydszy brat Lwowa, a tutaj – proszę bardzo!

eprasa.pl d185a8d253

I faktycznie. Tarnopol, podobnie jak Lwów rozbudowany w austro-węgierskich czasach, został prawie całkowicie zburzony w okresie II wojny światowej i ze starej zabudowy pozostało tylko kilka ulic na krzyż w ścisłym centrum. Ale cóż, galicyjski styl życia wygrywa ze stalinowskim betonem (albo „stalinowskim barokiem", jak mawia Jurij Zawadzki, tarnopolski poeta, performer i wydawca, a także współwłaściciel lokalnej wytwórni żyrandoli). Na wielkich poleninowskich placach rosną kawiarnie, wszędzie czuć świeżo parzoną kawę i widać już nie człapiących w byle czym obywateli postbezklasowej postutopii, ale ludzi aspirujących do stylu życia i ubierania się zachodniej klasy średniej.

– Pytanie, czy oni faktycznie są klasą średnią – krzywi się Zawadzki. – Nie jestem pewien, czy akurat to już się na Ukrainie udało. Chyba na Zachodzie raczej za taką by nie zostali uznani.

Drogi, można powiedzieć, się raczej udały. Choć też nie do końca.

– Najlepsza jest droga ze Lwowa na Tarnopol – mówi Zawadzki. – Jest wyremontowana, jednojezdniowa, ale jest na niej taki pas-niepas. Ja go nazywam „półtora", bo zamiast zrobić dwa pasy, zrobili półtora pasa, tak trochę nie wiadomo po co. No ale cóż – wzrusza ramionami poeta i performer – dwa pasy są takie banalnie oczywiste, wtłaczają cię w jakiś sposób myślenia odgórnie narzucony. Jedziesz jednym pasem albo drugim – i koniec. Ale półtora pasa! To jest dopiero wyjście do improwizacji!

To prawda. Albo do wypadku. Bo ten pas „półtora" kończy się zawsze nagle i bez ostrzeżenia, bez żadnych strzałek nakazujących zwolnienie i zjazd na pas podstawowy, co sprawia, że nieznający tej trasy kierowcy ewidentnie często lądują w krzakach, o czym świadczą ślady palonej gumy na końcach tych „półtoraków".

Ale klasa średnia?

W miastach pomiędzy zapełniającymi tłumnie knajpy klasośredniakami – albo ludźmi do tej klasy średniej aspirującymi – widać obrazki, które są tak już stereotypowe, że na mało kim robią wrażenie, ale opisać je trzeba: a to para staruszków siedzi w palącym słońcu, bo to dobre miejsce przy zatłoczonym knajpami chodniku. Próbują sprzedać jakieś absolutnie desperackie drobiazgi wyglądające, jakby wygrzebali je z dna starej szuflady, jakiś facet wścieka się, oglądając świecący wywoskowanym, czarnym zadem SUV Mercedesa: „Gdzie ludzie takie pieniądze zarabiają, no gdzie, na budowie?". Jakiś człowiek opycha stojącemu na targu handlarzowi monetami parę starych izraelskich szekli za sześć hrywien i targuje się o trzy hrywny, czyli czterdzieści groszy. Przeciętny i niedrogi obiad w jednej z tych wypasionych restauracji kosztuje około dwustu hrywien. A same restauracje mieszczą się bardzo

eprasa.pl d185a8d253

często w kamienicach, gdzie wyremontowane jest tylko restauracyjne piętro, a cała reszta grozi zawaleniem.

– Do tego jeszcze COVID – mówi Sofija, tłumaczka i działaczka kulturalna ze Lwowa. – To nieetyczne budować drogi akurat teraz, gdy ludzie leżą po szpitalach, a służba zdrowia nie ma za co działać.

Dwudziestoparoletnia Sofija, można uznać, wchodzi w tryb narracyjny wielkomiejskiej lewicy, natomiast Jurij, czterdziestoletni wydawca – w tryb wielkomiejskich liberałów.

– Państwo powinno być ociosane do minimum – mówi. – Ma nie przeszkadzać i tyle.

Takie neoliberalne, a właściwie hiperneoliberalne podejście obowiązuje na Ukrainie już od dawna, i to w różnych wariantach.

– Dawniej prywatyzowali się bandyci – mówi pan Ihor z Tarnopola, który próbował sił w drobnym biznesie, ale mu nie wyszło i teraz pracuje jako ochroniarz. – I prywatyzowali po bandycku. Ci najbardziej cwani stali się oligarchami i gdy skończyły się rzeczy do prywatyzowania, zaczęli okradać tych, którzy i tak byli biedni. Dziś Zełenski obiecuje deoligarchizację i kolejną falę prywatyzacji. Ale tu już chyba chodzi tylko o to, żeby stworzyć nową oligarchię na miejscu tej starej, a sprywatyzować głównie majątki tych oligarchów, którzy wcześniej się nachapali.

Zełenski nie chce palić mostów z Rosją. Ogłosił chęć kontynuacji rozmów z Kremlem na temat zakończenia konfliktu w Donbasie, a nawet na Krymie.

Opozycja wypomina Zełenskiemu listę grzechów. Ołeh Czernow z Europejskiej Solidarności, partii byłego prezydenta Petra Poroszenki, podczas majowej debaty w Zaporożu mówił o pustych obietnicach, szczególnie składanych lekarzom i nauczycielom, krytykował płytki populizm, skorumpowanie i nepotyzm, politykę obniżającą pozycję Ukrainy na scenie międzynarodowej.

– Największą obietnicą, którą złożył Zełenski – grzmiał Czernow – było to, żeby nie przyjmować do władzy swoich znajomych i bliskich. Obiecał zmienić państwo, a co dziś widzimy? Widzimy, że w Radzie Najwyższej na kluczowych stanowiskach siedzą weseli „kwartałowcy" [kabaretowa wytwórnia Zełenskiego i jego współpracowników nazywa się Kwartał 95 – przyp. red.], którzy niczego nie umieją.

To właściwie ujednolicony przekaz opozycji. Sam były prezydent Petro Poroszenko już od jakiegoś czasu powtarza ten sam zestaw skarg, dokładając do niego zarzut, że w miejsce zwalnianych proeuropejskich urzędników faworyzowani są dawni współpracownicy Janukowycza. I że rujnuje dorobek poprzedniej władzy: struktury antykorupcyjne, i podważa zachodnie wsparcie dla ruchu bezwizowego.

eprasa.pl d185a8d253

Poroszenko zarzuca Zełenskiemu mniej więcej to samo, co polska opozycja zarzuca PiS: granie na korzyść Rosji, która tylko czeka na utratę zaufania Zachodu wobec Kijowa (czy Warszawy), aby powoli wciągnąć państwo w swoją strefę wpływów.

Co prawda, to prawda: *argumentum ad Putinum* to argument działający na Ukrainie wyjątkowo mocno. Zełenski w imię ratowania sondaży (i by nastroić przychylnie do siebie Joego Bidena, który zastąpił niby antyrosyjskiego, ale jednak mocno nieprzewidywalnego Donalda Trumpa, co Ukraina przyjęła z ulgą) zaatakował najważniejsze kremlowskie bastiony. Zamknięto trzy promoskiewskie kanały telewizyjne za „szerzenie rosyjskiej dezinformacji" i zamrożono konta Wiktora Medwedczuka, człowieka, który te stacje *de facto* kontrolował i który jest – dosłownie – kumem Władimira Putina (Putin jest ojcem chrzestnym jednej z córek Medwedczuka).

Prezydent Ukrainy wymusza na przedsiębiorcach używanie kas fiskalnych, naciska na ujednolicanie prawa z prawem unijnym, próbuje ogarnąć system płac działający na zasadzie: „najniższa krajowa plus koperta".

Wydał również wojnę niektórym janukowyczowskim nominantom i uderzył w Sąd Konstytucyjny (SK), gdzie rzeczeni zasiadali. Najpierw próbował zdymisjonować cały SK, między innymi za to, że wydał kilka orzeczeń podważających działania Narodowego Antykorupcyjnego Biura Ukrainy (NABU), które wcześniej Zełenski próbował wzmocnić, na przykład pozwalając śledczym stosować podsłuchy i podglądy bez wiedzy Służby Bezpieczeństwa Ukrainy (SBU).

„Sam jesteś"

Zaatakowany Sąd Konstytucyjny przystąpił do desperackiej obrony: jeden z sędziów Ihor Slidenko zagroził Zełenskiemu stupięćdziesięcioma latami w więzieniu i wieszczył upadek Ukrainy pod jego przywództwem oraz wojnę, jeśli nie przestanie atakować w niekonstytucyjny sposób Sądu Konstytucyjnego za to, że wykonuje swoją robotę, czyli pilnuje przestrzegania konstytucji. Przewodniczący SK Ołeksandr Tupycki zagroził rozlewem krwi, który upór Zełenskiego może spowodować. Zełenski odpowiedział na to, że prostą i szybką drogą do rozlewu krwi są raczej decyzje Sądu Konstytucyjnego, a nie jego, co – poza faktem, że debata na tych wysokich szczeblach zamieniła się w przepychankę typu „sam jesteś" – tylko utrwaliło istniejącą już od jakiegoś czasu na Ukrainie tendencję do straszenia wojną domową i pogłębiło znieczulenie wyborców na tego typu retorykę.

Rzecz w tym, że ataki prezydenta faktycznie były niekonstytucyjne, skończyło się na anulowaniu dekretu Janukowycza o powołaniu dwóch członków sądu, w tym

eprasa.pl d185a8d253

Tupyckiego. Spowodowało to falę krytyki opozycji wobec Zełenskiego, ten jednak – czując wiatr w plecy, podnoszące się sondaże i poparcie Zachodu – nie zamierzał się wycofać.

I autorytaryzacja władzy postępuje. Rada Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony, której Zełenski przewodzi, jest nazywana przez niektórych drugim rządem i jest w tym dużo prawdy. Za jej pomocą Zełenski przebija się taranem przez polityczny imposybilizm, na przykład nakładając sankcje na oligarchów, którym aktualnie wypowiada wojnę i których chce sobie podporządkować. Według obserwatorów projekt jego ustawy antyoligarchicznej ma temu właśnie służyć. Nie tyle chodzi o samą deoligarchizację, bo w sytuacji gdy oligarchowie są strukturalnie powiązani z władzą, nie da się jej przeprowadzić ot tak, ile o narzędzie, za pomocą którego oligarchami będzie można mniej lub bardziej skutecznie kierować i – na przykład – korzystać z ich mediów. W ten sposób szykujący się już na drugą kadencję Zełenski buduje swój polityczny wehikuł: napęd – Rada Bezpieczeństwa, a paliwo – środki i możliwości oligarchów.

Kot i mysz

Po ataku na Medwedczuka i sędziów przyszła kolej na potężnego dnieprowskiego oligarchę Ihora Kołomojskiego, jednego z „książąt kresowych", którego finansowanie ukraińskich batalionów mocno się przyczyniło do zatrzymania rosyjskiej agresji w połowie Donbasu i na Krymie.

Kołomojski popierał również Zełenskiego, i to do tego stopnia, że spekulowano, czy przypadkiem nie jest jego projektem politycznym. To z Kołomojskim konsultował kolejne polityczne ruchy, to media Kołomojskiego wykreowały postać „sługi narodu". Po wyborze Ze! na prezydenta jednak doszło do oziębienia stosunków: Biuro Prezydenta pozbyło się Andrija Bohdana, który był pośrednikiem pomiędzy Kołomojskim a Zełenskim, a sam prezydent zaczął dywersyfikować relacje z oligarchami, żeby nie być za bardzo zależnym od Kołomojskiego.

Zełenski zaatakował najważniejsze kremlowskie bastiony. Zamknięto trzy promoskiewskie kanały telewizyjne za „szerzenie rosyjskiej dezinformacji".

Kołomojski zaś, który jest biznesmenem i politykiem mocno nieprzewidywalnym, w ostatnim czasie dokonał dość radykalnej wolty, *de facto* wspierając rosyjskie interesy na Ukrainie (popiera między innymi zerwanie przez Ukrainę współpracy z Międzynarodowym Funduszem Walutowym), ma też problem z Amerykanami. Nie tylko ma zakaz wjazdu do USA, ale też FBI na karku, która prowadzi przeciwko niemu

eprasa.pl d185a8d253

śledztwo w sprawie prania brudnych pieniędzy. Obserwatorzy spekulują, że ataki na Poroszenkę (i na Medwedczuka, który również ma kłopoty z amerykańskimi służbami) mogą być ukłonem wobec Amerykanów: myszą przyniesioną im na próg przez próbującego wkupić się w ich łaski kota.

Inna sprawa, że przez jakiś czas do środowiska Zełenskiego zbliżył się Rinat Achmetow, jeden z najpotężniejszych i najbogatszych ukraińskich oligarchów, szczególnie aktywny w czasach Janukowycza.

Problem w tym, że w kieszeni Kołomojskiego nadal siedzi nie tylko wielka część ukraińskiej gospodarki, ale i część partii Zełenskiego Sługa Narodu.

Wydaje się zresztą, że to właśnie od Kołomojskiego Zełenski mógł nauczyć się manewrowania i nieprzewidywalności, a poszczególne posunięcia prezydenta – jak i jego dawnego mentora – budzą często zaskoczenie komentatorów. W środowiskach inteligenckich, określających się jako patriotyczne, wywodzących się zwłaszcza z zachodniej Ukrainy, na Zełenskiego patrzy się z mocnym dystansem. I nadzwyczaj dużą dozą nieufności.

Opozycja wypomina Zełenskiemu listę grzechów. Puste obietnice składane lekarzom i nauczycielom, płytki populizm, skorumpowanie i nepotyzm, politykę obniżającą pozycję Ukrainy na świecie.

– Jego prezydentura to nie tylko zmarnowany czas – mówi Jurij Zawadzki, wydawca i poeta z Tarnopola. – W zasadzie to jest demontowanie tego, co zmontował Poroszenko na fali Majdanu. Nawet, jeśli to jest tylko rozbijanie wspólnoty, którą stworzyło wspólne rosyjskie zagrożenie.

Wiecznie podejrzliwy Jurij Andruchowycz, najbardziej chyba znany ukraiński pisarz i komentator, w wywiadzie udzielonym niedawno „Nowej Europie Wschodniej" twierdzi wręcz, że władza Zełenskiego może być swojego rodzaju spiskiem, który dąży do rozmontowania reform Poroszenki i w konsekwencji przekazania władzy w ręce prorosyjskie. Zełenski w każdym razie nie chce palić mostów w kontaktach z Rosją. Podczas wielkiej konferencji zorganizowanej w drugą rocznicę objęcia przezeń stanowiska prezydenta ogłosił chęć kontynuacji rozmów z Kremlem na temat zakończenia konfliktu w Donbasie, a nawet na Krymie. Zabiega o aktywne włączenie się w nie USA. Co do samego Putina – Zełenski robi wszystko, by nie doprowadzać do eskalacji napięcia, i nie ośmiela się go krytykować, choć Putin, warto przypomnieć, nie pali się do negocjacji z głową ukraińskiego państwa. Nie waha się natomiast, gdy trzeba wywrzeć presję na zachodnich sojuszników – szczególnie Francję i Niemcy, które – według Zełenskiego – coraz bardziej ulegają wpływowi atrakcyjności gospodarczej Rosji, oraz Bidena, który – w oczach prezydenta Ukrainy – gra z Kremlem coraz bardziej miękko, chce zdejmować sankcje z Nord

eprasa.pl d185a8d253

Stream 2. Biden, notabene, też nie cacka się raczej z prezydentem Ukrainy: gotowy był do spotkania z nim już jakiś czas temu, ale Zełenski – w dość typowy dla siebie sposób, czyli szturmem przez przepisy, wyrzucił z pracy wierchuszkę państwowego energetycznego koncernu – Naftohazu, i Biden, który nie toleruje niekonstytucyjnych zagrań wśród sojuszników, obraził się na niego.

Joe Biden, choć może mieć pretensje do Zełenskiego również za jego niejednoznaczne dukanie, gdy ujawniono treść rozmowy pomiędzy nim a byłym prezydentem USA Donaldem Trumpem, podczas której ten ostatni domagał się od Ukraińców szukania haków na syna Joego Bidena, to jednak uważa siebie za przyjaciela Ukrainy. W rozmowie telefonicznej z Wołodymyrem Zełenskim, którą przeprowadził przed rozmowami z Putinem, nie tylko zapewnił prezydenta Ukrainy o swoim wsparciu. Poszedł dalej: zapowiedział wsparcie dla członkostwa Ukrainy w NATO, z czego później amerykańska służba prasowa musiała się wycofywać, twierdząc, że nie chodziło o oficjalne stanowisko, a o osobiste emocje prezydenta USA.

Cokolwiek by jednak mówić, prezydentura Zełenskiego, jak antyrosyjski by aktualnie nie był (koniunkturalnie czy nie), doprowadziła do rozwodnienia nacjonalistycznej narracji mocno promowanej w czasach Poroszenki.

– Mnie to się akurat podoba – mówi Wołodymyr, ważna postać lwowskiego lewicującego środowiska artystyczno-intelektualnego. – Dawniej wszędzie kręciły się te nacjonalistyczne bojówki, a teraz jest mniej więcej spokój. Nie są już tacy chętni, żeby atakować lewaków albo liberałów. Czasem nawet sami po łbie dostaną.

Z drugiej jednak strony na lwowskich ulicach nadal można kupić naszywki kolaboranckiej dywizji Hałyczyna, a nazwiska nacjonalistycznych działaczy, takich jak Roman Szuchewycz czy Kłym Sawur, na których rękach trudno nie dostrzec krwi, widnieją na tabliczkach z nazwami ulic. Nawet jeśli pominąć Banderę, nadal jest w pamięci historycznej mnóstwo kontrowersyjnych postaci.

Zełenski wymusza na przedsiębiorcach używanie kas fiskalnych, naciska na ujednolicanie prawa z prawem Unii Europejskiej (nawet jeśli unijni ministrowie, jak na przykład francuski minister ds. Europy Clément Beaune, gaszą wszelki entuzjazm związany z ewentualnym wejściem Ukrainy do Wspólnoty) i próbuje ogarnąć system płac, który na Ukrainie nadal często działa na zasadzie „najniższa krajowa plus koperta". Promuje ponadto cyfryzację i próbuje wprowadzać nowe technologie na linii obywatel–państwo.

Największe jednak boje dopiero przed nim: Zełenski zamierza doprowadzić do deoligarchizacji ukraińskiej polityki. Prezydencki projekt ustawy antyoligarchicznej, po pierwsze, definiuje, kim jest ukraiński oligarcha (wpływa na media i ma w nich udziały, uczestniczy w życiu politycznym, posiada majątek przekraczający 80 milionów dolarów), jednak obserwatorzy boją się, że taki „rejestr" oligarchów to nic

eprasa.pl d185a8d253

innego, jak ręczne sterowanie usuwaniem przez państwo niewygodnych dla Zełenskiego biznesmenów. I ewentualnie zamienianie ich na innych.

– Jaka deoligarchizacja – śmieją się wiecznie zgryźliwi lwowianie w knajpach przy ulicy Ormiańskiej – jeśli to oligarcha go przyniósł w kieszeni i z oligarchami się obwozi? Jednych wyrzuci z rejestru, innych przyjmie, i tak to się skończy.

No, ale jak wiadomo – Lwów Zełenskiemu nie ufa. Czas pokaże, czy słusznie.

– Ale nawet jeśli pozostaną po nim tylko drogi – zaznacza jeden z nich – to i tak dużo. Po innych prezydentach zostały głównie kłopoty.

Ziemowit Szczerek jest pisarzem; interesuje się między innymi terytorium Europy Wschodniej, stały współpracownik „Nowej Europy Wschodniej". Opublikował między innymi książki: *Tatuaż z tryzubem* (2015), *Siwy dym* (2018), *Cham z kulą w głowie* (2020).

eprasa.pl d185a8d253

Na wojnie z oligarchami

Piotr Pogorzelski

Na celowniku prezydenta Wołodymyra Zełenskiego znaleźli się prorosyjscy politycy, przede wszystkim Wiktor Medwedczuk. Otwarty lobbysta wpływów Władimira Putina przez dziesiątki lat wydawał się nietykalny. Zmienił to polityk, po którym chyba mało kto się tego spodziewał.

Drugiego lutego Zełenski podpisał decyzję Rady Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony, na mocy której objęto sankcjami deputowanego prorosyjskiej Opozycyjnej Platformy Za Życie (OPZŻ) Tarasa Kozaka oraz należące do niego kanały telewizyjne: 112, NewsOne oraz ZIK. Formalnie stacje były jego własnością, ale nikt nie miał wątpliwości, że kontroluje je Medwedczuk. Decyzję wytłumaczono zachodnim dyplomatom, nikt nie krytykował więc działań Kijowa. Te trzy kanały powtarzały rosyjskie schematy propagandowe. Sprowadzają się one do tego, że Moskwa nie odpowiada za agresję w Zagłębiu Donieckim, a na Ukrainie mamy do czynienia z wojną domową. Trudno było uwierzyć, że przez tyle lat wojny tego rodzaju telewizje w ogóle miały prawo nadawania na terytorium Ukrainy i z niego. Okazało się to jednak tylko przygrywką do kolejnych wydarzeń. Otóż 19 lutego Rada Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony objęła sankcjami samego Medwedczuka i jego żonę Oksanę Marczenko.

Zło wcielone

Dla wielu Ukraińców Medwedczuk jest kwintesencją najgorszego zła. Według ostatniego sondażu grupy Rating ufa mu jedynie 15 procent obywateli. Nie ufa – 74 procent. To najgorszy wynik wśród polityków wymienionych w sondażu.

Skąd tak negatywny stosunek do Medwedczuka? Żeby odpowiedzieć na to pytanie, warto przyjrzeć się jego życiorysowi.

Urodził się w 1954 roku w radzieckiej Rosji, jego rodzice pochodzili z Ukrainy, ojciec z obwodu żytomierskiego, matka z winnickiego. Ojciec w czasie II wojny światowej współpracował z Niemcami, później, według radzieckiej prokuratury, także z ukraińskimi nacjonalistami, za co został zesłany do Kraju Krasnojarskiego. W latach sześćdziesiątych rodzina wróciła na Ukrainę.

eprasa.pl d185a8d253

Młody Medwedczuk chciał uczyć się w szkole milicyjnej, ale ze względu na biografię ojca nie został przyjęty. Później udało mu się ukończyć prawo na kijowskim Uniwersytecie im. Szewczenki. Działał w Komsomole, także w radzieckim odpowiedniku studenckiego ORMO. Właśnie wtedy pobił niepełnoletniego Andrija Kryczaka, za co początkowo został skazany na dwa lata pozbawienia wolności. Wyrok anulowano. W 1978 roku Medwedczuk skończył studia i został adwokatem w kijowskim miejskim kolegium adwokatów. Z poręczenia MSW i KGB prowadził najważniejsze sprawy.

I tu pierwszy głośny akord w życiorysie Medwedczuka. Zajmował się między innymi sprawą literatów Jurija Lytwyna i Wasyla Stusa. Pierwszy został skazany na trzy lata kolonii karnej o zaostrzonym reżimie. Druga sprawa była o wiele głośniejsza. Przyjaciel Stusa, Jewhen Swerstiuk wspominał, że poecie adwokat od początku się nie spodobał.

Dla wielu Ukraińców Medwedczuk jest kwintesencją najgorszego zła. Według ostatniego sondażu grupy Rating ufa mu jedynie 15 procent obywateli. To najgorszy wynik wśród polityków wymienionych w sondażu.

– Od razu wyczuł, że Medwedczuk to człowiek komsomolskiego agresywnego typu, że go nie broni, nie chce zrozumieć i nie interesuje się sprawą.

W dysydenckiej *Kronice wydarzeń bieżących* zachowała się notatka poświęcona procesowi, w której wspomniano słowa adwokata: „Wszystkie przestępstwa Stusa zasługują na karę", ale jednocześnie prośbę, aby sąd zwrócił uwagę, że jest on dobrym pracownikiem i ma kłopoty ze zdrowiem.

Sam Medwedczuk tłumaczy, że nie mógł nic zrobić, ponieważ decyzje podejmowano w partii i KGB.

„Jeśli ktoś myśli, że mógłby uratować Wasyla Stusa, to jest albo kłamcą, albo nigdy nie żył w ZSRR i nie wie, co to takiego" – mówił oligarcha.

Sąd skazał Wasyla Stusa na dziesięć lat kolonii i pięć lat zesłania. Poeta zmarł w 1985 roku. Według krążących plotek Medwedczuk w innych procesach umiał domagać się wyższego wyroku, niż chciała prokuratura.

Sprawa Stusa chyba dotąd gryzie Medwedczuka wyjątkowo mocno. W 2020 roku jeden z kijowskich sądów zabronił na wniosek oligarchy dystrybucji książki Wachtanga Kipianiego *Sprawa Wasyla Stusa*, w której dokładnie opisano rolę adwokata i zaznaczono, że został on „nadany przez KGB ZSRR". Spowodowało to ukraińską wersję efektu Streisand – książka momentalnie zniknęła z półek księgarń, przygotowano dodruk. Została także zamówiona przez biblioteki przy wsparciu Ministerstwa Kultury. W marcu Sąd Apelacyjny odwołał ten wyrok, zgadzając się jedynie z wnioskiem Medwedczuka, że zdanie „nadany przez KGB ZSRR" nie powinno być

eprasa.pl d185a8d253

rozpowszechniane. Sąd uznał jednak, że nie oznacza to, iż dystrybucja książki musi być wstrzymana.

Wróćmy do lat dziewięćdziesiątych. W 1992 roku Medwedczuk założył firmę adwokacką BIM. Zajmowała się między innymi pomocą w rejestrowaniu działalności w rajach podatkowych. Został także przewodniczącym Stowarzyszenia Adwokatów Ukrainy, a od 1997 roku był deputowanym Rady Najwyższej. W latach 1998–2007 pełnił funkcję szefa Zjednoczonej Socjaldemokratycznej Partii Ukrainy SDPU(o) – ugrupowania, które wspierało w wyborach na drugą kadencję Leonida Kuczmę.

Później piastował funkcję szefa Administracji Prezydenta (lata 2002–2005). To za jego czasów pojawiły się *temnyky*, czyli tajne instrukcje wysyłane do kanałów telewizyjnych z opisem, o czym mówić, a o czym nie. W dobrym świetle należało oczywiście mówić o Leonidzie Kuczmie i SDPU(o), źle o opozycji. Technologia przyszła z Rosji, gdzie wysyłano *Tematy tygodnia*, czyli *Tiemy niedieli*, stąd właśnie rosyjskie słowo *tiemnik* (w zukrainizowanej formie brzmi *temnyky*).

W 2004 roku miało miejsce jeszcze jedno ważne wydarzenie. Władimir Putin został ojcem chrzestnym córki Medwedczuka – Darii. Na terytorium poradzieckim tego rodzaju więzi są porównywalne z rodzinnymi.

Oligarcha cały czas budował imperium biznesowe z braćmi Surkisami: Ihorem i Hryhorijem (prezydent Federacji Piłki Nożnej Ukrainy w latach 2000–2012). Na taśmach nagranych potajemnie w gabinecie Leonida Kuczmy (przez ochroniarza prezydenta Mykołę Melnyczenkę) ze strony służb padają dość mocne oskarżenia pod adresem braci Surkisów. Dotyczą powiązania ze światem kryminalnym.

Przekuwanie porażki w sukces

Pomarańczowa rewolucja na przełomie 2004 i 2005 roku podcięła skrzydła Wiktorowi Medwedczukowi. Miała wyraźnie prozachodni wymiar, co kompletnie nie odpowiadało jego wizji polityki zagranicznej. W 2006 roku utworzony przez niego blok Nie Tak!, w skład którego wchodziła SDPU(o), a Medwedczuk figurował jako trzeci na liście (zresztą był na niej też Hryhorij Surkis), zdobył jeden procent głosów. Była to siła zdecydowanie antyunijna i antynatowska. Jej zwolennicy chętnie protestowali przeciwko współpracy z Zachodem, a już szczególnie z Sojuszem Północnoatlantyckim. Opowiadali się przy tym za sojuszem z Rosją, Białorusią oraz Kazachstanem i uznaniem języka rosyjskiego za państwowy.

W 2012 roku Wiktor Medwedczuk pojawił się z nową marką – ruchem Ukraiński Wybór. Miał on dokładnie takie same hasła polityczne, jak Nie Tak! Dodatkowym była federalizacja, pomysł, który jest promowany na Ukrainie przez Moskwę. Dzięki zmianie ustroju poszczególne regiony kraju mogłyby paraliżować politykę

eprasa.pl d185a8d253

zagraniczną czy obronną Kijowa, na przykład uniemożliwiając integrację ze strukturami zachodnimi. Dla Rosji to dobre rozwiązanie.

W 2014 roku, gdy Amerykanie wpisywali Medwedczuka na listę sankcyjną jako osobę zagrażającą pokojowi, bezpieczeństwu, stabilności i suwerenności oraz jedności terytorialnej Ukrainy, a także jej demokratyzacji, wypomniano mu właśnie kierowanie Ukraińskim Wyborem. Waszyngton przypominał mu też wsparcie dla Wiktora Janukowycza.

Władze w Kijowie zajęły się ruchem dopiero w marcu bieżącego roku. W kontekście dochodzenia dotyczącego współpracy członków Ukraińskiego Wyboru podczas aneksji Krymu w 2014 roku przez Rosję (sprzyjanie organizacji „referendum" na półwyspie). Służba Bezpieczeństwa Ukrainy przeprowadziła rewizję w biurach partii.

Rewolucja godności stała się kolejną porażką Medwedczuka. Ukraińcy zwrócili się na Zachód, a aneksja Krymu i wsparcie Moskwy dla prorosyjskich separatystów w Zagłębiu Donieckim tylko utwierdziło ich w przekonaniu, że Ukraina musi oprzeć się na Unii Europejskiej i NATO.

Medwedczuk już na początku wojny, wiosną 2014 roku, próbował angażować się w rozmowy pokojowe z separatystami. Wbrew rozpowszechnionej na Ukrainie opinii, to jednak nie Petro Poroszenko zaproponował, aby Medwedczuk brał udział w rozmowach grupy trójstronnej, która ustalała kwestie wymiany więźniów. Uczyniła to kanclerz Niemiec Angela Merkel. Można tylko przypuszczać, że tę kandydaturę zaproponował jej ktoś ze strony rosyjskiej. Medwedczuk nie jest bowiem aż tak znanym politykiem, aby kanclerz kiedykolwiek wcześniej o nim słyszała.

Nie oznacza to jednak, że Medwedczuk nie cieszył się co najmniej przychylnością prezydenta Petra Poroszenki. Jak ustalili dziennikarze programu *Schemy* przygotowywanego przez Radio Swoboda, w 2017 roku Służba Bezpieczeństwa Ukrainy (bezpośrednio podległa prezydentowi) uniemożliwiła działalność szesnastu firmom zajmującym się importem gazu skroplonego. Powodem był zarzut współpracy z separatystami na wschodzie Ukrainy. Rynek zajęły cztery firmy powiązane z Medwedczukiem.

Polityk cieszy się też wsparciem Władimira Putina. Nie bez znaczenia jest wspomniane kumostwo. Tylko tym można wytłumaczyć fakt, że tuż po rewolucji godności rodziny Medwedczuka oraz jego politycznego współpracownika Tarasa Kozaka objęły kontrolę nad rafinerią w Nowoszachtyńsku na południu Rosji oraz jednym z pól naftowych. Za wszystko zapłacili śmieszną kwotę 40 tysięcy dolarów (w rzeczywistości wartość pól była o wiele wyższa). Zasoby pola ocenia się na 137 milionów ton ropy. Przekazano je za pośrednictwem Siergieja Kisłowa, rosyjskiego biznesmena, który zainwestował w nie miliony dolarów. Biznes przynosi także milionowe zyski. Według *Schem* od 2014 roku wyniosły one ponad 100 milionów dolarów. Tego rodzaju

eprasa.pl d185a8d253

inwestycje są półjawną formą finansowania prorosyjskiego polityka przez Moskwę. Wisienką na torcie jest fakt, że produkty naftowe z rafinerii Medwedczuka trafiają do Stanów Zjednoczonych za pośrednictwem firmy ze Szwajcarii. Oprócz tego – jak poinformowała ukraińska Rada Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony – paliwo wywożono do samozwańczych republik – donieckiej i ługańskiej.

Wiktor Medwedczuk jest człowiekiem majętnym. Ma on (lub jego żona Oksana Marczenko) udziały w około stu firmach na Ukrainie, w Rosji oraz w rajach podatkowych. Według dziennikarzy śledczych z grupy Bihus.info oligarcha posiada pięć samolotów bądź regularnie z nich korzysta. Jeszcze w 2019 roku, zgodnie z jego deklaracją, pieniądze trzymał głównie w walucie znienawidzonej przez siebie Europy, czyli w euro. Była to kwota niemal 5 milionów euro leżąca na kontach białoruskiego Absolutbanku i 1,8 miliona w gotówce. W zeszłym roku Medwedczuk zamienił euro na rosyjskie ruble, które nadal deponuje w tej samej instytucji. Kwota wynosi 784 miliony rubli, czyli 9,5 miliona euro. Właścicielem Absolutbanku jest białoruski biznesmen Mikałaj Warabiej.

Medwedczuk jest wierny swoim poglądom: Rosja to nie agresor. Ukraina kierowana jest przez Stany Zjednoczone. Nikt nie jest w stanie skłócić bratnich Rosjan i Ukraińców. A za wojnę w Zagłębiu Donieckim odpowiada Kijów i tylko on może ją powstrzymać.

Medwedczuk gromadzi także zabytkowe książki. Kolekcjonuje malarstwo ukraińskie i rosyjskie. Ma parę nieruchomości, także w Kijowie, oraz majątek na Zakarpaciu. O dziewiętnastu samochodach, zegarkach i wyrobach jubilerskich chyba nie warto wspominać.

Kierunek: Moskwa

Medwedczuk jest wierny swoim poglądom: Rosja to nie agresor. Ale Krym pozostaje ukraiński – trzeba przyznać, że wyraźnie to deklaruje. Ukraina kierowana jest przez Stany Zjednoczone. Nikt nie jest w stanie skłócić bratnich Rosjan i Ukraińców. Oczywiście za wojnę w Zagłębiu Donieckim odpowiada Kijów i to tylko on może ją powstrzymać.

Taką samą linię, zresztą podobną do kremlowskiej (poza deklaracją dotyczącą Krymu), obrały kanały telewizyjne należące do orbity wpływów Medwedczuka. I tu wróćmy do wspomnianego wyżej Tarasa Kozaka. Pochodzi ze Lwowa, pracował między innymi w Służbie Celnej. W 2014 roku deputowany Bloku Opozycyjnego, a w roku 2019 – Opozycyjnej Platformy Za Życie. Obydwa ugrupowania powstały

eprasa.pl d185a8d253

na gruzach Partii Regionów i mają jawnie prorosyjskie programy. Taras Kozak wraz ze swoją konkubiną to partnerzy w wielu biznesach Medwedczuka. W 2018 roku Kozak wszedł w posiadanie dwóch kanałów telewizyjnych 112 i NewsOne. W 2019 roku do jego portfela medialnego dołączył ZIK. Oficjalne dochody Kozaka nie pozwalają na zakup tego rodzaju aktywów, dlatego wiadomo było, że stoi za nim ktoś potężniejszy. Szybko okazało się, że tą osobą jest Medwedczuk. Był on zresztą częstym gościem wspomnianych stacji. Na ekranach zaczął pojawiać się między innymi Wiaczesław Pichowszek – propagandysta czasów Kuczmy. Pichowszek jako ówczesny redaktor naczelny wiadomości w kanale 1+1 wprowadził cenzurę (Medwedczuk kierował wtenczas Administracją Prezydenta). Przejęcie w 2019 roku kanału ZIK, który cieszył się dobrą opinią i zatrudniał wielu znanych dziennikarzy, zakończyło się odejściem wielu z nich. Nie chcieli zajmować się promocją prorosyjskiej polityki.

Medwedczuk jest majętny. Ma on (lub jego żona) udziały w około stu firmach na Ukrainie, w Rosji i w rajach podatkowych. Według dziennikarzy śledczych posiada bądź regularnie korzysta z pięciu samolotów.

Tylko kanały powiązane z Medwedczukiem milczały o „pałacu Putina" i przez długi czas nie informowały o protestach na Białorusi.

Sącząca się z nich jawna prorosyjska propaganda nie była w oczach prezydenta Poroszenki czymś negatywnym, choć oficjalnie przedstawiał się jako ukraiński patriota walczący z rosyjską agresją na wszystkich frontach. Według ministra spraw wewnętrznych Arsena Awakowa ówczesny szef państwa miał wszelkie podstawy, żeby zamknąć te telewizje. Odpowiednie informacje przekazywała mu Służba Bezpieczeństwa Ukrainy. W 2018 roku sprawa sankcji wobec kanałów 112 i NewsOne miała się znaleźć na posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony, ale Poroszenko nakazał jej odłożenie. Były już prezydent twierdzi, że nie chciał tego robić, ponieważ bał się oskarżeń o cenzurę. Istniało jeszcze drugie dno: kanały Medwedczuka były życzliwe wobec ówczesnego szefa państwa. A to miało znaczenie w czasie kampanii prezydenckiej.

Zełenski atakuje

Na atak zdecydował się Zełenski. Najpierw 2 lutego prezydent wprowadził w życie decyzję Rady Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony (RBNiO) o sankcjach wobec Tarasa Kozaka. Swój krok uzasadnił walką ze wspieraniem terroryzmu, chodziło o handel węglem z okupowanego Zagłębia Donieckiego. Dochody z jego sprzedaży wspierały budżety samozwańczych republik. „Ukraińska Prawda" przypominała,

eprasa.pl d185a8d253

że te informacje były znane już pięć lat temu. RNBiO odpowiadała, że otrzymała je od służb specjalnych.

Aktywa Tarasa Kozaka zablokowano, anulowano wszystkie posiadane przez niego licencje państwowe, ograniczono możliwość przemieszczania się. I co najważniejsze: sankcje dotknęły także kanały 112, NewsOne i ZIK. Decyzję natychmiast wprowadzono w życie. Telewizje zniknęły z eteru jeszcze tego samego wieczora. Ich pracownicy od razu zaczęli mówić o walce z wolnością słowa, ale chyba mało kogo przekonali, włącznie z Zachodem. Szczególnie, że na ich antenie wolności nie było zbyt dużo, a linię polityczną wyraźnie kreśliły prorosyjskie sympatie właściciela. Zełenski spotkał się z dyplomatami i wytłumaczył swoje działania. W odpowiedzi otrzymał poparcie Stanów Zjednoczonych i akceptację Unii Europejskiej.

19 lutego sankcjami objęto już bezpośrednio Medwedczuka i jego żonę Oksanę Marczenko oraz Natalię Ławreniuk, czyli konkubinę Kozaka. Za jedną z podstaw posłużyła wspomniana rafineria w Rosji, która według władz w Kijowie dostarcza surowców „grupom terrorystycznym", czyli samozwańczym republikom, donieckiej i ługańskiej. Rada Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony zadecydowała także o nacjonalizacji ropociągu Samara-Zachód, który w 2017 roku (czyli za prezydentury Poroszenki) znalazł się pod kontrolą osób z otoczenia Medwedczuka.

Sankcje nałożono też na firmy posiadające pięć samolotów obsługujących bezpośrednie loty z Kijowa do Moskwy, z których często korzystał Medwedczuk.

Wbrew pozorom ten ostatni krok jest dla polityka bolesny. Lubi latać do rosyjskiej stolicy i spotykać się z przedstawicielami tamtejszych władz: Władimirem Putinem, Dmitrijem Miedwiediewem czy szefem Gazpromu. Stara się przy tym pokazać, że może wpływać nie tylko na takie kwestie, jak wymiana więźniów, ale też negocjować ceny gazu, który Ukraina miałaby kupować od Rosji, choć nie ma do tego pełnomocnictw. Po jednej z takich wizyt Medwedczuk usłyszał w Kijowie, że jeśli ma dostęp do tańszego paliwa, może je sprowadzać na Ukrainę, rynek jest swobodny. Nie zrobił tego. Jego wizyty w Rosji mają charakter propagandowy i pozwalają mu się ogrzać przy znanych politykach.

Bilans zysków i strat

Zełenski, decydując się na atak na Medwedczuka, wygrywa na kilku płaszczyznach.

Zacznijmy od międzynarodowej: decyzje RNBiO dotyczące prorosyjskich polityków pokazują nowej administracji amerykańskiej, że ma do czynienia z poważnym sojusznikiem w regionie.

Polityka wewnętrzna: uderzenie w Medwedczuka to uderzenie w wyjątkowo niepopularnego polityka, za którym mało kto się wstawi, poza jego frakcją w OPZŻ.

eprasa.pl d185a8d253

Nawet w samym ugrupowaniu znajduje się grupa „gazowników", która jawnie za nim nie przepada. W sondażach prezydenckich opublikowanych w grudniu Medwedczuk mógł liczyć na 8,7 procent głosów, zajmując czwarte miejsce. Przoduje za to w rankingach polityków, do których Ukraińcy nie mają zaufania.

Zełenski uderzył też we wrogie sobie imperium medialne oraz w OPZŻ, która w ostatnich sondażach doganiała Sługę Narodu. Co prawda, wzmacnia w tym samym czasie oponentów Medwedczuka w samym OPZŻ, czyli skrzydło, na którego czele stoi Jurij Bojko. Jednak jeśli Zełenski planuje ubiegać się o następną kadencję (a wszystko na to wskazuje), to polityk ten będzie wymarzonym konkurentem.

Obecny prezydent, podejmując walkę z Medwedczukiem, pokazuje, jak mało patriotyczny był jego poprzednik. Tym samym zyskuje głosy wyborców nastawionych bardziej proukraińsko.

Czy to oznacza koniec Medwedczuka? To bardzo wątpliwe. Polityk pokazał, że chociaż niemal każda jego inicjatywa kończyła się porażką, to cały czas jest wspierany przez Moskwę i dobrze dzięki temu wsparciu zarabia. Paradoksalnie korzysta na tym także Ukraina, której mieszkańcy mają coraz silniejszą tożsamość narodową – w dużym stopniu dzięki fatalnej polityce Rosji i jej zwolenników w Kijowie.

Piotr Pogorzelski jest stałym współpracownikiem portalu Biełsat po Polsku, autor podcastu *Po prostu Wschód*, były korespondent Polskiego Radia w Kijowie. Autor książek: *Barszcz ukraiński* (2014), *Ukraina: niezwykli ludzie w niezwykłych czasach* (2015). Wydał także dostępną jedynie online książkę *Pierwsze Korupcyjne. Szkice reportera*.

eprasa.pl d185a8d253

Też jesteśmy dziećmi Litwy

Dominik Wilczewski

Ponad dziesięć lat temu społeczność LGBT+ na Litwie musiała walczyć o prawo do organizacji pierwszej w tym kraju parady równości. Dziś oczekuje legalizacji związków partnerskich. Wejście do parlamentu ugrupowania otwarcie ubiegającego się o prawa osób LGBT+ rozbudziło oczekiwania.

„Uchwalimy ustawę o związkach partnerskich, która ureguluje stosunki między osobami tej samej i różnej płci. Zainicjujemy poprawkę do konstytucji, która pozwoli rodzinom tej samej płci zawierać małżeństwa cywilne" – obiecywała przed ubiegłorocznymi wyborami do sejmu liderka Partii Wolności Aušrinė Armonaitė. O prawach osób LGBT+ wspominały już wcześniej inne ugrupowania, ale Partia Wolności jako pierwsza uznała je za jeden z priorytetów. Postuluje nie tylko legalizację związków partnerskich, ale także równość małżeńską. Na jej liście wyborczej wysokie – drugie – miejsce zajął działacz społeczności LGBT+ Tomas Vytautas Raskevičius.

Homoseksualizm to nie choroba, ale...

Ten trzydziestodwuletni prawnik od lat działa na rzecz praw osób nieheteronormatywnych. Był między innymi koordynatorem w Litewskiej Lidze Gejów (LGL), najważniejszej i najdłużej działającej organizacji LGBT+ na Litwie. Współorganizował wileńskie edycje Baltic Pride, zainaugurowanego w 2005 roku festiwalu społeczności LGBT+, co roku odbywającego się w innej stolicy każdego z trzech krajów bałtyckich. Głównym punktem programu festiwalu jest parada równości idąca ulicami Tallinna, Rygi lub Wilna. W stolicy Litwy Baltic Pride odbył się jak dotąd czterokrotnie: w 2010, 2013, 2016 i 2019 roku.

Doświadczenie Raskevičiusa pomogło mu w karierze politycznej. W 2019 roku trafił do rady miejskiej Wilna jako kandydat komitetu wyborczego mera stolicy Remigijusa Šimašiusa. To na jego bazie powstała później Partia Wolności. Chociaż sondaże wcale nie wróżyły jej sukcesu, w wyborach do sejmu w październiku ubiegłego roku zdobyła ponad 9 procent głosów i jedenaście mandatów. Jeden z nich przypadł Raskevičiusowi.

eprasa.pl d185a8d253

– To mentalny przełom. Do parlamentu dostała się partia, dla której sprawy LGBT+ są jednymi z priorytetowych. To duża rzecz. Pytanie brzmi, jaka była motywacja ludzi, którzy na nią głosowali? Czy temat praw LGBT+ był jedynym powodem? – zastanawia się Jūratė Juškaitė z Litewskiego Centrum Praw Człowieka.

Raskevičius jest nie tylko działaczem LGBT+ niekryjącym swojej orientacji. Występował również jako *drag queen* o imieniu Okeanidė. W jej kostiumie pojawił się nawet na przedwyborczej debacie. Udział Raskevičiusa w wyborach musiał być czymś niecodziennym dla wielu polityków, których stosunek do osób LGBT+ jeszcze niedawno można było zamknąć w zdaniu: „Nie mam nic przeciwko gejom, ale nie powinni obnosić się ze swoją orientacją". „Homoseksualizm to nie choroba, ale nie popieram jego propagowania" – pisał w 2012 roku w ankiecie portalu ManoBalsas.lt lider Litewskiego Związku Rolników i Zielonych (LVŽS) Ramūnas Karbauskis.

Pytam Tomasa Vytautasa Raškevičiusa o jego priorytety jako reprezentanta osób LGBT+ w parlamencie.

– Są trzy. Po pierwsze, legalne uznanie związków osób tej samej płci poprzez ustawę o związkach partnerskich. Po drugie, uchwalenie ustawy o prawnym ustaleniu płci, tak aby osoby transpłciowe mogły zmieniać swoje dokumenty tożsamości w procedurze administracyjnej, a nie sądowej. I po trzecie, zmiana ustawy o „propagowaniu homoseksualizmu". Podobnie jak w Rosji, na Litwie obowiązuje specyficzna klauzula, która każdą pozytywną informację o osobach LGBT+ określa jako szkodliwą dla małoletnich. Choć w praktyce jest martwym przepisem, to powinna być zmieniona – wylicza parlamentarzysta.

Zabraniamy zabraniania

W 1993 roku z kodeksu karnego usunięto przepisy penalizujące homoseksualizm – relikt czasów radzieckich. Dziesięć lat później, w związku z akcesją do Unii Europejskiej, uchwalono ustawę o równym traktowaniu, zakazującą dyskryminacji między innymi ze względu na orientację seksualną. Organizacje broniące praw osób nieheteronormatywnych, takie jak LGL, podnoszą jednak, że od tego czasu w sytuacji prawnej na lepsze zmieniło się niewiele. A wręcz na gorsze, bo w międzyczasie, w 2009 roku Sejm uchwalił niesławną ustawę o ochronie małoletnich „przed szkodliwym wpływem informacji publicznej" – tę właśnie, którą Raskevičius porównał do rosyjskich przepisów zakazujących „propagowania homoseksualizmu".

Lata 2009–2010 to jeden z kluczowych momentów w historii walki litewskiej społeczności LGBT+ o swoje prawa. Do władzy doszła wówczas centroprawicowa koalicja skupiająca konserwatywny Związek Ojczyzny – Litewskich Chrześcijańskich Demokratów (TS-LKD) oraz trzy mniejsze ugrupowania liberalne. Z kręgów koalicji

eprasa.pl d185a8d253

wyszła inicjatywa zmiany ustawy mającej chronić dzieci przed szkodliwymi treściami płynącymi z mediów. Przyjęta w 2009 roku poprawka zakazywała jednak także promowania „związków homoseksualnych, biseksualnych albo poligamicznych". Na Litwę spadła fala krytyki ze strony Parlamentu i Komisji Europejskiej, Amnesty International czy Human Rights Watch.

Sprzeciw wobec takiej formy ustawy wyraziła także prezydent Dalia Grybauskaitė. Ostatecznie nowe przepisy zostały uchwalone w nieco złagodzonej, a jednocześnie bardziej zawoalowanej formie. Za szkodliwą dla małoletnich została uznana informacja, która „godzi w wartości rodzinne" oraz „zachęca do zawarcia małżeństwa i stworzenia rodziny" w rozumieniu innym, niż przewidują to konstytucja i kodeks cywilny (czyli jako związek mężczyzny i kobiety). Późniejsza praktyka pokazała, że choć nowa ustawa nie wspominała o homoseksualizmie, to jej przepisy były wykorzystywane przeciw rozpowszechnianiu publikacji zawierających informacje o osobach nieheteronormatywnych.

Baltic Pride

Społeczność LGBT+ czekała jeszcze jedna batalia prawna. W 2010 roku w Wilnie po raz pierwszy miała odbyć się lokalna edycja Baltic Pride, obejmująca także paradę równości. Do wileńskiej prokuratury trafiła petycja prosząca o zakaz organizacji parady, podpisana przez około pięćdziesięciu posłów na Sejm. Organizatorom udało się uzyskać zgodę na przemarsz dopiero po odwołaniu do Naczelnego Sądu Administracyjnego. Parada odbyła się 8 maja, gromadząc około pięciuset uczestników, w tym działaczy LGBT+ i polityków z zagranicy. Dwukrotnie więcej było kontrdemonstrantów. W stronę maszerujących poleciały petardy i kamienie, kilkunastu najbardziej agresywnych przeciwników parady zatrzymała policja.

Łatwo wymienić inicjatywy zmierzające do ograniczenia praw osób LGBT+. Parlamentarzyści prawicy parokrotnie postulowali na przykład wprowadzenie zakazu wykonywania operacji korekty płci.

Fizyczna agresja, z którą spotkali się uczestnicy parady, to nie wszystko. Przez kilka miesięcy w litewskich mediach trwała burzliwa debata dotycząca tego, czy „parada gejów", jak wówczas pisano, w ogóle powinna się odbyć. Głosy nawołujące do tolerancji i szacunku dla inności zderzały się z apelami o poszanowanie „moralności publicznej". Nie brakowało wystąpień o charakterze wprost homofobicznym. Jeden z założycieli niepodległościowego Sąjūdisu, filozof Romualdas Ozolas nazwał paradę „przedstawieniem propagującym homoseksualizm w najbardziej agresywny sposób",

eprasa.pl d185a8d253

godzącym w fundamenty życia społecznego, przed którym społeczeństwo ma prawo się bronić, tak jak broni się przed agresją „nazistów, syjonistów i bolszewików".

W obronie praw homoseksualistów stanął filozof i politolog Kęstutis Girnius. „Państwo ma obowiązek ich chronić. Wolność słowa i zgromadzeń obejmuje wszystkich" – przekonywał Girnius, zwracając uwagę, że homofobia i zakazy niszczą obraz Litwy za granicą i negatywnie wpływają na relacje z innymi państwami. Miesięcznik „IQ" i kilka portali przedrukowało obszerny esej Tomasa Venclovy *Duszę się*. Był to manifest w obronie otwartości i tolerancji, a zarazem pamflet na samozwańczych obrońców wartości. Zdegustowany poziomem debaty publicznej Venclova pisał: „Zabraniamy zabraniania, zabraniamy przymusu, chcemy demokratycznej normalności. Możecie nie zgadzać się z gejami, nawet ich nie lubić, ale nie można ich obrażać ani obrzucać kamieniami".

Takich parad nam nie potrzeba

Raskevičius nie jest pierwszym gejem w litewskim parlamencie. W 2008 roku z listy efemerycznej Partii Wskrzeszenia Narodowego do sejmu trafił dziennikarz telewizyjny Rokas Žilinskas. On jednak wykonał coming out dopiero w trakcie kadencji. Žilinskas z rezerwą podchodził do postulatów społeczności LGBT+, nie popierał równości małżeńskiej i adopcji dzieci. „Tradycja chrześcijańska uznaje małżeństwo mężczyzny i kobiety. Jest to naturalne i należy to wziąć pod uwagę" – mówił w 2010 roku w rozmowie z portalem Lrytas.lt. Deklarował, że nie uważa za stosowne „krzyczeć o swojej orientacji" podczas parad. Ostatecznie wziął jednak udział w pierwszym wileńskim Baltic Pride. Žilinskas jeszcze dwukrotnie był wybierany do sejmu. W 2017 roku zmarł na zapalenie płuc.

W badaniu Eurobarometru w 2019 roku 53 procent Litwinów zgodziło się, że osoby homoseksualne powinny mieć takie same prawa jak heteroseksualne. Ale tylko 35 procent stwierdziło, że nie ma nic złego w relacji seksualnej osób tej samej płci.

Społeczność LGBT+ nie doczekała się w tamtym czasie zbyt wielu sojuszników wśród elit politycznych. Tacy, którzy otwarcie sympatyzowali z jej postulatami – jak socjaldemokratka Marija Aušrinė Pavilionienė czy liberałka Dalia Kuodytė – nawet w swoich ugrupowaniach należeli do mniejszości. W ankiecie ManoBalsas.lt przed wyborami do sejmu w 2012 roku ze stwierdzeniem „homoseksualizm nie jest naturalny i nie powinien być tolerowany w społeczeństwie" zgadzali się nie tylko niektórzy politycy prawicy, ale także Algirdas Butkevičius – lider Litewskiej Partii Socjaldemokratycznej, który po wyborach został premierem.

eprasa.pl d185a8d253

Byli jednak i tacy, którzy zaznaczali, że homoseksualistom należy się szacunek i nie powinni być dyskryminowani.

Znacznie łatwiej wymienić inicjatywy zmierzające do ograniczenia praw osób LGBT+. Parlamentarzyści prawicy parokrotnie postulowali na przykład wprowadzenie zakazu wykonywania operacji korekty płci. Do uchwalenia konstytucyjnej poprawki stwierdzającej, że rodzinę stanowi „małżeństwo i rodzicielstwo", dwukrotnie zabrakło wymaganej większości. A gdy w 2014 roku Estonia zalegalizowała związki partnerskie osób tej samej płci, ówczesny litewski minister sprawiedliwości Juozas Bernatonis (socjaldemokrata) zadeklarował, że na Litwie podobna ustawa nie zostanie uchwalona tak długo, jak będzie on ministrem.

Prym wśród posłów nieprzychylnych postulatom mniejszości seksualnych wiódł jednak Petras Gražulis z populistycznego Porządku i Sprawiedliwości. Proponował przeprowadzenie referendum w sprawie wpisania zakazu „propagandy homoseksualizmu" do konstytucji, wprowadzenie kar za organizację wydarzeń „naruszających moralność publiczną" czy zakazu adopcji litewskich dzieci przez pary tej samej płci z zagranicy. Homoseksualizm porównywał do pedofilii i nekrofilii. Dwukrotnie, w 2010 i 2013 roku, był zatrzymywany przez policję w czasie wileńskiego Baltic Pride za próbę ataku na uczestników parady.

Coś jednak zaczęło się zmieniać. Gdy w 2015 roku Remigijus Šimašius kandydował po raz pierwszy na mera Wilna z ramienia Ruchu Liberałów (jedynej wówczas partii opowiadającej się za związkami partnerskimi), zadeklarował, że nie zamierza zakazywać parad równości. Odróżnił się tym od swego konkurenta i dotychczasowego mera Artūrasa Zuokasa, który po kolejnym Pride w 2013 roku stwierdził, że „więcej takich parad nam nie potrzeba". Šimašius, będąc merem stolicy, nie wziął co prawda udziału w Pride trzy lata później, ale uczestniczył w kolejnym, w 2019 roku. Obok niego maszerował między innymi nowy lider socjaldemokratów Gintautas Paluckas. Ostatnia jak dotąd wileńska odsłona tej imprezy zgromadziła wówczas dziesięć tysięcy uczestników.

Coraz mniej homofobii

Vladimiras Simonko, który od wielu lat przewodniczy Litewskiej Lidze Gejów, ocenia ostatni Pride jako ogromny sukces nie tylko społeczności LGBT+, ale całego społeczeństwa obywatelskiego.

– Dziesięć tysięcy ludzi to bardzo dużo jak na Wilno. To był sygnał, że w społeczeństwie następują zmiany, że temat praw LGBT+ został przesunięty do mainstreamu – mówi mi Simonko. Przewodniczący założonej w 1993 roku LGL był jedną z pierwszych osób na Litwie, która dokonała coming outu. Dziś w życiu publicznym

eprasa.pl d185a8d253

nie brakuje postaci, które otwarcie mówią o swojej orientacji, jak na przykład historyczka sztuki Laima Kreivytė, piosenkarz Ruslanas Kirilkinas, aktor Dominykas Vaitiekūnas czy reżyser Romas Zabarauskas.

Zabarauskas, aktywnie działający na rzecz praw osób LGBT+, jest też odważnym krytykiem zaniechań władz. „Osoby LGBT są na Litwie dyskryminowane. Nie mamy równości małżeńskiej i prawa do adopcji ani nawet związków partnerskich, nie mamy normalnej edukacji seksualnej, odpowiedniej opieki medycznej dla osób transpłciowych ani sprawnie działającego prawa zapobiegającego mowie nienawiści. To, co mamy, to cenzura ustawy o ochronie małoletnich" – pisał w marcu tego roku na portalu LRT.lt (media publiczne) w artykule *Litwa to państwo homofobiczne, a ja wiem, kto jest temu winny*.

Rzeczywistość, w której żyją dziś na Litwie osoby nieheteronormatywne, to nie tylko parady równości, modne stołeczne kluby i imprezy oraz akceptacja ze strony wielkomiejskiej, postępowej inteligencji.

– Osoby LGBT+ mieszkające na prowincji najczęściej ukrywają swoją tożsamość w obawie przed homofobią w ich najbliższym otoczeniu. Jeśli chodzi o społeczność LGBT+, to tak naprawdę mamy do czynienia z dwiema Litwami: Litwą dużych miast i prowincją – tłumaczy mi Jūratė Juškaitė. Ale także w dużych miastach geje, lesbijki czy osoby transpłciowe są nadal narażeni na niechętne i pogardliwe spojrzenia czy słowne docinki. W najgorszym razie – na psychiczną i fizyczną przemoc.

W badaniu Eurobarometru w 2019 roku 53 procent Litwinów zgodziło się, że osoby homoseksualne powinny mieć takie same prawa jak heteroseksualne. Ale jednocześnie tylko 35 procent stwierdziło, że nie ma nic złego w relacji seksualnej osób tej samej płci. Przeciwnego zdania było 59 procent badanych. 71 procent nie czułoby się komfortowo na widok dwóch mężczyzn okazujących sobie uczucie w miejscu publicznym, 65 procent – na widok dwóch kobiet. Inne badania, na przykład prowadzone od kilkunastu lat przez Instytut Badań Etnicznych, pokazują jednak stopniowy spadek nastrojów homofobicznych. W 2005 roku 61 procent Litwinów nie chciało mieszkać w sąsiedztwie osób homoseksualnych. W 2010 roku – po pierwszym Baltic Pride – liczba ta spadła do 55 procent. Dziś tego zdania jest już tylko 36 procent badanych.

Panika moralna

– Zmiany w społeczeństwie naprawdę robią wrażenie. Dziesięć lat temu dyskutowanie tematów LGBT+ miało charakter skandalu albo jakiejś nowinki. Teraz coraz częściej staje się to tematem mainstreamowym i coraz bardziej politycznym – ocenia Tomas Vytautas Raškevičius. Poseł Partii Wolności stwierdza jednak, że

eprasa.pl d185a8d253

pozytywne zmiany w społeczeństwie nie zostały w żaden sposób odzwierciedlone w przepisach prawnych. Działacze społeczności LGBT+ podnoszą, że już w 2011 roku Sąd Konstytucyjny orzekł, że zawarta w ustawie zasadniczej koncepcja rodziny nie musi wynikać jedynie z instytucji małżeństwa. Oczywistą konsekwencją powinno być więc uchwalenie ustawy o neutralnych płciowo związkach partnerskich.

Venclova pisał: „Zabraniamy zabraniania, zabraniamy przymusu, chcemy demokratycznej normalności. Możecie nie zgadzać się z gejami, nawet ich nie lubić, ale nie można ich obrażać ani obrzucać kamieniami".

Ubiegłoroczne wybory do sejmu przyniosły zwycięstwo konserwatywnej TS-LKD. W listopadzie konserwatyści zawarli koalicję z Partią Wolności i Ruchem Liberałów. Postulat zalegalizowania związków partnerskich trafił jednak do protokołu rozbieżności. TS-LKD – partia, której politycy w przeszłości deklarowali przywiązanie do tradycyjnych wartości, a niektórzy nie stronili nawet od homofobicznych wypowiedzi, przeszła w ostatnich latach ewolucję. Jej lider, obecny szef MSZ Gabrielius Landsbergis, w 2016 roku deklarował poparcie dla związków partnerskich. Jednak powszechnie wiadomo, że w tej sprawie w szeregach partii nie ma zgody, a prawe skrzydło ugrupowania chce wręcz storpedować projekt.

W debacie (media i sieci społecznościowe) znów zaczynają brać górę argumenty emocjonalne.

– Widzimy coraz więcej mowy nienawiści i dezinformacji, społeczność LGBT+ jest przedstawiana jako intruzi, a nawet terroryści. Myślę, że poziom nienawiści w dyskusji publicznej jest podobnie wysoki jak w latach 2009–2010, przed pierwszym Baltic Pride. Doświadczamy paniki moralnej – ubolewa Jūratė Juškaitė. Co więcej, jej zdaniem, społeczność LGBT+ stała się narzędziem politycznym, za pomocą którego obecna opozycja atakuje koalicję rządzącą. Główna siła opozycji, rządzący do niedawna Litewski Związek Rolników i Zielonych, występuje dziś w roli obrońcy wartości rodzinnych. Głosy posłów LVŽS, którzy deklarowali kiedyś poparcie dla związków partnerskich, są wyciszane.

Stanowczy sprzeciw wobec legalizacji związków partnerskich wyraził już litewski episkopat. Przeciwko ustawie aktywnie lobbuje też środowisko Instytutu Wolnego Społeczeństwa, współpracującego między innymi z polskim Ordo Iuris. O tym, że jest to organizacja wpływowa, może świadczyć to, że zorganizowanej przez nią w ubiegłym roku konferencji na temat obowiązków państwa wobec kobiet w ciąży patronowała żona prezydenta Gitanasa Nausėdy, Diana Nausėdienė. Sam Nausėda o prawach osób LGBT+ jak dotąd wypowiadał się z rezerwą. Litewscy politolodzy przewidują, że nawet jeśli ustawę o związkach partnerskich uda się uchwalić, to

eprasa.pl d185a8d253

Nausėda najprawdopodobniej ją zawetuje, a zwolennikom ustawy może nie wystarczyć głosów potrzebnych do odrzucenia weta.

Choć projekt ustawy miał trafić pod obrady w wiosennej sesji sejmu, to jeszcze nie został nawet zarejestrowany.

– Nadal nie wiemy, co znajdzie się w projekcie ustawy. Nie wiemy, jakiego rodzaju rozwiązania zostaną zaproponowane. Nie powinniśmy zadowalać się złym prawem – uważa Vladimiras Simonko. On również zaniepokojony jest poziomem debaty wokół tych kwestii. Ale dostrzega, że społeczność LGBT+ ma sojuszników. – Widzę, że przynajmniej część społeczeństwa obywatelskiego, społeczności akademickiej, biznesu, większość mediów jest po naszej stronie – zauważa. I od razu dodaje, że politycy powinni być aktywniejsi w inicjowaniu debaty i przekonywaniu społeczeństwa.

Nie zamalowujcie nas

Dyskusja z mediów społecznościowych przenosi się na stołeczne mury. Kilka tygodni temu ściana jednego z przejść podziemnych Wilna została przez dwoje miejskich aktywistów, Karolinę Rimkutė i Linasa Salučkę, wymalowana w kolorach tęczy – na znak solidarności ze społecznością LGBT+. Na tęczy dopisali: „Twój wnuk", „Twoja sąsiadka", „Twój brat", „Twoja przyjaciółka" etc. Tęcza nie przetrwała jednak długo. Po paru dniach trzech „litewskich patriotów" (jak sami przedstawili się w mediach) zamalowało ją kolorami litewskiej flagi państwowej. Jeszcze tego samego dnia wieczorem na wymalowanej ścianie ktoś dopisał: „Nie zamalowujcie nas – My też jesteśmy dziećmi Litwy".

Dominik Wilczewski jest redaktorem portalu Przegląd Bałtycki, współpracownikiem Zakładu Bałtystyki Uniwersytetu Warszawskiego, zajmuje się krajami bałtyckimi, systemem politycznym i polityką pamięci na Litwie, stosunkami polsko-litewskimi i polsko-białoruskimi, publikował między innymi w „New Eastern Europe", „Tygodniku Powszechnym", portalu Więź i „Magazynie Pismo". Pracuje nad książką reporterską o Litwie dla Wydawnictwa Czarne.

eprasa.pl d185a8d253

Ostateczne rozwiązanie kwestii polskiej

Z Andrzejem Pisalnikiem, białoruskim dziennikarzem narodowości polskiej i tłumaczem, rozmawia Zbigniew Rokita

ZBIGNIEW ROKITA: Aleksander Łukaszanka co rusz wyskakuje z antypolskimi wypowiedziami: to oskarża Polskę o chęć aneksji Grodzieńszczyzny, to zarzuca jej organizowanie zamieszek na Białorusi. Czy Łukaszenka widzi w Polsce wroga?

ANDRZEJ PISALNIK: On nie tylko Polskę, ale i Polaków żyjących po obu stronach granicy i polskość w ogóle postrzega jako wrogie zjawisko. Twierdzi, że polskość zagraża Białorusi, jednak chodzi chyba o jego własne bezpieczeństwo i jego własne fobie.

Łukaszence brakuje wykształcenia. Tak, skończył historię na wyższej uczelni, czym się nieustannie chwali, ale poznał tę dyscyplinę chyba w bardzo okrojonym zakresie. Zbudował sobie w głowie model przeszłości będący kalką historiografii sowieckiej i wszystko, co do niego nie pasuje, uważa za fałszywe. Stąd bierze się między innymi jego histeria odnośnie do żołnierzy wyklętych i działalności polskiego państwa podziemnego podczas wojny.

Historię Łukaszenka skończył w 1975 roku za Leonida Breżniewa, w mocno zsowietyzowanej Białorusi. Poznał ją w wariancie sowieckim, który był w wielu miejscach antypolski.

Tak, stosunek sowieckich historyków do Polski i polskości zawsze był negatywny.

Wielu Białorusinów podziela antypolskie fobie Łukaszenki?

Tak, uproszczenia historyczne, które propaguje Łukaszenka, mogą się podobać ludziom takim jak on – słabo wykształconym, nieumiejącym krytycznie widzieć przeszłości. Prymitywnym ludziom podobają się prymitywne modele i proste odpowiedzi na skomplikowane pytania. To populizm historyczny w najgorszym wydaniu.

Nagonka na Polaków na Białorusi trwa od dawna, ale dlaczego zintensyfikowała się ona akurat w marcu? 10 marca aresztowano dyrektorkę polskiej szkoły Annę Paniszewą.

Łukaszenka twierdzi, że kroplą, która przelała czarę goryczy, były obchody Dnia Żołnierzy Wyklętych, które zorganizowano w Brześciu. Mówił, że skończyła mu się cierpliwość do polskości, do

eprasa.pl d185a8d253

której rzekomo odnosił się wcześniej tolerancyjnie. Czy istniały inne przyczyny, które popchnęły go do rozpoczęcia antypolskiej akcji? Możemy tylko spekulować. Od ubiegłorocznych wyborów prezydenckich Łukaszenka zwalcza wszystko, co jest mniej lub bardziej opozycyjne wobec niego. Musiało w końcu paść także na Polaków.

Tak, to ciekawe – w Polsce często koncentrujemy się na polskości Związku Polaków na Białorusi, zapominając, że jest to prawdopodobnie największa niezależna organizacja w tym kraju. Już sam ten fakt wystarcza jako powód prześladowań.

Tak, podziemny ZPB kierowany przez Andżelikę Borys jest największą niezależną organizacją z najbardziej rozwiniętą strukturą w kraju. Był nią również przed 2005 rokiem, gdy władze zadały mu decydujący cios i doprowadziły do rozłamu. Doszło wtedy do podziału na nieuznawany przez Mińsk ZPB kierowany przez Borys oraz reżimowy ZPB. W państwie Łukaszenki nie ma miejsca na niezależne organizacje. Ale prześladuje się również członków struktur uznanych przez Mińsk – Anna Paniszewa działała w funkcjonującym oficjalnie Forum Polskich Inicjatyw, ale nie uratowało to jej przed aresztowaniem.

Obchody upamiętniające żołnierzy wyklętych miały miejsce też w latach poprzednich, a jednak właśnie teraz reżim karze ich organizatorów. Być może przyczyny trzeba szukać gdzie indziej. Paniszewą aresztowano 10 marca, a 9 marca nadający z Warszawy Nexta opublikował popularny (ponad sześć milionów wyświetleń) film *Łukaszenka. Złotoje dno* o nielegalnym majątku Łukaszenki. Być może reżim, aresztując nazajutrz Polkę, chciał wysłać Warszawie czy Wilnu sygnał, aby nie wspierano tam emigracyjnej opozycji.

Istnieje taka teza. Premier Mateusz Morawiecki jako pierwszy powiedział o tym, że Łukaszenka, aresztując Polaków, bierze sobie zakładników. To może tak wyglądać. Teraz Łukaszenka może szantażować polskich polityków, zyskał argument w rozmowach z Warszawą.

Polska nie uznaje oficjalnego wyniku ostatnich wyborów, Łukaszenkę to boli i nie ukrywa tego. Chciałby to zmienić i posługuje się starą metodą, bo w przeszłości również brał jako zakładników białoruskich opozycjonistów, aby wykorzystać ich w charakterze karty przetargowej, kładąc na szali ich wolność. I nieraz mu się to udawało. Jego histeryczne słowa pod adresem Polski są w rzeczywistości zaproszeniem do dialogu.

Słowa: „Nie zamierzamy z nikim prowadzić wojny, nie chcemy wojny, ale jeżeli do nas będą w taki sposób się odnosić, jak to było pod koniec ubiegłego roku i teraz, dostaną w mordę i to bardzo mocno"?

Łukaszenka, grając w szachy, za najlepsze posunięcie uważa uderzenie przeciw-

eprasa.pl d185a8d253

nika szachownicą po głowie. Tak próbuje rozegrać również tę partię.

Łukaszenka ma obecnie najmniejsze pole manewru w polityce zagranicznej od początku swoich rządów. Pan sugeruje, że handlując zakładnikami, Łukaszenka może chcieć uzyskać od Polski uznanie ważności wyborów prezydenckich?

Tak rozumiem jego wypowiedzi. Łukaszenka powtarza, że Polacy na Białorusi będą mieć dobrze, jeśli będą „przynosić korzyść państwu białoruskiemu". Nie mam pojęcia, jaka według niego miałaby ona być. Każda mniejszość przynosi korzyść swojemu państwu, na przykład rozwijając swoją kulturę i w ten sposób je wzbogacając. Szkopuł w tym, że Łukaszenka również kulturę postrzega prymitywnie. W jego mniemaniu kultura polska powinna sprowadzać się do tańczenia krakowiaka w stroju ludowym. Wszystko inne nie należy już do polskiej kultury. Łukaszenka chciałby, żebyśmy ograniczyli się do tańców, a gdy Polacy zaczynają mówić o towarzyszących ich kulturze wartościach, zaczynają być widziani jako zagrożenie.

To sowiecka kalka. W ZSRS etnosy mogły kultywować swoje tradycje, ale w jasno określonych ramach – Tadżyk miał nosić tadżycką czapkę, a Czuwasze śpiewać czuwaskie pieśni. Ale odnośnie do targu, o którym Pan mówi – czy Warszawa powinna uznać nielegalnego prezydenta, który ma krew na rękach, w zamian za wolność Polaków?

Osobiście chciałbym, żeby koledzy i koleżanki wyszli na wolność, ale czy taką cenę należy za to zapłacić? Jednocześnie nie chcę nikogo skazywać na cierpienie w imię wartości, choć są one ważne dla Białorusinów walczących o swoją państwowość.

A jak Pan się czuł, gdy kilka lat temu marszałek senatu Stanisław Karczewski nazywał Łukaszenkę „ciepłym człowiekiem"? Karczewski brzmiał jak George W. Bush, który „dostrzegł duszę w oczach" Władimira Putina.

Wypowiedź marszałka była skrajnie kuriozalna i niestosowna. Rozumiem jednak, że politycy czasem mówią takie rzeczy, aby załatwić jakąś sprawę z korzyścią dla państwa polskiego. Może Karczewski chciał uśpić czujność Łukaszenki?

Uśpić po co?

Przypomnę, że w tym czasie żywiono nadzieję, iż uda się porozumieć z Mińskiem w sprawie zalegalizowania niezależnego ZPB, choć ostatecznie nic z tego nie wyszło. Nadal największa polska organizacja na Białorusi działa w podziemiu, a więc przeciętny Białorusin może uznać, że działamy niezgodnie z prawem. Inna sprawa, że Związek, nawet w podziemiu, potrafił wiele osiągnąć: stworzył na przykład siatkę nauczania języka polskiego w całym kraju. Dziś tym ośrodkom grozi likwidacja. W kwietniu Łukaszenka

eprasa.pl d185a8d253

oświadczył, że wszystkie je należy skontrolować i zrobić z nimi porządek. Innymi słowy, zapowiedział, że ma nastąpić ostateczne rozwiązanie kwestii polskiej na Białorusi.

Właśnie – to nie jest rozgrywka wyłącznie między Mińskiem i działaczami mniejszości polskiej. Na szali jest przyszłość polskości na Białorusi w ogóle: jeśli na przykład znikną polskie szkoły, może ona zamierać jeszcze szybciej niż do tej pory.

Łukaszenka stara się stworzyć społeczeństwo, które może w pełni kontrolować, a jedną z grup, które nie chciały mu się podporządkować, byli Polacy. Potrafili się zorganizować na wielką skalę w tak niesprzyjających warunkach.

Polacy są o tyle niewygodni dla Łukaszenki, że mają potężnego patrona w postaci Warszawy.

Nie można wykluczyć, że Łukaszenka uderzył w Polaków, aby pokazać Rosji, iż jest mu tu niełatwo – że ma swoich „banderowców", polską agenturę, z którą musi walczyć. Łukaszenka być może chce pokazać się Kremlowi jako ten, który stoi w forpoczcie, broniąc Białoruś i Rosję przed obcymi polskimi wpływami. To możliwe wyjaśnienie jego działań, choć nikt nie jest w stanie wejść do głowy Łukaszenki i zobaczyć, jak jest naprawdę.

Może to i lepiej – ja nie chciałbym wejść do jego głowy. Boję się, co bym tam znalazł. Wspominaliśmy o wypowiedzi Łukaszenki: „Jawne próby heroizacji bandytów i zbrodniarzy wojennych były kroplą, która przelała czarę goryczy". Mam z tym problem, bo jak w każdej dobrej propagandzie jest w tym ziarno prawdy. Takie osoby jak Rajmund Rajs „Bury" rzeczywiście były bandytami – jego oddziały mordowały na przykład niewinną ludność białoruską na Podlasiu.

Po pierwsze, „Bury" nie jest czczony przez mniejszość polską. Jego imię nie pojawiało się podczas żadnej uroczystości poświęconej żołnierzom wyklętym. Mamy tu swoich bohaterów, takich jak Anatol Radziwonik „Olech" czy Jan Borysewicz „Krysia". To o nich opowiadamy młodszemu pokoleniu, nie o „Burym". Znamy niechlubną historię jego oddziałów i rozumiemy uczucia Białorusinów związane z tymi kartami dziejów. Historycy z obu krajów powinni rozmawiać na te tematy i w razie potrzeby – przeprosić. Polska i Rosja powołała kiedyś Grupę do Spraw Trudnych. Stworzenie podobnego ciała między Białorusią i Polską też byłoby wskazane. Długo uważano, że w naszej historii nie ma trudnych epizodów, ale skoro Łukaszenka wyciągnął z rękawa „Burego", powinniśmy zacząć to wyjaśniać.

Polsko-Rosyjska Grupa do Spraw Trudnych istniała dopóki, dopóty wystarczało woli politycznej. Od lat jest martwa. Choć mamy więcej sporów historycznych z Ukrainą niż z Białoru-

eprasa.pl d185a8d253

sią, to również Polakom i Ukraińcom takiego ciała nie udało się powołać. Łukaszenka nie wydaje się zainteresowany badaniem polsko-białoruskich sporów na poziomie oficjalnym i naukowym.

Tak jak mówiłem, Łukaszenka ma prymitywne widzenie historii i gdyby taka grupa polsko-białoruska przedstawiła wnioski, które by mu nie odpowiadały, rozpędziłby ją, a „własnych" historyków mógłby jeszcze na domiar złego wysłać do więzienia.

A ilu Polaków mieszka na Białorusi?

Według ostatniego spisu ludności z 2009 roku – 295 tysięcy.

To ponad 3 procent populacji kraju.

Z każdym spisem liczba Polaków się zmniejsza, choć mówi się, że jest nas więcej, niż podają oficjalne dane. Ale nawet gdyby było to tylko 295 tysięcy, to jesteśmy drugą największą – po Rosjanach – mniejszością narodową w kraju. Zamieszkujemy przy tym zwarcie niektóre regiony, na przykład w rejonie werenowskim w obwodzie grodzieńskim około 80 procent mieszkańców stanowią Polacy. I niemal nie ma możliwości uczyć się tam języka polskiego. Albo Lida – szacuje się, że co drugi mieszkaniec tego stutysięcznego miasta ma polskie pochodzenie.

Na Litwie łatwiej zauważyć różnice między Polakiem i Litwinem, choć też nie zawsze jest to możliwe. A czy na Białorusi można łatwo rozstrzygnąć, kto do jakiej narodowości należy?

Lata mieszkania w ZSRS zrobiły swoje. Zdecydowana większość z nas kończyła rosyjskojęzyczne szkoły, a to, że nauczyliśmy się polskiego, było naszą decyzją, choć nie wszyscy mieli taką możliwość. Dawniej języka polskiego można było uczyć się w kościele, teraz kościół już tego nie umożliwia. Skoro więc w tak niesprzyjających warunkach blisko 300 tysięcy osób czuje się Polakami, chyba nie jest tak źle.

Kiedyś spierałem się o te liczby z Tadeuszem Kruczkowskim, byłym prezesem ZPB. Twierdził on, że Polaków są co najmniej dwa miliony.

Byłby to co piąty mieszkaniec kraju.

Uważał, że im wyższą liczbę podamy, tym bardziej będą nas szanować, ja twierdziłem, że to bzdura. Dwa miliony były nieprawdą, żaden spis ich nie potwierdzał. Tłumaczyłem mu, że lepiej podawać, że jest nas mniej, ale pewnych swojej polskości, zdeklarowanych, niż wymyślać niestworzone liczby i narażać się na zarzut kłamstwa.

Czy dla większości Polaków na Białorusi pierwszy język codziennych kontaktów to polski czy rosyjski?

Rosyjski. Już carscy urzędnicy mówili, że na tych terenach spokój zapewni tylko rosyjski bagnet i rosyjska szkoła. Bolszewicy zrealizowali ten postulat i do dziś cierpimy z tego powodu. Wynaradawia-

eprasa.pl d185a8d253

no nas tutaj bardziej niż na przykład Polaków na Litwie – tam za ZSRS były polskie szkoły, a na Białorusi nie.

Język to jedno. A czy białoruscy Polacy żyją w rosyjskim świecie, czy na przykład oglądają rosyjską telewizję państwową?

Tak, jesteśmy skazani na rosyjską przestrzeń medialną. To gorzej niż w czasach sowieckich. Wówczas na zachodzie kraju odbieraliśmy z Polski TVP1, niektórym udawało się złapać nawet TVP2. Słuchaliśmy poza tym Polskiego Radia, lista przebojów była w Grodnie audycją kultową, a młodym groził towarzyski ostracyzm, gdy nie wiedzieli, kto wygrał ostatnie notowanie. Teraz mamy telewizję cyfrową i nadawcy nie posiadają już w ofercie żadnej polskiej stacji. Do niedawna korzystaliśmy jeszcze z dostępu do Polsatu, ale kilka lat temu i to zniknęło – moim zdaniem z inicjatywy władz. Jesteśmy więc skazani na rosyjską telewizję.

Polacy na Białorusi z upływem czasu coraz bardziej się rusyfikują? Czy istnieje taki problem?

Dla kogo problem, dla tego problem. Jeśli ktoś się zrusyfikuje i zostanie w rozumieniu Łukaszenki „dobrym Białorusinem", może zrobić karierę. Na przykład Iwan Tertel, który wyrzekł się swojego polskiego pochodzenia i jesienią został szefem KGB. Czy jego zdaniem on sam ma problem, bo się zrusyfikował? Nie wydaje mi się. Polak na Białorusi zawsze będzie stał przed dylematem: być wiernym swoim wartościom czy zachować się „racjonalnie" i zrusyfikować się, aby zrobić karierę.

Spytałem o to, bo w Polsce myśli się często, że te 300 tysięcy Polaków na Białorusi to co do jednego opozycjoniści. Tymczasem wśród nich są również zwolennicy Łukaszenki.

Tak, w różnych kampaniach wyborczych przedstawiciele polskiej mniejszości – w tym prominentni działacze – popierali różnych kandydatów, także Łukaszenkę. Polacy nie są monolitem. Mało tego: wielu Polaków widzi w białoruskim nacjonalizmie zagrożenie dla siebie. Niejeden opozycjonista powtarza, że Polacy polonizowali Białorusinów, że polscy panowie wyzyskiwali białoruskich chłopów itd.

I wówczas białoruscy Polacy mogą woleć Łukaszenkę z jego topornym sowieckim internacjonalizmem jako mniejsze zło.

A poza tym jest złem znanym i oswojonym.

Czy więc przeciętny Polak na Białorusi, słysząc dziś o aresztowaniu Andrzeja Poczobuta czy Andżeliki Borys, czuje, że to też jego problem? Wszyscy się czują prześladowani?

Różnie postrzega się te aresztowania. Niektórzy uważają, że białoruscy Polacy cierpią nie za swoje grzechy, że winna jest Warszawa, która wsparła opozycję antyłukaszenkowską, a dziś odbija się

eprasa.pl d185a8d253

to na miejscowych Polakach. Inni twierdzą, że ZPB, prowadząc taką, a nie inną działalność, sam się prosił o kłopoty, które w końcu go spotkały. Jeszcze inni mogą mieć żal do działaczy Związku o to, że obudził on niedźwiedzia, który teraz zmiecie wszystko i dostanie się wszystkim Polakom oraz wszystkim polskim inicjatywom – nawet tym, które były ostrożne i umiarkowane.

Dziś za kratkami przebywają między innymi Andżelika Borys, Andrzej Poczobut, Irena Biernacka, Maria Tiszkowska i Anna Paniszewa. Co z nimi będzie?

Muszę postawić się teraz w roli Kasandry…

Kasandra wieszczyła niesz-częścia.

Łukaszenka chce handlować więźniami z Polską i teraz dużo zależy od odpowiedzi Warszawy. Być może ktoś powinien dotrzeć do Putina i wytłumaczyć mu, że Łukaszenka nie może w ten sposób postępować z mniejszością polską. Nie wykluczam też „wspaniałomyślności" Łukaszenki, który może uwolnić ich awansem, pokazując, jaki jest humanitarny i wyrozumiały. Mogą oni jednak też usłyszeć surowe wyroki i szykować się na najgorsze.

Rozmowa odbyła się 8 kwietnia 2021 roku

Andrzej Pisalnik jest białoruskim dziennikarzem narodowości polskiej. Tłumacz z języków rosyjskiego i białoruskiego na polski i odwrotnie. Działacz Związku Polaków na Białorusi. Wieloletni białoruski korespondent „Rzeczpospolitej".

eprasa.pl d185a8d253

Wybory w Bułgarii – długa droga donikąd

Krasimir Krumow

Bułgarska matematyka polityczna jest skomplikowana. W parlamencie utworzonym po kwietniowych wyborach kombinacja foteli uniemożliwia stworzenie większości zdolnej do wyłonienia stabilnego rządu. Lider partii zwycięskiej Bojko Borisow co prawda zaproponował utworzenie gabinetu ekspertów, którego celem byłoby wyprowadzenie Bułgarii z kryzysu, jednak wydaje się, że blefował.

Wulgarne, kompromitujące taśmy, na których słychać głos premiera. Szafka nocna wypełniona po brzegi banknotami o nominale pięćset euro (ich wartość szacuje się nawet na półtora miliona euro) i sztabkami złota. Szesnaście tygodni protestów antyrządowych w centrum Sofii i do tego pandemia COVID-19. Gdyby chodziło o któregokolwiek innego przywódcę państwa członkowskiego Unii Europejskiej, wybory parlamentarne zniosłyby sprawujących władzę niczym fala morska zmywa zamek z piasku. Któregokolwiek, ale nie Bojkę Borisowa, premiera rządzącego Bułgarią przez ostatnie dekady. Borisowowi nie tylko udało się wyjść z całego zamieszania bez szwanku, ale także utrzeć nosa przeciwnikom.

Przepis na protest

4 kwietnia 2021 roku partia Borisowa GERB (Obywatele na rzecz Europejskiego Rozwoju Bułgarii), należąca do Europejskiej Partii Ludowej (EPP), wygrała kolejne wybory – już czternaste w karierze politycznej Bojki Borisowa. Tym samym zmiażdżyła głównego rywala EPP w tym kraju – Bułgarską Partię Socjalistyczną (BSP), do której należy Sergej Staniszew, przewodniczący Partii Europejskich Socjalistów (PES).

W kwietniowych wyborach parlamentarnych do Zgromadzenia Narodowego 45. kadencji startowało ponad trzydzieści partii politycznych. Z szansą na sukces pozostało dziesięć (wejście do parlamentu jest możliwe po przekroczeniu progu 4 procent, a finansowanie z budżetu państwa zapewnia przekroczenie 1 procenta głosów wyborców).

eprasa.pl d185a8d253

Pod koniec 2019 roku napięcie polityczne w Bułgarii rosło. Partia rządząca nieustannie kłóciła się ze środowiskami bułgarskiego prezydenta Rumena Radewa, który został głową państwa dzięki poparciu socjalistów. Częściowe rozładowanie wiszącego w powietrzu napięcia miały przynieść październikowe wybory lokalne. Jednak nadzieje opozycji na sukces i jakiekolwiek zmiany się nie ziściły, październikowe wotum przyniosło GERB zwycięstwo, partia zapewniła sobie władzę na kolejne cztery lata nie tylko w stolicy, ale także w większości miast obwodowych. A to wiąże się z kontrolą funduszów unijnych na kolejny okres finansowania. Kością niezgody wśród elit politycznych, a także pomiędzy wspierającymi je oligarchami okazała się kontrola środków unijnych i zamówień publicznych. To właśnie z oceną nieprawidłowości wykorzystania środków publicznych (korupcji) wiązała się krytyka Bułgarii na arenie międzynarodowej. Następnym krytycznym punktem okazała się postać prokuratora głównego Iwana Geszewa, który został wybrany na siedmioletnią kadencję w listopadzie 2019 roku. W związku z tym, że był jedynym kandydatem na to stanowisko, opozycja posądzała go o zależność od władzy, a oficjalny wybór przez Wyższą Radę Sądownictwa uznano za zwykłą formalność.

COVID-19 na ratunek bułgarskiej władzy

Wybory lokalne nic nie zmieniły. W środowiskach nastawionych krytycznie do władzy pojawiły się teorie spiskowe, że wiosną wybuchną protesty, które doprowadzą do przedterminowych wyborów parlamentarnych. Paradoksalnie pandemia COVID-19 przyszła na ratunek władzy. Strach, szok, zamknięcie, izolacja, ofiary – to wszystko sprawiło, że w pierwszych miesiącach pandemii społeczeństwo zapomniało o polityce. Rząd i zwołany przez niego Narodowy Sztab Operacyjny (NOC), na którego czele stanął wojskowy lekarz, profesor w mundurze generała Wencisław Mutafczyjski, w miarę dobrze (na tle pozostałych krajów) przeprowadzili Bułgarię przez pierwszą falę pandemii.

9 lipca 2020 roku na rozkaz Iwana Geszewa agenci Ministerstwa Spraw Wewnętrznych oraz przedstawiciele Prokuratury Specjalnej weszli do oficjalnej siedziby Prezydenta Bułgarii, gdzie dokonali przeszukania kilku gabinetów oraz aresztowali Płamena Uzunowa, prezydenckiego sekretarza stanu do spraw prawnych. Tego samego dnia w tak zwanym trójkącie władzy [trzy sąsiadujące ze sobą budynki – przyp. red.] między siedzibami Prezydenta Bułgarii, Zgromadzenia Narodowego i Rady Ministrów wybuchły protesty. Do tłumów wyszedł z podniesioną pięścią prezydent Radew, który za pośrednictwem streamingu na swoim profilu na Facebooku zwrócił się do tłumu z hasłem „Precz z mafią!" i wypowiedział wojnę rządowi oraz prokuratorowi generalnemu.

eprasa.pl d185a8d253

Trujące trio i Czaszka

Hasło „Precz z mafią!" zasługuje na krótki komentarz. Po polsku słowa, które wypowiedział Rumen Radew, należałoby pewnie przełożyć jako „Precz z dresiarzami!". Użył on bowiem słowa *mutra*, którym określano na początku lat dziewięćdziesiątych byłych sportowców – zapaśników i bokserów. To oni zajęli szeregi przestępczości zorganizowanej, których przykrywkę stanowiły legalne firmy ochroniarskie. W Polsce te osoby kojarzono z charakterystycznym sposobem ubierania się – w dresy, w Bułgarii natomiast cechą szczególną była straszna i groźna mina – *mutra*. Z czasem dresiarze zmienili wizerunek, wielu z nich weszło do biznesu, a stamtąd do polityki. Drogę od karateki, ochroniarza do burmistrza stolicy i premiera kraju przeszedł sam Bojko Borisow, więc nie ulega wątpliwości, kogo miał na myśli Rumen Radew krzyczący z podniesioną pięścią: *Mutri wyn*.

Na głównym placu w Sofii zawiązywały się w tym samym czasie nowe ruchy polityczne. Rzecznikami protestujących zostali niezwiązani bezpośrednio z polityką działacze społeczni – rzeźbiarz profesor Welisław Minekow, mecenas Nikołaj Hadżigenow oraz analityk polityczny pochodzenia ormiańskiego Arman Babikian. Zostali nazwani „trującym trio".

Nie ma gwarancji, że wyniki bułgarskich wyborów w lipcu nie powtórzą losu tych z kwietnia. Borisow zapowiedział, że jego partia znowu będzie na pierwszym miejscu, i tak rzeczywiście może się stać.

„Trujące trio" na początku nie głosiło haseł politycznych, a trójka przedstawicieli zaprzeczała jakimkolwiek podejrzeniom dotyczącym wejścia do polityki czy też ubiegania się o fotel w parlamencie. Minekow, Babikian i Hadżigenow nie wpuszczali także na swój „plac zabaw" innych „dzieci" demokracji – pojawiający się politycy ryzykowali wygwizdanie. Nic dziwnego więc, że zabrakło na mównicy przedstawicieli głównej partii opozycyjnej BSP. Wokół namiotów protestujących i zablokowanych skrzyżowań krążyła jednak Maja Manołowa, była przewodnicząca parlamentu z ramienia socjalistów i działaczka BSP oraz późniejsza rzeczniczka praw obywatelskich. W 2014 roku te same osoby protestowały przeciwko niej, pamiętali, że stanowisko RPO otrzymała dzięki współpracy z Borisowem. Kilka miesięcy przed wyborami ukazały się zdjęcia z kamer ochroniarskich, na których widać, jak Manołowa wchodzi do siedziby oligarchy Wasila Bożkowa – „Czaszki". W tym czasie „Czaszka" znajdował się na wygnaniu, po tym jak prokurator Geszew wysłał za nim list gończy. Bożkowa ktoś uprzedził i udało mu się dzień wcześniej uciec własnym samolotem do Emiratów Arabskich. W Dubaju Bożkow (były właściciel klubu piłkarskiego Lewski) zorganizował ruch polityczny

eprasa.pl d185a8d253

Bułgarskie Lato. Jego celem miało być obalenie „junty Borisowa" i postawienie samego premiera przed sądem. Istniały podejrzenia, że „Czaszka", którego w 2008 roku tygodnik „Wprost" umieścił na liście najbogatszych osób w Europie Wschodniej, ma wpływ na protesty i częściowo je finansuje.

Pomimo różnic ideowych, biograficznych i poglądowych „trujące trio" i była RPO Manołowa znaleźli wspólny język i zjednoczyli się jako koalicja. Przejęli hasło prezydenta i dziś nazywają się Wstań z Kolan – Precz z Dresiarzami (ISMW). Dołączyła do nich była działaczka lewicy Tatiana Donczewa i ten kolorowy zespół reprezentujący ulicę w wyborach uzyskał 4,72 procent głosów, które pozwoliły mu wysłać do parlamentu czternastu posłów.

Bułgarska Partia Socjalistyczna podeszła do wyborów w atmosferze wielkich konfliktów wewnętrznych, ale mimo wszystko liczyła, że nawet jeśli nie wygra, to uzyska drugie miejsce z dobrym wynikiem umożliwiającym późniejsze skupienie wokół siebie opozycji przeciwko Borisowowi i utworzenie rządu centrolewicy. Wybory odbywały się podczas trzeciej fali COVID-19 w Bułgarii, dlatego lewica tłumaczyła słaby wynik tym, że tradycyjny elektorat socjalistów – renciści i emeryci – nie poszedł do urn, bojąc się koronawirusa. To mało przekonujące, biorąc pod uwagę stosunkowo wysoką jak na Bułgarię frekwencję – 50,61 procent (czyli tylko 3 procent mniej niż cztery lata temu). W nocy po wyborach w sztabie lewicy w ciszy liczyli głosy, zdając sobie sprawę z tego, jak bardzo oddaliło się od nich mocne drugie miejsce. BSP weszła do parlamentu, uzyskawszy 15 procent głosów (13 procent mniej niż w poprzednich wyborach) i straciwszy aż trzydzieści siedem foteli w bułgarskim parlamencie.

Referendum showmana

Gdzie się podziały głosy wyborców? Wielką niespodzianką tych wyborów okazała się następna partia z trudną do przetłumaczenia nazwą. Jest Taki Naród (ITN) showmana Stanisława Trifonowa, którego publiczność oraz fani jego muzyki i kabaretów znają pod pseudonimem Sławi. Trifonow od dawna kpił z polityków i wyśmiewał ich w swoim *Show Sławiego*, a akces polityczny zaanonsował już w 2016 roku. Wtedy został inicjatorem populistycznego referendum, w którym pytał: „Czy jesteś za zniesieniem obecnego systemu wyborczego i zastąpieniem go wyborami *mażorytarnymi* [systemem większościowym, w którym decydująca miała być osobowość kandydata – przyp. red.]?"; „Czy jesteś za obowiązkowym głosowaniem w wyborach?"; „Czy zgadzasz się, żeby dotacja dla partii politycznych z budżetu państwa zamiast dziesięciu lewa wynosiła jednego lewa za każdy otrzymany głos?". Na wszystkie pytania odpowiedziano „zdecydowanie tak" (kolejno 71,95 procent, 61,89 pro-

eprasa.pl d185a8d253

cent i 72,16 procent odpowiedzi twierdzących). Żeby referendum było ważne, musiało wziąć w nim udział 51 procent wyborców. Do urn poszło 3 488 558 osób: to o 0,2 procent, czyli o dwanaście tysięcy ludzi za mało. Sławi się wkurzył i stworzył własną partię. Początkowo miała się nazywać Nie Ma Takiego Państwa! (taki tytuł miał jeden z utworów showmana). Najwyższy Sąd Kasacyjny odmówił jednak rejestracji ugrupowania pod taką nazwą, więc założyciele zmienili ją na Jest Taki Naród. Na czele list wyborczych ITN stanęli scenarzyści Sławiego oraz bliskie mu osoby. Showman zabronił im udzielenia wywiadów, uczestnictwa w konferencjach prasowych i imprezach wyborczych. Obowiązywała cisza, kampanii nie było. Na milczącego piosenkarza zagłosowało 565 014 osób. Wystrzeliło to ITN na drugie miejsce, dając mu 17,66 procent głosów oraz pięćdziesięciu jeden posłów w zgromadzeniu. Lewica płakała rzewnymi łzami.

Polityka na Facebooku

Gdy wszyscy krytykowali Bojkę Borisowa, on jeździł po kraju rządowym SUV-em Toyoty, który od lat prowadzi sam. Zazwyczaj towarzyszy mu jeden ochroniarz bułgarskiego odpowiednika BOR-u, szefowa biura prasowego rządu Sewdelina Arnaudowa oraz jeden lub dwóch ministrów. Siedzą z tyłu, Borisow opowiada, co widać za oknami samochodu – autostrady, gazociągi, szkoły, sale sportowe, nowe zakłady, rozmawia o polityce, o przeciwnikach politycznych – Sewdelina nadaje to na żywo na Facebooku, w Bułgarii nazywają ironicznie kanał Borisowa „Sewda TV" – od imienia rzeczniczki prasowej. Można się śmiać, ale w ten sposób Borisow dociera do przeciętnego Bułgara. Kanał nie jest cenzurowany, często można usłyszeć lub przeczytać wulgaryzmy pod adresem premiera, które nie są kasowane. W ostatnich miesiącach Bojko Borisow unikał mediów publicznych. Jeśli chciał zaprezentować swój punkt widzenia, główne stacje telewizyjne musiały często przerywać programy, żeby włączyć na żywo kanał premiera. Bojko włączał go również podczas spotkań z europejskimi i światowymi przywódcami. Na początku pandemii wracał skądś nocą, prowadząc samochód. W aucie siedzieli ochroniarz i Sewda z komórką, a w bagażniku skrzynka truskawek. W pewnym momencie premier powiedział: „Posłuchaj!", i z radia samochodu zabrzmiał najnowszy i nieznany dotychczas cover *Bella Ciao* duetu muzyków z północnej Macedonii Dragan Spasov Dac & Aleksandar Mitevski *Corona Ciao*. Piosenka rozeszła się w sieci, a następnego dnia na Bałkanach wszyscy mówili o upodobaniach muzycznych przewodniczącego Rady Ministrów Bułgarii i o tym, że uważa Macedończyków za przyjaciół. W podobny bezpośredni sposób komunikacji oskarżany o populizm i wyśmiewany lider partii GERB uzyskał w wyborach poparcie 837 707 Bułgarów, co stanowi 26,18% wybor-

eprasa.pl d185a8d253

ców. Co prawda, zdobył pierwsze miejsce, ale uzyskał niewystarczającą do rządzenia liczbę posłów – siedemdziesięciu pięciu.

Do parlamentu weszła jeszcze partia mniejszości tureckiej DPS – Ruch na rzecz Praw i Wolności. Według konstytucji w Bułgarii nie ma mniejszości narodowych, aczkolwiek DPS skupia wokół siebie właśnie bułgarskich Turków. DPS to czwarta co do liczby posłów partia polityczna, piąte miejsce zajęła tradycyjna prawica, która największą popularnością cieszy się w stolicy. Poza parlamentem została koalicja patriotyczna, skupiająca nacjonalistów z Wewnętrznej Macedońskiej Organizacji Rewolucyjnej (WMRO) i Narodowego Frontu Zbawienia Bułgarii, której liderzy postanowili pójść na wybory osobno i w konsekwencji pozostali poniżej progu wyborczego.

Polityczna matematyka

Rachunki w matematyce politycznej w Bułgarii zawsze były skomplikowane. Ponad dwadzieścia lat temu skończył się bipolarny model polityczny, w którym walczyły ze sobą lewica i prawica, co parę lat zamieniające się miejscami. W 2001 roku do Bułgarii wrócił ostatni konstytucyjny władca Królestwa Bułgarii car Symeon. Choć nigdy nie zrzekł się korony, której pozbawili go komuniści w wyniku sfabrykowanego referendum w 1946 roku, Simeon Borisov von Sachsen-Coburg-Gotha pod nazwiskiem Sakskoburggotski objął stanowisko prezesa Rady Ministrów. Założony przez niego Ruch Narodowy Symeona Drugiego (NDSW) uzyskał 120 miejsc w 240-osobowym parlamencie, niszcząc tradycyjny podział na lewicę i prawicę. Już wtedy decydująca była rola partii mniejszości tureckiej w głosowaniach i w zapewnieniu większości. Bez głosów bułgarskich Turków nie byłaby możliwa ani pierwsza kadencja prezydenta Georgija Parwanowa (BSP), ani elekcja obecnej głowy państwa Rumena Radewa. Drugi i trzeci rząd Borisowa opierały się również na kruchym wsparciu nacjonalistów przy niejawnej akceptacji ze strony DPS.

Rachunki w matematyce politycznej w Bułgarii zawsze były skomplikowane. Ponad dwadzieścia lat temu skończył się bipolarny model polityczny, w którym walczyły ze sobą lewica i prawica, co parę lat zamieniające się miejscami. W 2001 roku do Bułgarii wrócił ostatni konstytucyjny władca Królestwa Bułgarii car Symeon.

W parlamencie utworzonym po kwietniowych wyborach kombinacja foteli uniemożliwiała stworzenie większości zdolnej do wyłonienia stabilnego rządu. Borisow, lider zwycięskiej partii, zaproponował utworzenie gabinetu ekspertów, którego ce-

eprasa.pl d185a8d253

lem byłoby wyprowadzenie Bułgarii z pandemii i kryzysu gospodarczego nią spowodowanego. Wydaje się, że blefował, ponieważ już wcześniej ugrupowania parlamentarne zadeklarowały, że nie będą z nim współpracować. Nie pomogło też to, że lider GERB wykonał krok wstecz i na stanowisko premiera wysunął proatlantyckiego byłego szefa Ministerstwa Spraw Zagranicznych Daniela Mitowa, znanego z krytyki wobec Moskwy. Borisow liczył tym samym na poparcie prawicy. Szefowie partii parlamentarnych odmówili Borisowowi konsultacji i spotkania. Mitow musiał wręczyć prezydentowi rezygnację z misji utworzenia rządu. Lider ITN showman Trifonow, który zachorował w tym czasie na COVID-19, we wpisie na Facebooku również odmówił stworzenia rządu, choć formalnie mianował na premiera byłą mistrzynię świata w szachach Antoanetę Stefanową. Już wcześniej zadeklarował, że nie będzie kolaborował z tak zwanymi partiami *status quo* – GERB, BSP i DPS. Trifonow obawiał się, że ze względu na sytuację i niechęć społeczeństwa do kolejnych wyborów pozostałe partie polityczne mogą poprzeć jakikolwiek rząd, co postawiłoby ewentualny gabinet w ciasnych zależnościach. Tym bardziej, że Borisow już wcześniej anonsował, że jego partia w imię dobra ojczyzny poprze każdy możliwy rząd.

Pomimo różnic ideowych, biograficznych i poglądowych „trujące trio" i była RPO Manołowa znaleźli wspólny język i zjednoczyli się jako koalicja. Przejęli hasło prezydenta i dziś nazywają się Wstań z Kolan – Precz z Dresiarzami.

Według bułgarskiej konstytucji propozycję utworzenia rządu prezydent może złożyć wybranej przez siebie partii politycznej. Z myślą o wyborach prezydenckich pod koniec roku Rumen Radew złożył ofertę socjalistom. Jednak ich władze także zrezygnowały z utworzenia rządu, co przygotowało grunt do tak zwanego gabinetu służbowego, tworzonego przez prezydenta oraz do przedterminowych wyborów parlamentarnych w lipcu.

Do ilu razy sztuka?

Nie ma gwarancji, że wyniki wyborów w lipcu nie powtórzą losu tych z kwietnia. Borisow zapowiedział, że jego partia znowu będzie na pierwszym miejscu i tak rzeczywiście może się stać. W 45. parlamencie, który działał krótko, Bojko Borisow zastawił pułapkę na Trifonowa i ITN. GERB zaproponowała zmiany w ordynacji wyborczej, spełniające postulaty Tryfonowa z referendum z 2016 roku – obniżenie dotacji dla partii politycznej do jednego lewa za głos, wybory większościowe w dwóch turach. ITN odmówiła wsparcia dla zmian, co na pewno rozczarowało część wyborców tej

eprasa.pl d185a8d253

partii. ITN może stracić poparcie, ale może też przyciągnąć nowych przeciwników Borisowa. Na powrót – choćby na drugie miejsce – liczy partia socjalistyczna. Jest ona rozdarta konfliktami wewnętrznymi, opozycja wewnętrzna zażądała już odwołania liderki Kornelii Ninowej. Na poprawę swojej kondycji liczyła partia mniejszości tureckiej – nowy parlament zniósł ograniczenia dotyczące liczby lokali wyborczych w krajach poza Unią Europejską. Spora część wyborców DPS ma podwójne obywatelstwo i mieszka w Turcji – mogłaby poprzeć DPS liczniej niż dotychczas.

Następny parlament może być jeszcze bardziej sfragmentaryzowany. Podczas ostatnich wyborów niebezpiecznie blisko progu wyborczego była prorosyjska partia Odrodzenie. Podczas jej kampanii na spotkaniach powiewały flagi Rosji i widać było portrety Putina. Na Odrodzenie głosowało 2,45 procent wyborców – potencjał na poprawę wyników pozostaje dość duży. Za pieniądze z Emiratów Wasila „Czaszki" Bożkowa wspierana jest z kolei koalicja Bułgarskie Zjednoczenie Narodowe, które uzyskało 2,95 procent głosów – reszta (do 4 procent) w realiach bułgarskich nie będzie trudna do wykupienia. „Czaszka" nawet liczy na dwukrotnie lepszy wynik. Na własnych błędach uczą się nacjonaliści – do następnych wyborów wystartują razem. Suma oddanych na nich ostatnio głosów to ponad 6 procent. Jak widać, dogadanie się może być trudne.

A droga po wyborach (niezależnie od zwycięzcy) wydaje się drogą donikąd, o ile nie będzie zgodności odnośnie do podstawowych punktów rozwoju Bułgarii i wyjścia z kryzysu – pandemicznego, gospodarczego i politycznego. Gabinet służbowy może, owszem, wymienić kierowników obwodów, komendantów policji i administrację państwową na różnych szczeblach. To jednak za mało. W czasie istnienia gabinetu służbowego Bułgaria zostaje bez parlamentu, w związku z czym aktualizacja budżetu jest niemożliwa. Nawet jeśli wybuchłaby wojna lub powróciła pandemia. Bułgarii potrzebny jest wybrany przez następny parlament rząd i to, czy do tego dojdzie, zależy od instynktu Borisowa, ego Trifonowa oraz możliwości kompromisu BSP, od wizji rozwoju Bułgarii DPS i jej lidera honorowego Ahmeda Dogana.

Krasimir Krumow od 1998 roku jest korespondentem gazety „Monitor". Komentator i analityk spraw bieżących dla „Gazety Wyborczej", TVN24, Polsat News. Ukończył bułgarystykę i rusycystykę na Uniwersytecie im. Konstantyna Presławskiego w Szumenie (Bułgaria), pisze rozprawę doktorską poświęconą stosunkom bułgarsko-polskim w dwudziestoleciu międzywojennym.

eprasa.pl d185a8d253

Nie powiem: „Dziękuję! Spadam na inną wojnę"

Z Moniką Andruszewską, dziennikarką „Tygodnika Powszechnego", rozmawia Wojciech Wojtasiewicz

WOJCIECH WOJTASIEWICZ: Dlaczego dwudziestokilkuletnią dziewczynę, która studiowała polonistykę, wygnało na wojnę w Donbasie?

MONIKA ANDRUSZEWSKA: Jako studentka polonistyki planowałam zostać dziennikarką. Kiedy pod koniec 2013 roku wybuchł na Ukrainie drugi Majdan, postanowiłam wybrać się do Kijowa. Była to trochę ucieczka przed sesją zimową, pod wymówką, że muszę budować przyszłą karierę dziennikarską. Będąc na Majdanie, poznałam kilku dziennikarzy. Zaczęłam z nimi mieszkać. Pierwotnie miałam jechać na trzy dni, a koniec końców, mieszkam na Ukrainie już siedem lat. Studiów nie skończyłam, za to zaczęłam przygodę z dziennikarstwem. Na samym początku nie miałam zielonego pojęcia o Ukrainie. Nie znałam języka. Jednak kiedy zobaczyłam tych wszystkich ludzi, którzy stają do walki, a tak naprawdę są kompletnie do tego nieprzygotowani, chciałam relacjonować to, co się tam dzieje. Po Majdanie większość dziennikarzy wyjechała na Krym. Również chciałam tam jechać, nie miałam jednak wystarczających środków finansowych. Wszystkie studenckie oszczędności wydałam już wcześniej. Widziałam, jak młodzi ludzie, których poznałam na Majdanie, przygotowywali się do wojny, której się nie spodziewali. Pojechałam za nimi.

Tematy, o których piszesz, pojawiły się trochę przez przypadek?

Zawsze chciałam pisać przede wszystkim o ludziach. I to się w zasadzie udało. Na pewno nie byłam przygotowana do tego, że będę pisać o ludziach na froncie wojennym w sąsiednim kraju. Miałam dwadzieścia jeden lat. Starsi dziennikarze zdawali sobie sprawę, czym to wszystko się może skończyć. Natomiast ja nie miałam pojęcia, nie miałam ani ich doświadczenia, ani wiedzy. To, co się tam działo, wydawało mi się takim „Woodstockiem". Tylko potem się okazało, że na nim strzelają. Nie miałam wizji, jaką konkretnie dziennikarką chcę być. Zdawałam sobie sprawę, że po studiach dziennikarskich człowiek nie ma żadnej specjalizacji. Może pisać, redagować. Na polonistyce wybrałam specjalizację związaną z mediami. Równie dobrze mogłam pracować w agencji PR-owej. Jednak nawiązałam współpracę ze Stowarzyszeniem Pokolenie, zrzeszało ono pierwszych człon-

eprasa.pl d185a8d253

ków katowickiego oddziału Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Kiedy zaczął się Majdan, postanowili jechać do Kijowa. Tam ich poznałam. Uznawali to za kontynuację walki z autorytarnym reżimem. Organizowali zbiórki i pomoc. Nastąpiło pospolite ruszenie, bo ludzie, którzy zdecydowali się kontynuować walkę po Majdanie, poszukiwali choćby zielonych spodni, które wyglądałyby jak mundur. Ponadto w cenie były apteczki i hełmy. Sama zaczęłam organizować zbiórki finansowe i materialne na Facebooku.

Publikowałaś między innymi w „Tygodniku Powszechnym", „Newsweeku", „Gazecie Polskiej". Twoja współpraca z mediami wyszła dość przypadkowo.

Tak. Nie jestem dziennikarką polityczną. Niezbyt interesują mnie profile ideowe poszczególnych polskich tytułów, wewnątrzkrajowe wojenki i spory polityczne. Moim celem było pisać o tym, co się działo na Ukrainie, dla każdego czasopisma, które było tym zainteresowane. W grudniu 2014 roku wyjechałam razem z batalionem Donbas na dwie akcje. Większość czasu jednak spędziłam z nimi w bazie. Natomiast w styczniu 2015 roku, w czasie walk o lotnisko w Doniecku, pojechałam do pobliskiej miejscowości Piski. To było pierwsze ciężkie przeżycie. Czasem ostrzał artyleryjski był tak intensywny, że wychodziliśmy do toalety raz dziennie, a przed tym się żegnaliśmy – niby dla żartu, ale w każdej chwili można było zginąć. Spędziłam na froncie trzy tygodnie, czyli do czasu upadku donieckiego lotniska. Później zrobiłam dwutygodniową przerwę i wróciłam już na dwa miesiące w to samo miejsce. Potem tak się złożyło, że prawie cały 2015 i 2016 rok spędziłam w Donbasie.

Porozmawiajmy o przyziemnych sprawach. Czy udając się do Donbasu, pomyślałaś o wykupieniu ubezpieczenia? Czy był to „kompletny żywioł"?

Byłam freelancerką zarabiającą od kilkuset do 1500 złotych za tekst. Możliwe, że na takie „luksusy" mogą sobie pozwolić dziennikarze największych stacji telewizyjnych czy etatowi dziennikarze prasowi. I tak byłam w stanie zaoszczędzić na wynajmie mieszkania, bo mieszkałam *de facto* u żołnierzy. Inaczej byłoby trudno się utrzymać. Na pewnym etapie mojej pracy Stowarzyszenie Pokolenie kupiło mi kamizelkę kuloodporną i kask, ale to było dopiero w 2016 roku. Wcześniej używałam tego, co dawali mi żołnierze. Sprzęty te jednak nie były dobrej jakości. Poza tym kamizelki kuloodporne źle wpływają na kręgosłup. A ja i tak miałam wrażenie, że po wielu miesiącach na froncie miałam mocno nadszarpnięte zdrowie. Wielu polskich dziennikarzy pojawiało się wtedy na froncie. Uważam, że gdyby rzeczywistość medialna w Polsce była lepsza, to może na przykład Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich i Press mogłyby wydzielić jakieś środki finansowe na ubezpieczenie i sprzęt dla swoich członków przebywających w niebezpiecznych miejscach. Ponadto trzeba pamię-

eprasa.pl d185a8d253



Monika Andruszewska

Niestety w polskich mediach wojna w Donbasie ograniczała się do suchej statystyki – ile osób zginęło, ile zostało rannych. Nie pokazywano konkretnych ludzi, których konflikt bezpośrednio dotknął.

tać, że żaden ubezpieczyciel nie uznaje wyjazdów w strefy konfliktów. Istnieją ubezpieczenia dostosowane do potrzeb dziennikarzy, jednak ich koszty są obliczone na kieszeń dziennikarza BBC, nie polskiego. Znane mi są też przypadki dziennikarzy na etacie, którzy na front przyjeżdżali w ramach swojego urlopu.

Jak na Twoją działalność zapatrywała się Twoja rodzina? Czy nie bali się o Ciebie? Czy niezbyt dobra sytuacja na rynku polskich mediów nie zniechęca Cię do kontynuowania aktywności dziennikarskiej?

Całe życie jeździłam autostopem. Rodzice byli przyzwyczajeni do różnych moich niekonwencjonalnych pomysłów. Nigdy nie byli w stanie powstrzymać mnie przed realizacją nawet najbardziej szalonych planów. Rzecz jasna, będąc na Majdanie i w Donbasie, cały czas pozostawałam z nimi w kontakcie, informowałam, że wszystko jest ze mną w porządku. Poza tym moja mama bardzo często czytała moje teksty, redagowała je. Doskonale zdawała sobie sprawę, gdzie jestem, co robię i po co to robię. Moja mama ma świadomość, że gdyby powojenne granice były wytyczone inaczej, sama mogłaby być w podobnej sytuacji jak bohaterki moich reportaży, czyli osoby, które straciły mężów i synów na wojnie.

Niestety w polskich mediach wojna w Donbasie ograniczała się do suchej statystyki – ile osób zginęło, ile zostało rannych. Nie pokazywano konkretnych ludzi, których konflikt bezpośrednio do-

eprasa.pl d185a8d253

tykał. Nie docierali do nich dziennikarze etatowi. Telewizja Polska, mimo świadomości, jak ważne są wydarzenia na Ukrainie, nie ma nawet w Kijowie swojego biura. Pewnie przyczyną takiego stanu rzeczy było to, że media ograniczają się coraz bardziej do spraw krajowych. Ponadto z czasem konflikt w Donbasie zamienił się w wojnę pozycyjną, wprawdzie stale determinującą życie miejscowych i osób w nią zaangażowanych, ale nudniejszą, bez spektakularnych wydarzeń. Nie wzbudza już takiego zainteresowania jak na początku.

Jak jesteś postrzegana jako kobieta przez mężczyzn na froncie?

Czasem trochę jak dziwaczka, moje podejście do życia niezbyt pasuje do patriarchalnych naleciałości, które wciąż mają w głowach. Teraz przywiozłam z frontu kolejne dwa koty, które wymagały ratunku. Żołnierze żartują, że skoro mam już dwa koty, to chyba nigdy nie wyjdę za mąż. Czasem mówią: jesteś taka młoda, ładna, nie szkoda Ci tu siedzieć? Odpowiadam: a wy jesteście tacy starzy, brzydcy, wam nie szkoda? Ale w momencie, gdy do Donbasu zabrali mnie ze sobą ludzie z Majdanu, którzy zaciągali się do batalionów ochotniczych, chcieli po prostu, żeby jechał z nimi jakikolwiek dziennikarz – nieważne czy kobieta, czy mężczyzna. A obecnie o mojej wartości jako dziennikarki świadczy to, co zrobiłam i gdzie byłam przez te lata. Nawet gdy na początku pojawia się jakaś wątpliwość, pytanie, po cholerę ma do nich przyjeżdżać jakaś zagraniczna dziennikarka i w dodatku kobieta, to szybko weryfikują, gdzie byłam i kiedy. Po tym już sami zabiegają, bym pracowała przy konkretnym oddziale jak najdłużej. Tu płeć nie ma znaczenia. Liczy się doświadczenie frontowe.

Najłatwiejsze we współpracy dla dziennikarzy były „bataliony ochotnicze". Gorzej było z regularną armią. Pomimo wielu zmian zachodzących w jej szeregach nadal jest w niej wiele posowieckiej ociężałej biurokracji, która każe trzymać dziennikarzy na dystans. Jej dowódcy nie rozumieją konieczności pokazywania światu, co dzieje się na froncie. Wręcz nie chcą tam zagranicznych dziennikarzy, ponieważ nie są w stanie ich kontrolować. Brakuje im osób, które mogłyby nadzorować ich pracę, pomagać im, które znają zachodnie języki. Te problemy zaczęły się jeszcze za prezydentury Petra Poroszenki – w 2017 roku. Języka ukraińskiego nauczyłam się w trakcie pobytu na Ukrainie.

Przygotowując się do rozmowy, przejrzałem niemal wszystkie Twoje teksty z „Tygodnika Powszechnego". Kilka mnie szczególnie poruszyło – o torturowaniu jeńców i o matkach szukających swoich zaginionych synów żołnierzy.

Po kotle iłowajskim cała rota batalionu Donbas, z którą się wcześniej poznałam, znalazła się w niewoli. Pozostali zginęli lub zaginęli. W związku z tym temat ich prześladowań i poszukiwań przez matki pojawił się niejako naturalnie. Takich

eprasa.pl d185a8d253

osób były wtedy tysiące. Do dzisiaj Ukraina nie ma wiarygodnych statystyk poległych osób ani rejestru zaginionych. Kilka miesięcy temu zaczęły go tworzyć same matki zaginionych w Donbasie. Spotykałam kobiety, które wypytywały o swoich synów. Jeździły od jednostki do jednostki, żeby zdobyć jakieś informacje.

Jeden ze swoich artykułów poświęciłaś osobom LGBT w ukraińskiej armii. Jak do nich dotarłaś?

Jeśli chodzi o osoby LGBT w ukraińskiej armii, to na ten trop natknęłam się poprzez geja, który walczył we wspomnianym przeze mnie wcześniej batalionie. Wiktor Pylypenko, pseudonim „Francuz", był pierwszą osobą nieheteronormatywną w ukraińskim wojsku, która zrobiła *coming out*. Informacja bardzo szybko rozniosła się po Facebooku. Wszyscy zaczęli o tym pisać, kłócić się o to. Odezwałam się do niego, porozmawiałam i uczyniłam bohaterem jednego z moich tekstów.

W jaki sposób znajdujesz tematy, o których piszesz?

Jeśli się siedzi w temacie Ukrainy tak głęboko jak ja, ma się mnóstwo znajomych i przyjaciół Ukraińców pracujących w NGO, w armii, tematy same się pojawiają. Dziennikarze, którzy są daleko, nie są w stanie reagować na różne niewielkie zjawiska.

Niedawno na przykład pojechałam do Sum na uroczystość przyznania nagrody Narodny Heroj. Wraz z koleżanką, ukraińską dziennikarką, wiedziałyśmy, że z uroczystości żołnierze będą wracali na front, więc będzie sposobność pojechania z nimi. Nasza wspólna znajoma, która pomagała przy organizacji ceremonii, zorientowała się, że chcemy jechać na tereny sąsiadujące z okupowaną przez separatystów miejscowością, w której niegdyś mieszkała. Nie była tam siedem lat. Stwierdziła, że chce znowu zobaczyć swoją ziemię, choćby z daleka, więc pojechała z nami. Przeszła się po pozycjach wojskowych, z których widać było jej miejscowość. Porozmawiałyśmy i tym sposobem powstał kolejny tekst.

Sporo artykułów poświęciłaś również Krymowi po zajęciu go przez Rosjan – brakowi wody, aresztowaniom Tatarów krymskich, znikającym miejscowym dzieciom. Czy udało Ci się dotrzeć na Krym i osobiście porozmawiać z bohaterami tych artykułów?

Niestety nie. Przed aneksją nie miałam możliwości finansowych. A teraz moim głównym tematem są jeńcy i więźniowie polityczni, moja działalność jest znana. Pewnie gdybym się zdecydowała wybrać na Krym, znalazłabym się w analogicznej sytuacji jak bohaterowie moich tekstów. Z rodzinami krymskotatarskich więźniów politycznych rozmawiam telefonicznie. Spotykam się też z nimi, gdy przyjeżdżają do Kijowa. Krąg obrońców praw człowieka i dziennikarzy piszących o tym jest mały, wszyscy się znają. Nie zdarza mi się, bym miała problem z dotarciem do odpowiednich osób. Gdy na

eprasa.pl d185a8d253



Monika Andruszewska

Znana jest kwestia niezaangażowanego dziennikarstwa, trzymania dystansu, nieokazywania emocji. Jednak podchodząc do tych tematów na zimno i profesjonalnie, czułabym się hieną, która żeruje na nieszczęściu innych.

Krymie dochodzi do nowych aresztowań, praktycznie natychmiast mam kontakty do ich rodzin.

W tym konflikcie są następujące kategorie ofiar nielegalnego uwięzienia: zakładnicy Kremla, czyli osoby przetrzymywane na Krymie i w Rosji, jak na przykład Ołeh Sencow, Tatarzy krymscy, jeńcy w Donbasie, wśród których są ukraińscy wojskowi i członkowie batalionów ochotniczych oraz cywile zamieszkujący okupowany Donbas. Do tego dochodzi kwestia osób zaginionych podczas konfliktu. Jeśli chodzi o Tatarów oraz cywili z terenów okupowanych, to mamy do czynienia z totalną barierą informacyjną. Ludzie są po prostu statystyką. Nawet Ukraińcom trudno wymienić z imienia i nazwiska któregoś z uwięzionych. W dodatku w Donbasie zazwyczaj nie mają do nich też dostępu przedstawiciele organizacji międzynarodowych. Dlatego trzeba te historie nagłaśniać.

W ostatnim czasie we współpracy z ukraińskim prawnikiem stworzyłam na zlecenie europosłanki Anny Fotygi raport o tajnym donieckim więzieniu Izolacja. Czytając świadectwa osób, które przeżyły uwięzienie w nim, trudno uniknąć skojarzenia z obozem koncentracyjnym. A wciąż przetrzymywani są tam ludzie. Jeśli ich losów się nie nagłośni, oni *de facto* nie zaistnieją w świadomości społecznej, a także – na listach osób przygotowywanych na wymianę jeńców. Mam kontakty ze wszystkimi rodzinami więźniów politycznych i jeńców z Donbasu. To wszystko wychodzi naturalnie.

eprasa.pl d185a8d253



Monika Andruszewska

W momencie kiedy mam możliwość wesprzeć osoby, z którymi rozmawiam, robię to.

Chciałem Cię zapytać o emocje związane z Twoją pracą. Tematy, którymi się zajmujesz, są skrajne: wojna, śmierć, brak pracy, pieniędzy. Jak Ty sobie z tym radzisz? Czy przeżywasz losy napotykanych ludzi? Czy starasz się im pomóc?

W momencie kiedy mam możliwość wesprzeć osoby, z którymi rozmawiam, robię to. Niedawno pojechałam do Humania i przez przypadek trafiłam do ośrodka dla bezdomnych, osób uzależnionych i byłych więźniów. Brakowało im siłowni. Skontaktowałam się z zaprzyjaźnioną fundacją w Polsce, dodaliśmy do mojego reportażu w „Tygodniku Powszechnym" dane do zbiórki. Często przy moich tekstach podany jest numer konta, na które można wpłacać pieniądze na wsparcie poszczególnych osób lub inicjatyw. Kiedyś dotarłam do szpitala psychiatrycznego, do którego stale trafiały osoby z terenów okupowanych, zostały pozostawione bez jakiejkolwiek pomocy. Przy tekście na ten temat również została zamieszczona informacja o zbiórce. Nie kosztuje mnie to wiele wysiłku, a wiem, że może realnie pomóc konkretnym ludziom.

Znana jest kwestia niezaangażowanego dziennikarstwa, trzymania dystansu, nieokazywania emocji. Jednak podchodząc do tych tematów na zimno i profesjonalnie, czułabym się hieną, która żeruje na nieszczęściu innych i której celem jest znalezienie jak najbardziej łzawej historii. Rzecz jasna, to wszystko kosztuje mnie dużo emocji. Nie spływa to po mnie jak po kaczce, ale żyję historiami

eprasa.pl d185a8d253

tych ludzi. Być może to tylko złudzenie, że przez takie działania jestem w stanie w jakikolwiek sposób im pomóc. Matki zaginionych, byli więźniowie oraz inne osoby w potrzebie, widząc osobę z Polski, liczą na to, że jakoś im pomoże. Dlaczego miałabym im odmawiać, skoro potrzebują wsparcia? Tę pomoc staram się inicjować w ramach mojego wolnego czasu. Poza tym czasami te osoby po prostu potrzebują kogoś, z kim mogłyby porozmawiać o swoich problemach, komu mogłyby się zwyczajnie wygadać. Dzięki temu tworzę sieć kontaktów, która przydaje się przy kolejnych problemach do rozwiązania. Może częściowo to moje postępowanie jest jakąś formą własnej psychoterapii. To są tak straszne rzeczy, że trzeba byłoby być kompletnie bez serca, żeby tego nie przeżywać.

Ukrainą i Donbasem zajmujesz się już siedem lat. Jak widzisz swoją przyszłość? Czy nadal chcesz podejmować tę tematykę, czy może dostrzegasz przed sobą nowe wyzwania?

Lubię doprowadzać sprawy do końca. Kiedy nadal istnieją jeńcy, matki zaginionych żołnierzy, nie mogę tym ludziom powiedzieć – dziękuję, spadam na inną wojnę! Wiem, że nikt inny nie będzie o tym pisał. Poza tym nie chcę robić rzeczy na pół gwizdka, czyli jechać w jakiś inny rejon świata na chwilę, będąc nieprzygotowaną merytorycznie, nie mając odpowiedniej wiedzy. Nie wiem, może w przyszłości wrócę do Polski, jeśli jakaś redakcja zaproponuje mi pracę. Moja decyzja o zamieszkaniu na Ukrainie wynikała również ze względów finansowych. Tak po prostu było taniej. Nie widzę sensu w ciągłym jeżdżeniu pomiędzy dwoma krajami.

A nie masz wrażenia, że żyjesz cały czas w pewnym zawieszeniu, trochę na walizkach?

To nie jest tak, że żyję na walizkach. Pierwsze niespełna trzy lata faktycznie mieszkałam na froncie i wtedy żyłam na walizkach. Jednak potem wynajęłam mieszkanie w Kijowie i teraz do Donbasu jeżdżę okazjonalnie.

Twoja praca na Majdanie i w Donbasie wiązała się z permanentnym niebezpieczeństwem. Czy byłaś kiedyś w sytuacji bezpośredniego zagrożenia życia?

Oczywiście to, co działo się na Majdanie, było straszne. Pierwszy raz w swoim życiu miałam do czynienia z takimi zdarzeniami. Widziałam zakrwawionych ludzi, kule świstały mi nad głową. Natomiast będąc na froncie, miałam już grubszą skórę i po pewnym czasie, a spędziłam tam dwa lata, przywykłam do częstego ostrzału. Tylko idiota nie odczuwałby żadnego strachu. Parę razy myślałam, że umrę. Zawsze modliłam się do swojej babci albo wspominałam imiona wszystkich znajomych, którzy zginęli na wojnie, bo myślałam, że takie osoby lepiej „zapracują" w mojej sprawie.

Jeśli jest się tam tak długo, to po pewnym czasie nie robi to już na człowieku

eprasa.pl d185a8d253

większego wrażenia. Świsnęła ci kula koło głowy, leżałeś trochę w ziemi, przywykasz do takich sytuacji. W 2017 roku byłam w pobliżu Mariupola. Udałam się do starszych ludzi, którzy mieszkali stosunkowo niedaleko od żołnierzy ukraińskiej armii. Zagadaliśmy się, nie pomyślałam, że skoro zbliża się wieczór, to zaczną strzelać. I zaczęli. Zazwyczaj na froncie przebywam z żołnierzami, którzy mają kontakt radiowy z innymi jednostkami wojska, informującymi o ostrzale. Tym razem byłam z cywilami i nie miałam żadnych informacji. Dlatego, choć sensowniej może byłoby zostać u nich na noc, wróciłam pieszo do bazy, pomimo ostrzału bezpośrednio po naszej miejscowości. Samotność tych starszych ludzi na froncie walki była dojmująca. Przerażające obrazy widziałam również w Awdijiwce. Strona rosyjska ostrzeliwała z ciężkiej artylerii bloki w kilku punktach miasta, mieszkania na kilku piętrach składały się jak domki z kart. Poza tym zawsze pamiętam, że my, dziennikarze, jesteśmy na pozycji uprzywilejowanej. Dlatego unikam pisania o swoich frontowych przygodach w tekstach, piszę wyłącznie o przeżyciach bohaterów, praktycznie bez narratora. Czytelnik i tak się domyśli, że przecież dziennikarz musi z bohaterem siedzieć w tym okopie, nie mam potrzeby, by epatować narracyjnymi wstawkami w stylu „idę, strzelają, padam, patrzcie, jakim jestem dzielnym dziennikarzem". My możemy w każdej chwili wyjechać. Ludzie, którzy tam mieszkają lub walczą w obronie kraju – nie.

Monika Andruszewska jest dziennikarką. Od rewolucji godności nieprzerwanie relacjonuje sytuację na Ukrainie, a szczególnie z terytoriów dotkniętych rosyjską agresją. Od listopada 2014 roku współpracuje z „Tygodnikiem Powszechnym", dla którego pisze reportaże z linii frontu. Porusza głównie kwestie psychologiczno-społeczne z uwzględnieniem spustoszeń, które powoduje wojna w życiu jednostek.

eprasa.pl d185a8d253

A czego tu się bać?
Tak ma być

Anna Łazar

Na pytanie, czy bohaterki jej prozy są jej *alter ego*, Tania Malarczuk odpowiada, że pisanie od zawsze było dla niej sposobem na przeżywanie wydarzeń i emocji, których nie mogła doświadczyć. Jako mała dziewczynka niezbyt rozumiała zależności między swoim życiem a literaturą. Po prostu pisała, kiedy było jej źle. Przy tym samo pisanie niekoniecznie musiało od razu być depresyjne czy smutne[1].

Od lat pozostaję fanką jej pisarstwa. Uważam, że w ukraińskiej literaturze to jeden z najciekawszych głosów pokolenia lat osiemdziesiątych XX wieku. W pozornie lekkiej i prześmiewczej formie zawarła obszerną problematykę społeczną, historyczną i psychologiczną, unikając natrętnego dydaktyzmu, przytłaczającej ciężkości naturalizmu i surrealnej bufonady, nie odmówiwszy sobie przy tym ciętych żartów. Od pierwszych tekstów Malarczuk pozostaje też wytrawną stylistką. Oryginalne refleksje i humor przekazuje, nie tylko budując narrację, ale też szeroko korzystając ze środków gramatycznych, fonetycznych i leksykalnych. Prawie w każdym zdaniu tworzy napięcie, łącząc przeciwstawne komunikaty, na przykład autentyczne wzruszenie z jednoczesną drwiną. Potencjalny ciężar i nudę erudycyjnych treści rozbraja potocznym językiem i wykreowaniem pozornie naiwnego podmiotu lirycznego. „Ja" mówiące nie dominuje, a bawi i uwodzi, sytuując czytelników i czytelniczki w roli tych, którzy wiedzą więcej.

***

Bohaterkami książek ukraińskiej pisarki są dziewczyny obserwujące opustoszałe wiejskie biblioteki, zaniedbane szpitale, sypiące się chruszczowki (czyli pięciopiętrowe bloki z wielkiej płyty lub cegły, które zaczęto budować na masową skalę w czasach Nikity Chruszczowa), żyjące w poczuciu alienacji i braku wpływu na rzeczywistość. Potrafią jednak złapać kpiarski dystans wobec różnych sytuacji i wytyczyć w rzeczy-

[1] *Таня Малярчук в KulturCafé!*, YouTube.

eprasa.pl d185a8d253

wistości naznaczonej entropią własne ścieżki. Nie odnoszą się do minionej glorii, nie dyskutują z wielkim projektem przyszłości. Dziewczyński bunt rozgrywa się wobec rodzin, znajomych i instytucji w najzwyklejszej z możliwych scenerii, które dla Ukrainek i Ukraińców są codziennym doświadczeniem, a dla osób w Ukrainie niebywałych świetnym studium życia powszedniego w tym kraju, z którego dowiedzą się, jak wyglądają i funkcjonują szkoły, zakłady ubezpieczeń i transport na prowincji.

Malarczuk w pozornie lekkiej i prześmiewczej formie zawarła obszerną problematykę społeczną, historyczną i psychologiczną, unikając natrętnego dydaktyzmu.

Malarczuk sięga w głąb historii i kultury. Za doskonały przykład może posłużyć powieść *Zapomnienie*[2], o której dalej. Bohaterki prozy Malarczuk operują najczęściej w mikroskali, w wymiarze jednostki i jej przeciętnej sprawczości. Owe dziewczyny właściwie mimochodem chwytają nieujęte w ramy podręczników ani stereotypów treści, które wpływają na konstrukcję jej książkowych postaci, a zarazem dużo mówią o współczesnej Ukrainie.

Tania Malarczuk urodziła się w Iwano-Frankiwsku, nie należy jednak do słynnego w Polsce i Ukrainie zjawiska, które zyskało nazwę fenomenu stanisławowskiego. Stanisławów (niem.: Stanislau, ukr.: Stanisławiw, jidysz: Stanislew) to nazwa Iwano-Frankiwska do 1962 roku, kiedy to z okazji trzechsetlecia istnienia miasta uhonorowano jego nazwą tytana ukraińskiej literatury Iwana Frankę. Malarczuk nie należy do stanisławowskiego fenomenu, ponieważ sami jego członkowie uznają go za zjawisko lat dziewięćdziesiątych XX wieku, związane z pokoleniem wchodzącym w dorosłość w pierwszym dziesięcioleciu po rozpadzie ZSRR, a Tania urodziła się w 1983 roku. Z pewnością jednak od najmłodszych lat pozostawała w kręgu pisarzy ów fenomen tworzących. Jej pierwsze krótkie formy prozatorskie ukazywały się w kultowym postmodernistycznym iwanofrankiwskim piśmie Jurija Izdryka „Czetwer", a pierwsze jej książki wydawała tamtejsza Lileya-Nv. Potem Tania Malarczuk przeprowadziła się do Kijowa, gdzie pracowała jako dziennikarka telewizyjna między innymi w 5 Kanale. W wywiadach mówi, że nie mogła dłużej pozostać w zawodzie dziennikarki, bo za bardzo pociągała ją fikcja. Utrzymuje się zatem z pisania. Od roku 2011 mieszka w Austrii. Do tej pory wydała w Ukrainie osiem książek, w tym jedną dla dzieci. Jest laureatką wielu nagród literackich, w 2013 otrzymała Nagrodę im. Josepha Conrada-Korzeniowskiego Instytutu Polskiego w Kijowie, a w roku 2018 Nagrodę im. Ingeborg Bachmann za niemieckojęzyczne opowiadania *Żaby w morzu* o przyjaźni nielegalnego emigranta z Ukrainy i porzuconej starej Austriaczki. Czy

[2] Таня Малярчук, Забуття, Львів 2016.

eprasa.pl d185a8d253

mam dodawać, że Instytut Polski w Kijowie nagradza trzema tysiącami euro, a miasto Klagenfurt dwudziestoma pięcioma tysiącami i skąd się biorą różnice w dysponowaniu środkami? Chyba lepiej przejdę do literatury.

***

Opowiadanie *Bies głodu* dotyczy relacji babci i wnuczki żyjących w czasach współczesnych. Można domyśleć się, że babcia urodziła się w latach dwudziestych XX wieku, a wnuczka w latach osiemdziesiątych. Doświadczenie babki – ofiary Wielkiego Głodu i wojny – zostaje wyjęte z uczonego dyskursu, nabierając konkretnego wymiaru losów zwykłej kobiety. Główną składową staje się nie tyle obraz przeszłości, ile przekazana wnuczce trauma. Lekka opowiastka na pierwszy plan wyprowadza proces obarczania małej dziewczynki opowieściami, z którymi nie może sobie poradzić. Z punktu widzenia babci dziecko powinno słuchać, uczyć się, jak przetrwać i być depozytariuszem pamięci. To nieważne, że realia się zmieniły, zawsze mogą bowiem wrócić.

> Kiedy umarł mój dziadek, babcia położyła mnie spać na jego łóżku. I zawsze, kiedy u niej mieszkałam, spałam w jego łóżku. W tym łóżku, w którym umarł dziadek. Ale babcia wcale się tym nie przejmowała. Czasami mówiłam, że ciężko mi się śpi na tym łóżku, że śnią mi się koszmary, że się boję, ale takie moje gadanie tylko babcię denerwowało. Nie rozumiała mnie, więc dalej posłusznie śniłam swoje koszmary. (…) A tu babcia raptem:
>
> – A ja nie wierzę w duszę! Nie wierzę w nic. Człowiek umiera, kosteczki gniją i już. Wszystko. Koniec, kropka. Nic już potem nie ma.
>
> – Babciu – powiedziałam – ale to straszne tak myśleć. Nie boisz się, że umrzesz i twoje kości zgniją i już?
>
> – A czego tu się bać? Tak ma być.
>
> – To po co w ogóle żyć, jeśli później nic już nie ma?
>
> – No jak to nic?! Popatrz, ty jesteś! Ty będziesz pamiętać o moim życiu, wszystko ci opowiedziałam. To jest nieśmiertelność.
>
> Wtedy zrozumiałam, że trzeba uciekać. Rzuciłam fasolę i pobiegłam. Uciekałam od babci i jej życia do swojego własnego. Nie chcę być jej nieśmiertelnością! Chcę mieć swoje! To nieuczciwe![3]

[3] Tania Malarczuk, *Bies głodu*, tłum. Anna Łazar, „Korespondencja z Ojcem. Kwartalnik Literacko-Kulturalny", nr 9/2008, s. 82–83.

eprasa.pl d185a8d253

Od kiedy przeczytałam powieść *Zapomnienie*, nie mogę uwolnić się od uroku tej książki. Szukam dla niej literackiego towarzystwa i interpretacyjnych ram. W Ukrainie wywołała żywe reakcje. W 2016 roku otrzymała nagrodę Książka Roku BBC i przyznawaną przez kijowski portal krytyki literackiej Litakcent antynagrodę Złota Bańka z myślą o znanych pisarzach i pisarkach, którzy podjęli się nieudanej próby literackiej. Potem kilkoro członkiń i członków jury publicznie się odżegnywało od decyzji słowami typu: „Otóż ja osobiście bardzo szanuję Tanię i byłam zdecydowanie przeciwko".

Krytycy i krytyczki niepokoili się (ów niepokój widać też było w dyskusjach w mediach społecznościowych) konstrukcją książki *Zapomnienie*. Konsternację wywołał pomysł połączenia biografii Wiaczesława Lipińskiego, ukraińskiego polityka i publicysty o polskim pochodzeniu z przełomu wieku XIX i XX, i introspekcji cierpiącej na depresyjne zmrożenie młodej pisarki, która urodziła się sto lat później. Argumenty przeciwników przypominają mi sytuację z recepcją *Biegunów* Olgi Tokarczuk i ówczesnego dyskretnego oporu przed zamykaniem pod jedną okładką równoległych historii. Niejednokrotnie słyszałam, że to jest właściwie materiał na trzy osobne książki, trzeba by było tylko każdy z tych wątków bardziej dopracować i już byłoby lepiej. Na marginesie dodam, że *Bieguni* nadal mnie inspirują, szczególnie zaś listy Józefiny Soliman do Franciszka I, cesarza Austrii, w których upomina się o możliwość pochówku swojego ojca Angela – porwanego do niewoli w wieku dziecięcym z północnej Afryki. Angel Soliman zrobił karierę u Franciszka I, był uznanym dworzaninem, a mimo to jego ciało po śmierci zostało poddane mumifikacji i trafiło do cesarskiej kolekcji. Z ludzkich szczątków zostało przeklasyfikowane na kuriozalny obiekt oglądu. Oczywiście nie ma powodu do nadmiernego uniesienia, czyż w kulturze katolickiej nie wystawia się na ogląd martwych ciał? Pisane eleganckim językiem listy Józefiny są ważnym głosem w globalnej dyskusji o dekolonizacji muzeów i etycznym statusie zgromadzonych tam przedmiotów. *Zapomnienie* Tani Malarczuk właściwie też jest głosem w kwestii projektu emancypacji uciśnionych, dotyczy jednak zbiorowości, a zatem konstrukcji trudniejszej do uchwycenia. W obu przypadkach argumentacja w sprawie prawa do samostanowienia i godności wychodzi z podobnych koncepcji wolności, rozbija się zaś o twarde polityczne realia i grę jednostkowych interesów. Ale po kolei.

***

Powieść *Zapomnienie* splata losy dwóch osób, które dzieli sto lat, płeć i poziom zaangażowania społecznego, łączy zaś data urodzin, Ukraina i dorosłość przypadająca na rozpad imperiów: w wypadku Lipińskiego tych przed I wojną światową, a w przy-

eprasa.pl d185a8d253

padku bohaterki, której imię nie pada, albo nie zostało zapamiętane – Związku Sowieckiego. Narratorka „bez szczególnego zawodu", trochę pisarka, trochę badaczka, wydobywa z przeszłości postać ukraińskiego konserwatywnego polityka. Losy historycznej postaci stają się lustrem jej depresji. Dla swojego woluntarystycznego wyboru znajduje poza wspólną datą urodzin jeszcze dwa preteksty – kilkudniowy pobyt Lipińskiego w jej rodzinnym miasteczku oraz podróż, którą ona sama odbyła do jego rodzinnej wsi Zaturce. Narratorka przestaje w pewnym momencie wychodzić z domu, opanowana niemożliwym do wytłumaczenia lękiem wycofuje się z życia, pogrążając się w myślach o upływie czasu oraz w lekturze starych gazet, między innymi kultowych dla historyczek i historyków ukraińskich formacji ideowych gazet „Diło" i „Swoboda"[4].

Bohaterki prozy Malarczuk to dziewczyny, które chwytają nieujęte w ramy podręczników treści i wpływają na konstrukcję jej książkowych postaci, a zarazem dużo mówią o współczesnej Ukrainie.

Wacław Lipiński, ziemianin polskiego pochodzenia, stał się rzecznikiem i propagatorem ukraińskiej idei narodowej i zmienił imię na ukraińskie Wiaczesław. To performatywny gest na miarę naszych czasów, chociaż rozgrywa się w kategorii narodowej, a nie płciowej, ale poziom transgresji norm kulturowych prawem kaduka uznaje za zbliżony. Jego poglądy kształtowały się wbrew wychowaniu i środowisku. Lipiński, głosząc, że Ukraińcy mają prawo do państwowości, narażał się na wrogość własnego kręgu kulturowego, którego interesy ekonomiczne i polityczne stały z tym pomysłem w sprzeczności, chociaż rekonstruowana przez Malarczuk argumentacja Lipińskiego była przekonująca i pokrewna argumentom na rzecz niepodległości Polski. Lipiński był nie tylko zapalonym publicystą, wziął też na siebie rolę ambasadora Ukrainy w Wiedniu podczas epizodycznych rządów hetmana Pawła Skoropadzkiego w 1918 roku, które uważał za spójne z promowaną przez siebie ideą ukraińskiego monarchizmu. Narratorka *Zapomnienia* nie precyzuje swoich linii ideowych, zresztą trudno o wizjonerstwo na gruzach sowieckiej utopii. Lipiński był niezwykle aktywnym pisarzem, redaktorem, wydawcą, zaś pisarka cierpi na niemoc. Oboje jednak jako jednostki osadzone w pozbawionym praw społeczeństwie (specyficznych układach politycznych, historii) nie mogą osiągnąć dobrostanu z podobnych powodów.

[4] Jako ukrainistka pamiętam liczne prace magisterskie lub doktorskie: *Spory ideowe na łamach gazety „Diło" w latach 1880–1918*, *Rola gazety „Diło" w budowaniu ukraińskiej tożsamości narodowej*, *Sprawa kobiet w latach 1922–1939*. Podobnie jak bohaterka *Zapomnienia* zawsze miałam ochotę zanurzyć się w tej gazecie, jednak w odróżnieniu od niej nigdy tego nie zrobiłam.

eprasa.pl d185a8d253

Malarczuk nie jest pierwszą zauważoną w Polsce ukraińską pisarką konfrontującą się z trudną historią i zbiorową podświadomością swego kraju. W latach dziewięćdziesiątych, również przez pryzmat nieudanego związku, Oksana Zabużko dokonała analizy zbiorowości w postkolonialnych *Badaniach terenowych nad ukraińskim seksem*. U Zabużko, nieco upraszczając, mężczyźni niemogący realizować swojego potencjału w przestrzeni publicznej kontrolowanej przez państwo totalitarne odreagowują spotykające ich poniżenie przemocą fizyczną i psychiczną wobec bliskich im kobiet. W polskiej literaturze fenomen odreagowywania traumy na bliskich uchwyciła między innymi Izabela Filipiak w *Absolutnej amnezji* czy Magdalena Tulli we *Włoskich szpilkach*. Obie te książki dotyczą osób więzionych w obozach koncentracyjnych i ich relacji z dziećmi. W prozie Malarczuk uderzenie w bohaterkę wyprowadzane jest z jej własnej psyche. Trudne wydarzenie, które aktywizowałoby jej niemoc, nie jest jednoznacznie sprecyzowane. Wytłumaczeniem powodu wewnętrznego bólu staje się niemające ujścia nagromadzone od pokoleń napięcie, którego źródeł można szukać w doświadczeniu sięgającym XIX wieku. To właśnie wówczas pojawiły się projekty ulepszania naszej cywilizacji, których dalekosiężne skutki były nie do przewidzenia. Autorka zajęła się Lipińskim, który zainwestował całą energię w projekt niezrealizowany, w jego losach odbija się burzliwy czas zmiany układu sił w Europie, skutkujący dla mieszkanek i mieszkańców Ukrainy projektem emancypacji i cierpieniem z powodu niemożności wprowadzenia go w życie. Schemat ten objawił się też w życiu jednostki.

Malarczuk nie jest pierwszą ukraińską pisarką, konfrontującą się z trudną historią i zbiorową podświadomością swego kraju. Przez pryzmat nieudanego związku analizy zbiorowości dokonała Oksana Zabużko.

Paraliżujący narratorkę *Zapomnienia* lęk, niezdolność do wyjścia z mieszkania, budowania związku, uczestnictwa w życiu społecznym przestają być indywidualnymi dolegliwościami, a zyskują kontekst dziedzicznej traumy. Ujawniają się nieprzepracowane koszmary jej bliskich: babci, która w odróżnieniu od reszty rodziny uniknęła śmierci głodowej; stryjecznego dziadka, co nie poszedł z kolegami do partyzantki, dzięki czemu przetrwał, ale miał poczucie, że nic do niego nie należy; a nawet traumy rodziców, którym sowiecka młodość oszczędziła przygód albo przygody te nie zostały przez narratorkę opowiedziane. Katastrofa pierwszego pokolenia, spowity w ciszę ból w drugim zamrażają pokolenie trzecie. Wydane przez Dom Spotkań z Historią *Pogłosy. Dzieci więźniów niemieckich obozów koncentracyjnych* Marii Buko[5], zbiera-

[5] Katarzyna Schier, *Posłowie* [w:] Maria Buko, *Pogłosy. Dzieci więźniów niemieckich obozów koncentracyjnych*, Warszawa 2020.

eprasa.pl d185a8d253

jące przeprowadzone przez autorkę wywiady, zostały opatrzone artykułami, które referują stan badań nad dziedziczeniem traumy. Szczególnie ciekawe przy tej okazji wydają się studia Joanny Fisher, która opisuje mechanizm dotykający potomkinie i potomków ofiar. Najprościej można ująć to następująco: aby przetrwać w obozie, łagrze lub patologicznej rodzinie, konieczne staje się zaprzeczenie różnym swoim potrzebom – i fizjologicznym, i psychicznym (na przykład poczuciu bliskości), które nie mogą być tam zrealizowane. Strategia zaprzeczenia potrzebom zostaje przekazana dzieciom, chociaż opresyjna sytuacja się skończyła. Następnemu pokoleniu owo wyobcowanie od własnego „ja" pozwalało utrzymać więź z rodzicami.

Malarczuk zarysowuje działanie odziedziczonej po przodkach traumy za pomocą lekkich, podszytych humorem scenek z życia codziennego. Ujawnia się w nich żałoba, której nie można było przepracować nie tylko z powodu wewnętrznych mechanizmów obronnych, ale także ze względu na system totalitarny, w którym prywatna ekspresja niezgodna z sowiecką ideologią groziła karą. O pewnych sprawach się po prostu nie mówiło. Oczywiście autorka widzi mechanizmy wyparcia również we współczesnej polityce historycznej Ukrainy. Jeden ze swoich tekstów dla „Deutche Welle" zatytułowała *Prawo do przeszłości*.

> Tak, bywali szczęśliwi, ale czy jesteśmy gotowi w to uwierzyć? Człowiek masowy, szczęście ze sztancy. Potem powiedziano im, że wszystko, czym żyli, w co wierzyli, to opium i obłuda, Stachanow okazał się alkoholikiem, pół kraju siedziało w Gułagu, osiedla, na których dostawali bezpłatne mieszkania, zostały zbudowane na cmentarzach, a prawdziwymi bohaterami nie są Gagarin i Zoja Kosmodemiańska, lecz UPA i kilkoro dysydentów, przeważnie zaś Wasyl Stus[6].

Unikalność pisarki polega na wyrafinowanej grze z obrazami przeszłości. Nieprzepracowany fragment doświadczenia zbiorowego zyskuje autonomiczny głos z każdą kolejną powieścią Malarczuk. *Zapomnienie* samodzielnie definiuje pole refleksji nad historią Ukrainy, autorka chce o niej rozmawiać na własnych warunkach, proponując uzwyklenie rozmowy, dzięki czemu wpuszcza do przeszłości tak potrzebne tam powietrze. Czyż nie jest bowiem tak, że w historii odnajdujemy tylko te wątki, którymi żyjemy dziś? Jeden z lęków bohaterki *Zapomnienia* dotyczył tego, że losy większości ludzi przepadają bez śladu i nic nie jest w stanie temu przeciwdziałać. Może z wyjątkiem wrażliwości obudzonej przez literaturę.

[6] Таня Малярчук, *Право на минуле*, „Deutsche Welle" – Авторська колонка [1.02.2021].

eprasa.pl d185a8d253

Początek końca

Sławomir Popowski

W czerwcu 1991 roku podczas drugiej wizyty w USA, krótko po wygranych wyborach na prezydenta Rosji, Borys Jelcyn i George Bush (senior) razem zadzwonili do Michaiła Gorbaczowa, aby go ostrzec przed możliwym zamachem stanu ze strony twardogłowych – partyjnego i nomenklaturowego radzieckiego betonu. Gorbaczow nie posłuchał, tak jak nie posłuchał wcześniej Eduarda Szewardnadzego czy późniejszego, już sierpniowego ostrzeżenia Aleksandra Jakowlewa...

A wystarczyło, że Gorbaczow wstrzymałby się z wyjazdem na urlop (4 sierpnia) i historia być może potoczyłaby się inaczej.

Poniedziałek 19 sierpnia 1991 roku to był mój drugi dzień pobytu w ZSRR. Pięć lat pracowałem jako korespondent PAP i po kilku miesiącach przerwy wróciłem do radzieckiej stolicy, aby opisywać ciąg dalszy pierestrojki Michaiła Gorbaczowa. Tym razem dla „Rzeczpospolitej". Parę minut po godzinie szóstej zadzwonił kolega, również polski korespondent.

– Dzieje się historia, a ty śpisz – powiedział. – Włącz telewizor, w ZSRR właśnie ogłoszono wprowadzenie stanu wyjątkowego. Do Moskwy ściągają czołgi…

Zerwałem się na równe nogi, zadowolony, że przynajmniej dzień wcześniej zdążyłem przekazać do „firmy" korespondencję o Aleksandrze Jakowlewie, który ostrzegał o możliwości przewrotu organizowanego przez partyjny beton.

Jezioro łabędzie

Włączyłem telewizor. Pokazywali *Jezioro łabędzie*, potem lektor czytał komunikat, z którego wynikało, że Michaił Gorbaczow jest chory i jego obowiązki przejmuje wiceprezydent ZSRR Giennadij Janajew oraz że powołano Państwowy Komitet Stanu Wyjątkowego (po rosyjsku GKCzP). W jego skład, oprócz Janajewa – jako przewodniczącego – weszli: premier Walentin Pawłow, szef KGB Władimir Kriuczkow, minister Spraw Wewnętrznych Borys Pugo, minister obrony Dmitrij Jazow, członek Biura Politycznego KPZR Oleg Szenin, sekretarz KC KPZR nadzorujący WPK (kompleks wojenno-przemysłowy) Oleg Bakłanow, a także „główny kołchoźnik" kraju Wasilij Starodubcew oraz Anatolij Tiziakow – przewodniczący Związku

eprasa.pl d185a8d253

Przedsiębiorstw Państwowych oraz Obiektów Przemysłu, Budownictwa, Transportu i Łączności ZSRR.

Pojechałem sprawdzić, jak wygląda w praktyce wprowadzanie stanu wyjątkowego. W okolicy mojego domu przy Prospekcie Kutuzowskim 7, nieomal naprzeciwko hotelu Ukraina, sytuacja była spokojna. Nic się nie działo. Koło Białego Domu, gdzie wówczas znajdowała się rosyjska Rada Najwyższa, także panował spokój.

Pojechałem Kutuzowskim dalej, w stronę Szosy Mińskiej i MKAD (moskiewskiej obwodnicy). Zobaczyłem pierwsze kolumny wojskowe ciągnące do centrum miasta. Po drodze liczyłem wozy bojowe – transportery opancerzone i czołgi: dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści… To samo było na Prospekcie Lenińskim i przy Prospekcie Mira. W sumie, jak później podano, do Moskwy ściągnięto ponad cztery tysiące żołnierzy, około trzystu pięćdziesięciu czołgów i trzystu transporterów opancerzonych ze słynnych dywizji gwardyjskich – tamańskiej i kantemirowskiej.

Wyglądało to poważnie. Wojsko zajmowało strategiczne obiekty – zgodnie z doktryną sprawdzoną kilkadziesiąt lat wcześniej przez bolszewików. Obsadzano pocztę, dworce, najważniejsze urzędy państwowe.

Do żołnierzy podchodzili zaskoczeni moskwianie. Część złorzeczyła, wściekła na autorów stanu wyjątkowego, inni płakali i krzyczeli, że przecież są Rosjanami tak jak oni i przecież nie mogą strzelać do Rosjan. „To nie jest Gruzja czy Litwa – mówili – ale *Matuszka Rossija*"! Pamiętam, że ten nastrój i mnie się udzielał. Parę razy zdarzyło się nawet, że przekonywałem: przecież to są tylko żołnierze. Dostali rozkaz i tyle, a winni są ci, którzy ich tu przysłali.

Byłem świadkiem zabawnej sceny: na Moście Kutuzowskim, kilkaset metrów od miejsca, w którym Jelcyn z czołgu ogłaszał wezwanie do oporu i strajku, kierowca trolejbusu zatrzymał pojazd, wyprosił pasażerów, wziął teczkę z kanapkami, zamknął za sobą drzwi i poszedł do domu.

Później ci sami moskwianie przynosili im jedzenie, napoje, a bywało, że i coś mocniejszego. I chociaż najczęściej była to reakcja spontaniczna, autentyczna, to propagandowo okazała się najbardziej skuteczna. Działała rozbrajająco i kto wie, może właśnie dlatego kilka załóg czołgów dowodzonych przez majora Siergieja Jewdokimowa z dywizji tamańskiej przeszło na stronę Jelcyna i po rozmowie z wiceprezydentem Rosji, generałem Aleksandrem Ruckojem zobowiązały się bronić dostępu do Białego Domu. Uznano to za pierwszy sukces przeciwników GKCzP.

W tym dniu, zbierając materiały do korespondencji, przegapiłem jeden historyczny moment: gdzieś około godziny jedenastej przed Białym Domem – to znaczy

eprasa.pl d185a8d253

parlamentem – pojawił się Borys Jelcyn, który dzień wcześniej wrócił ze spotkania z Nazarbajewem w Kazachstanie. Wszedł na czołg i ogłosił, że to żaden Komitet Stanu Wyjątkowego, ale zwykły, antykonstytucyjny pucz, zamach na wolność i demokrację, którego organizatorzy zostaną pociągnięci do odpowiedzialności. Rosja się im nie podporządkuje i będzie stała na straży porządku konstytucyjnego. Wezwał też Rosjan do strajku generalnego.

Rozmawiałem ze świadkami tego wystąpienia. Byli zgodni: obok czołgu, z którego przemawiał prezydent Rosji, było wówczas nie więcej niż kilkadziesiąt, najwyżej kilkaset osób. Ale to był moment przełomowy. Jak napisze później Serhii Plokhy, autor znakomitej monografii *Ostatnie imperium*, wchodząc na czołg na tle trzykolorowej flagi rosyjskiej z czasów rewolucji lutowej 1917 roku, Jelcyn stawał na czele opozycji przeciwko puczystom. Ale nie tylko: „Oto Rosja – pisze Plokhy – buntowała się przeciwko własnemu imperium".

Poza szczątkowymi i ogólnymi informacjami nie wiedzieliśmy nic o rzeczywistym stanie zdrowia Gorbaczowa. Ani tego, czy jest za puczem, czy dyskretnie usunął się w cień, czekając na rozwój wydarzeń, czy też został internowany.

To prawda, z wezwania Jelcyna do strajku generalnego niewiele wyszło. Mimo czołgów i transporterów opancerzonych na ulicach życie w mieście toczyło się normalnie. Koło gastronomu Sputnik na Prospekcie Kutuzowskim stała kolejka i była długa jak zawsze. Byłem też świadkiem dość zabawnej sceny: oto na Moście Kutuzowskim, tuż koło Białego Domu i kilkaset metrów od miejsca, w którym Jelcyn z czołgu ogłaszał wezwanie do oporu i strajku, kierowca trolejbusu zatrzymał pojazd, wyprosił pasażerów, wziął teczkę z kanapkami, zamknął za sobą drzwi i poszedł do domu. W Polsce – pomyślałem, porównując sytuację do naszego stanu wojennego – coś takiego raczej było niemożliwe.

Ale wydarzenia dopiero nabierały rozpędu: pierwszego dnia puczu, po południu, koło Białego Domu przekształconego w centrum opozycji demokratycznej z każdą godziną przybywało przeciwników GKCzP. Ale to nie wszystko. W poprzek Prospektu Kalinina (dziś Nowoarbackiego), mniej więcej na wysokości gmachu RWPG zaczęły pojawiać się pierwsze barykady. Nikt wówczas nie wiedział, co będzie dalej i jak potoczą się wydarzenia. Dopuszczaliśmy każdy możliwy scenariusz, łącznie z tym najczarniejszym i najbardziej krwawym.

Zwłaszcza, że Jelcyn nie próżnował: jeszcze tego samego dnia, gdy tylko odrzucił wariant podjęcia rozmów z puczystami liczącymi na to, że skonfliktowany z Gorbaczowem co najmniej zachowa neutralność – podpisał kilka ważnych dekretów. Przede wszystkim ten, w którym uznawał działania GKCzP za niekonstytucyjny przewrót i zamach stanu, ale także kolejny, zgodnie z którym z chwilą ogłoszenia

eprasa.pl d185a8d253

wszystkie jednostki KGB, MSW oraz wojskowe, działające na obszarze Rosyjskiej Socjalistycznej Federacyjnej Republiki Radzieckiej, podlegają odtąd wyłącznie prezydentowi Rosji. Mówiąc krótko: wypowiedział wojnę puczystom, przyjmując na siebie rolę głównego obrońcy państwa i jego porządku konstytucyjnego. Teraz walka toczyła się już na śmierć i życie. Na zasadzie „kto kogo".

Dlaczego Janajewowi trzęsą się ręce

Z tym większym napięciem czekaliśmy na zapowiedzianą na godzinę osiemnastą pierwszą – i jak się później okazało – jedyną konferencję prasową członków GKCzP.

Byłem na niej. Przewodniczący komitetu puczystów Giennadij Janajew, któremu (jeśli dobrze pamiętam) towarzyszyli Borys Pugo, Oleg Szenin, Oleg Bakłanow, a także „główny kołchoźnik" kraju Wasilij Starodubcew oraz Anatolij Tiziakow, długo tłumaczył, dlaczego zdecydowano się na taki krok. Otóż Gorbaczow jest chory, państwo radzieckie znajduje się w stanie rozkładu i trzeba przywrócić porządek w kraju. I jeszcze: planowane na 20 sierpnia podpisanie nowego układu związkowego, który miał zmienić charakter państwa radzieckiego z unitarnego na federacyjne – musi zostać odroczone.

Niewiele z tego wynikało i w zasadzie nie wnosiło nic nowego wobec tego, co podano w pierwszym oficjalnym komunikacie o wprowadzeniu stanu wyjątkowego. W końcu dla nikogo z obecnych w Centrum Prasowym nie było żadnych wątpliwości, że właśnie chęć zablokowania podpisania nowego układu związkowego była jednym z głównych, jeśli nie najważniejszym powodem powstania GKCzP i faktycznego zamachu stanu.

Swego rodzaju symbolem, znakiem tej konferencji na zawsze już pozostaną (pokazane w telewizji) trzęsące się ręce Janajewa. Mówiono wówczas, że to z powodu wielkiego napięcia nerwowego, a może nawet wewnętrznego konfliktu moralnego.

W rzeczywistości, jak się później okazało, przyczyna była o wiele bardziej prozaiczna. Dzień wcześniej, po wieczornej naradzie na Kremlu, w której uczestniczyli wszyscy najważniejsi aktorzy dramatu i na której podpisano podstawowe dokumenty i dekrety, a także ostatecznie ustalono, kto zostanie przewodniczącym GKCzP oraz twarzą puczu (wybierano między Anatolijem Łukianowem – przewodniczącym radzieckiego parlamentu i długo opierającym się Janajewem, który dopiero na tym spotkaniu dowiedział się o przygotowywanym spisku) – większość przeniosła się do nowego „szefa" państwa i piła do rana.

Premier Walentin Pawłow, o którym wiadomo było, że ma problemy z alkoholem, „ciągnął" tak ostro (podobno – jak sam potem mówił – kawę z jego ulubioną whisky), że następnego dnia (to znaczy pierwszego dnia puczu) musieli interweniować

eprasa.pl d185a8d253

lekarze. Kiedy już doszedł do siebie, pił dalej na swojej daczy. Do końca puczu, aż do aresztowania.

Jak do tego doszło?

To było pierwsze pytanie, na które w tym dniu – tuż po ogłoszeniu komunikatu o wprowadzeniu stanu wyjątkowego – szukaliśmy odpowiedzi w gronie korespondentów i zaprzyjaźnionych dziennikarzy rosyjskich.

Rozgrywające się na naszych oczach wydarzenia wpisywaliśmy w ogólne ramy fundamentalnego – ideowego i politycznego – sporu zwolenników i przeciwników pierestrojki, walczących o demokratyzację radzieckiego systemu oraz konserwatywnego betonu partyjnego i nomenklaturowego.

Idąc dalej tym tropem, szukaliśmy odpowiedzi, przypominając sekwencje następujących po sobie wydarzeń z przełomu 1990 i 1991 roku. Była to „parada suwerenności": kolejne republiki związkowe, poczynając od Litwy, a kończąc na Rosji – przyjmowały deklaracje wprowadzające zasadę nadrzędności prawa republikańskiego nad prawem związkowym.

Następnie „konserwatywny zwrot" Gorbaczowa, którego usiłowano odwołać na Zjeździe Deputowanych Ludowych ZSRR w grudniu 1990 roku i który zgodził się wówczas na usunięcie swojego bliskiego współpracownika Eduarda Szewardnadzego oraz ściągnął do kierownictwa „nowe kadry" (późniejszych członków GKCzP). A co więcej, miał dać „zielone światło" Kriuczkowowi, Jazowowi oraz Borysowi Pugo (który wówczas awansował) na przygotowanie roboczych planów rozwiązań siłowych, które „sprawdzano" w styczniu 1991 roku podczas kryzysu wileńskiego i szturmu na wieżę telewizyjną.

Wreszcie marcowe referendum w sprawie przyszłości ZSRR, które wprawdzie uznano za wielkie zwycięstwo, tyle że część republik całkowicie je zignorowała, a Rosja zgodziła się w nim uczestniczyć pod warunkiem, że dopisany zostanie dodatkowy punkt o ustanowieniu urzędu Prezydenta Rosji i jego wyborach, które w czerwcu 1991 roku wygrał Borys Jelcyn.

Na koniec kolejny zwrot dokonany przez Gorbaczowa, który – wobec narastającej konfrontacji – wybrał „ucieczkę do przodu" i uruchomił proces nowoogariewski. Jego celem było przygotowanie nowej umowy związkowej we współpracy z szefami radzieckich republik (co istotne, z pominięciem parlamentów: radzieckiego oraz republik). Chciano uniknąć siłowych rozwiązań, czego od blisko roku domagał się od Gorbiego partyjny i nomenklaturowy beton.

Nie znaliśmy wówczas szczegółów porozumienia osiągniętego w Nowo-Ogariewie w lipcu 1991 roku. Ale już sama zapowiedź jego podpisania 20 sierpnia oraz

eprasa.pl d185a8d253

to, że udało się dojść do konsensusu w sprawie umowy związkowej, między innymi stanowiącej, że republiki tworzące ZSRR staną się wyłącznymi właścicielami swoich bogactw naturalnych oraz będą decydować o wielkości swojego udziału w radzieckim budżecie związkowym, a także że centralny rząd związkowy będzie nadal kontrolować wojsko i bezpieczeństwo, zaś polityka zagraniczna (należąca do rządu związkowego) będzie konsultowana z republikami. Wszystko to nastrajało wprawdzie jeszcze umiarkowanym, ale jednak optymizmem.

Dopiero później, podczas procesów puczystów (co zostało potwierdzone również w pamiętnikach ówczesnych głównych bohaterów dramatu) ujawniono, że Gorbaczow, Jelcyn oraz Nursułtan Nazarbajew (przewodniczący Rady Najwyższej Kazachstanu) mieli uzgodnić w Nowo-Ogariewie nie tylko zapisy nowej umowy związkowej. W poufnej rozmowie ustalili, że szefem nowego rządu ZSRR będzie właśnie Nazarbajew, który zmieni na tym stanowisku Walentina Pawłowa, oraz że z najwyższych władz radzieckich usunięci zostaną „twardogłowi", w tym wszyscy awansowani przez Gorbaczowa w końcu 1990 roku. Jelcyn domagał się usunięcia Władimira Kriuczkowa i Dmitrija Jazowa, a Nazarbajew dodatkowo chciał odejścia Janajewa. Gorbaczow miał się zgodzić na Kriuczkowa i szefa MSW Borysa Pugo, ale był przeciwny dymisji Jazowa.

Zapis tej rozmowy, nagranej przez zaufanych kelnerów z gorbaczowskiej rezydencji w Nowo-Ogariewie, miał trafić na biurko szefa KGB, uruchamiając lawinę kolejnych wydarzeń. I to on właśnie był inicjatorem oraz głównym ogniwem dokonanego zamachu stanu. W pamiętnikach Gorbaczow pisze o tym wprost, nazywając Kriuczkowa mózgiem puczu. Mówiąc inaczej, jeśli do dziś przyjęło się używać określenia „pucz Janajewa", to bliższy prawdy byłby termin „pucz Kriuczkowa". Janajew dał mu tylko twarz. Dzień wcześniej nawet nie wiedział o przygotowywanym spisku.

Zaczęło się w Foros

Oczywiście poza szczątkowymi i ogólnymi informacjami pierwszego dnia stanu wyjątkowego nie wiedzieliśmy nic o rzeczywistym stanie zdrowia Gorbaczowa. Ani tego, czy jest za „puczem" i – jak twierdzili niektórzy – dyskretnie usunął się w cień, czekając na rozwój wydarzeń, czy też został internowany.

Jak było naprawdę, dowiedzieliśmy się dopiero po powrocie Michaiła Siergiejewicza do Moskwy. Otóż 18 sierpnia, dzień przed nadaniem oficjalnego komunikatu o przejęciu władzy przez GKCzP, w prezydenckiej daczy w Foros na Krymie, gdzie Gorbaczow wraz z rodziną spędzał dwutygodniowe wakacje, zjawili się nieoczekiwani goście: szef IX Zarządu KGB generał Jurij Plechanow, zaufany człowiek Gorbaczowa, któremu podlegała cała jego ochrona, szef sekretariatu – Walerij Bołdin, a także

eprasa.pl d185a8d253

dowódca wojsk lądowych, wiceminister obrony, generał Walentin Wariennikow oraz dwóch sekretarzy KC KPZR – Oleg Szenin i Oleg Bakłanow. Wszyscy z wyjątkiem Wariennikowa zaliczani byli do grona najbliższych współpracowników Gorbiego.

Przylecieli bez żadnego uprzedzenia. Teoretycznie – z misją przekonania Michaiła Siergiejewicza do zmiany polityki: wycofania się z planów podpisania nowego układu związkowego oraz ogłoszenia w całym kraju stanu wyjątkowego pozwalającego na rozprawienie się ze zbuntowanymi republikami, Jelcynem oraz z demokratyczną opozycją. A wszystko oczywiście w imię ratowania rozpadającego się ZSRR, przynajmniej w dotychczasowym jego kształcie.

„Goście" musieli trochę poczekać, zanim Gorbaczow zgodził się ich przyjąć. Jak pisze w pamiętnikach, gdy wchodzili do gabinetu, dyskretnie zapytał tych, z którymi był najbliżej: Czy jest aresztowany? Usłyszał, że nie.

W praktyce chodziło o coś więcej: o zmuszenie Gorbaczowa, aby podporządkował się nowym władzom. Trochę na zasadzie: my wykonamy za ciebie brudną robotę, a ty ją zalegalizujesz, odwracając bieg historii. I – faktycznie – zgodzisz się w przyszłości na rolę figuranta.

Analogie z tym, jak w 1964 roku doprowadzono do usunięcia Chruszczowa, wydawały się oczywiste. Gorbaczow był tego świadomy od samego początku, czyli od chwili gdy poinformowano go o wizycie nieproszonych gości, neutralizacji jego osobistej ochrony, nad którą przejął dowodzenie generał Plechanow. A także przekonał się, że wszystkie linie telefoniczne zostały odcięte, łącznie z „czerwonym telefonem" zapewniającym mu jako głównodowodzącemu bezpośredni kontakt z najwyższym dowództwem wojskowym na wypadek ataku nuklearnego. (Nawiasem mówiąc, czarną walizeczkę z kodami atomowymi też mu odebrano, przekazując ją pod opiekę szefa sztabu generalnego – generała Michaiła Mojsiejewa).

„Goście" musieli trochę poczekać, zanim Gorbaczow zgodził się ich przyjąć. Jak pisze w pamiętnikach, gdy wchodzili do gabinetu, dyskretnie zapytał tych, z którymi był najbliżej: Czy jest aresztowany? Usłyszał, że nie. Wtedy przejął inicjatywę. Zadał kolejne pytanie, już głośno: Kogo reprezentują? Kiedy poinformowali, że występują w imieniu powstałego właśnie Komitetu Stanu Wyjątkowego, a potem wymijająco odpowiadali na pytanie, kto powołał ten Komitet i czy Rada Najwyższa w tym uczestniczyła, Gorbaczow stał się bardziej stanowczy. Odrzucił żądanie podpisania dekretu o stanie wyjątkowym i – pod pretekstem złego stanu zdrowia – czasowego przekazania swoich uprawnień Janajewowi. Zamiast tego domagał się zwołania Rady Najwyższej i Zjazdu Deputowanych Ludowych jako jedynych uprawnionych do ogłoszenia stanu wyjątkowego. „Na nic innego się nie zgodzę" – odpowiedział.

eprasa.pl d185a8d253

Do Moskwy wracali z niczym. Ich misja zakończyła się fiaskiem i mieli tego świadomość. Lot trwał mniej więcej dwie i pół godziny. Wystarczająco długo, aby – dla rozładowania napięcia i uspokojenia nerwów – opróżnić dużą butelkę whisky.

Prosto z lotniska udali się na Kreml, by spotkać się z pozostałymi spiskowcami i zdać relację z rozmów z Gorbaczowem. Wobec odmowy Michaiła Siergiejewicza mieli do wyboru albo wycofać się z pomysłu i położyć uszy po sobie (z pełną świadomością, że i tak ich głowy polecą), albo mimo wszystko przystąpić do realizacji planu B, to znaczy – wziąć na siebie odpowiedzialność za ogłoszenie stanu wyjątkowego i przejęcie władzy w kraju. Wybrali plan B.

Scenariusz „litewski"

Pierwszy dzień trwającego zamachu stanu zakończył się w miarę spokojnie. Opozycja była zadowolona, bo Jelcynowi udało się dotrzeć do Białego Domu i – zgodnie z oczekiwaniami – stanął w obronie Konstytucji i porządku prawnego. W tym kontekście opowiadano fantastyczne historie, jak to udało mu się przedrzeć przez kordony agentów KGB i grupy Alfa obstawiające jego rezydencję w Archangielskoje, aby dotrzeć do Moskwy. W rzeczywistości wszystko wyglądało o wiele mniej dramatycznie. Owszem, służby specjalne śledziły każdy ruch Jelcyna, ale miały – do czasu – zakaz jego aresztowania. Puczyści ciągle jeszcze liczyli, że ze względu na konflikt z Gorbaczowem uda się go przekonać co najmniej do tego, że nie będzie przeszkadzał. Co więcej, na pierwszej, szesnastopunktowej liście osób do natychmiastowego zatrzymania nie było nazwiska Jelcyna.

Życie w kraju toczyło się zwyczajnie, a wezwanie do strajku generalnego, poza kilkoma kopalniami, nie spotkało się z poważniejszym odzewem i jeśli gdzieś dochodziło do protestów, to głównie w Moskwie i Leningradzie.

Napięcie zaczęło rosnąć dopiero następnego dnia, gdy do Białego Domu dotarły pierwsze informacje mówiące, że puczyści postanowili zmienić taktykę. Dotąd – mówiono – działali według scenariusza czeskiego z czasów Praskiej Wiosny. Zakładano, że wystarczą pozory legalności (chory Gorbaczow i konstytucyjnie wybrany wiceprezydent Janajew przejmujący jego obowiązki), a także demonstracja siły. Gdy jednak okazało się, że w ten sposób nic się nie da zrobić i że właściwie „przegrano" moment zaskoczenia – co jednoznacznie stwierdzał przedstawiony 20 sierpnia w godzinach porannych raport KGB – postanowiono powtórzyć wariant „wileński" ze stycznia 1991 roku. Wtenczas podjęto próbę szturmu na parlament litewski i wieżę telewizyjną.

Na polecenie Kriuczkowa w KGB, MSW i w gabinetach Ministerstwa Obrony zaczęto w pośpiechu przygotowywać plany zdobycia Białego Domu i aresztowania

eprasa.pl d185a8d253

Jelcyna, jego współpracowników, a także czołówki znienawidzonych przez puczystów przywódców opozycji demokratycznej oraz liderów pierestrojki (między innymi Aleksandra Jakowlewa).

Koło Białego Domu, bronionego przez coraz liczniej gromadzących się przeciwników puczu, zaczęli pojawiać się agenci KGB oraz Alfy (specjalnej jednostki KGB, która zasłynęła szturmem na chroniony pałac prezydencki celem zabicia afgańskiego prezydenta Hafizullaha Amina). Na podstawie ich doniesień ustalano, które jednostki wojsk wewnętrznych i powietrzno-desantowych wspierać będą Alfę, kiedy czołgi otworzą ogień, i kto będzie ostrzeliwał z granatników poszczególne piętra. Wreszcie, jak mają działać alfowcy, gdy już przebiją się do środka (wiązka granatów do każdego pokoju, serie z automatów, a potem aresztowanie wciąż żyjących). Dokładnie tak samo, jak wówczas gdy zdobywano pałac prezydencki w Kabulu.

Wiadomość o przygotowywanym szturmie (bardzo ogólną) miał jako pierwszy przekazać Jelcynowi generał Aleksander Lebiedź, informując, że wojsko dostało rozkaz likwidacji ochrony Białego Domu i prezydenta Rosji. Jelcyn miał wątpliwości. Później jednak informację tę potwierdził generał Paweł Graczow (przyszły minister obrony Rosji), dowodzący ściągniętymi do Moskwy przez puczystów jednostkami wojsk powietrzno-desantowych. I nie tylko potwierdził: przekazał dokładne plany ataku oraz podał godzinę „zero", wyznaczoną na trzecią w nocy z 20 sierpnia na 21 sierpnia. Łącznikiem podobno był generał Borys Gromow – ten sam, który dowodził wyprowadzeniem wojsk radzieckich z Afganistanu.

W odpowiedzi na te doniesienia wiceprezydent, generał Aleksander Ruckoj, weteran wojny w Afganistanie, w szybkim tempie organizował oddziały obrony Białego Domu. Ogłoszono też dekret o utworzeniu i rozpoczęciu rekrutacji do rosyjskich sił zbrojnych, których głównodowodzącym mianował siebie Borys Jelcyn. Przygotowując się na najgorsze, rozważano również utworzenie alternatywnego ośrodka władzy w Swierdłowsku, a nawet – w przypadku bezpośredniego zagrożenia – plany ewakuacji prezydenta Rosji na teren ambasady USA położonej dosłownie 200–300 metrów od rosyjskiego parlamentu, nieomal po drugiej stronie ulicy.

Obrona Białego Domu

Mistrzowskim posunięciem Jelcyna okazało się zwołanie 20 sierpnia w godzinach południowych wielkiego wiecu koło Białego Domu.

Byłem tam. Wiec robił wrażenie. Na apel władz rosyjskich pod Biały Dom przyszło blisko, a może nawet ponad sto tysięcy ludzi, z których około 15 tysięcy zostało na noc. Najpierw przemawiał Jelcyn, ochraniany płytami kuloodpornymi. Zapowiadał zdecydowany opór i wzywał do obrony demokracji, konstytucji oraz legalnie

eprasa.pl d185a8d253

wybranego prezydenta, czyli Gorbaczowa. Po nim przemawiali inni: Jelena Bonner, obrończyni praw człowieka, wdowa po Andrieju Sacharowie, były minister spraw zagranicznych ZSRR Eduard Szewardnadze, a także jeden z liderów opozycji demokratycznej, prawosławny pop ojciec Gleb Jakunin (wyklęty później przez Cerkiew prawosławną) oraz poeta Jewgienij Jewtuszenko. Zamiast przemówienia odczytał on, tak jak miał w zwyczaju na wcześniejszych wielkich protestach opozycji, swój kolejny, gorący poemat polityczny.

Wiec trwał kilka godzin. W tym czasie na rozkaz władz rosyjskich drogi dojazdowe do Białego Domu zablokowano ciężarówkami, autobusami i trolejbusami, wzmocniono barykady i zorganizowano obronę wszystkich wejść do parlamentu. Było już wiadomo, że utworzono i po wojskowemu zorganizowano nieźle uzbrojone oddziały obrońców, do których należało wielu doświadczonych weteranów wojny w Afganistanie (afgańców, jak ich nazywano w Rosji).

Najważniejsi okazali się jednak ci, którzy po prostu przyszli pod rosyjski parlament, aby bronić demokracji i wolności. Dziewczyny i kobiety, w kilku szeregach, trzymając się za ręce, przegrodziły Prospekt Kutuzowski niedaleko mojego domu, by – niczym żywe tarcze – zablokować czołgom i wojsku dostęp do parlamentu. „Przecież – przekonywały – żołnierze nie będą strzelać do kobiet".

Jelcyn triumfował, nie szczędząc Gorbaczowowi gorzkich słów prawdy i umiejętnie dawkowanej krytyki.

I w pewnym sensie miały rację. Najpierw do buntu doszło w samej Alfie, o której mówiono, że na sam jej widok lepiej złożyć broń. Szeregowi specnazowcy sprzeciwili się planom swoich dowódców i uznali, że wobec masowej obrony Białego Domu operacja „Grom" (bo taki kryptonim nadano szturmowi na rosyjski parlament) jest nie do wykonania bez setek, jeśli nie tysięcy ofiar, a ich rzezi nie chcą brać na swoje sumienie.

W tym samym czasie również w dowództwie wojskowym zrozumiano, że awantura zaczyna przybierać niebezpieczne rozmiary i lepiej jest się w nią nie angażować. Wprawdzie marszałek Jazow domagał się zdecydowanych działań, ale w krytycznym momencie, gdy wszystko zależało od tego, czy Paweł Graczow wyda rozkaz swoim jednostkom, aby ruszyły na Biały Dom – jego komenda była jednoznaczna: „stać!".

Przesilenie nastąpiło, gdy padły pierwsze strzały i pierwsi zabici. Zgodnie z planem „Grom", przyjętym w tym dniu na posiedzeniu GKCzP, przed generalnym szturmem oddziały wojskowe miały zająć pozycje wyjściowe w pobliżu Białego Domu. Sześć transporterów opancerzonych z Dywizji Tamańskiej, realizując ten plan i wypełniając rozkaz wydany przez generała Walentina Wariennikowa, zmierzało w kierunku placu Smoleńskiego i budynku radzieckiego MSZ.

eprasa.pl d185a8d253

Na Sadowym Kolcu, dokładnie o północy, gdy kolumna przejeżdżała pod Prospektem Kalinina (dziś Nowoarbackim), grupa obrońców parlamentu przekonanych, że szturm właśnie się rozpoczął – usiłowała ją zatrzymać. Ktoś próbował własnym ciałem zatarasować drogę, ktoś inny usiłował wyciągnąć z transportera żołnierzy, poleciały koktajle Mołotowa. Jedna z załóg, której doświadczeni afgańcy kocami i szmatami zasłonili wizjery, zaczęła strzelać na oślep, a kule odbijały się rykoszetem od ścian tunelu i pozostałych transporterów. Zginęły trzy osoby. To oficjalnie ofiary śmiertelne tego puczu.

Kiedy pisałem ten tekst, mój przyjaciel Janek Różdżyński, wieloletni korespondent w Moskwie – odszukał w swoim archiwum zapis rozmowy, jaka się ukazała wówczas w tygodniku „Spotkania". Daniel Dobrzyński, tomski deputowany do Rady Najwyższej Rosji, z pochodzenia Polak, relacjonował, jak krótko przed północą z 20 na 21 sierpnia z trzema innymi deputowanymi usiłowali dopędzić i zatrzymać dwa transportery opancerzone na placu Powstania. Na chwilę udało im się nawiązać kontakt z jednym z ich dowódców. Dobrzyński wyciągnął swoją legitymację poselską, na co ten wyjął z pistoletu magazynek i pokazał, że są w nim ostre naboje. „Odejdź – powiedział wojskowy. – Zaraz będę strzelał. Taki rozkaz". Chwilę potem coś mówił do swoich żołnierzy przez hełmofon. Następnie otworzono ogień z pokładowych karabinów maszynowych. Strzelali ostrymi nabojami i pociskami świetlnymi tuż nad głowami deputowanych. Wszystko to rozgrywało się kilkaset metrów od miejsca, gdzie za chwilę miało dojść do tragedii. Może właśnie tę strzelaninę uznano za początek szturmu na Biały Dom i zdecydowano się zaatakować wojskową kolumnę?

To był moment przełomowy. Kiedy informacja o tym dramacie dotarła do marszałka Jazowa, nakazał on wstrzymanie operacji, a kilka godzin później, o ósmej rano, wezwał swoich dowódców wojskowych i wydał im rozkaz wycofania się z Moskwy. Oskarżany o zdradę przez pozostałych członków GKCzP, już świadomych, że grunt zaczyna im się usuwać spod nóg, tłumaczył swoją decyzję groźbą kolejnych starć i nieobliczalnej ilości ofiar. Powiedział, że nie chce być drugim Pinochetem. W rzeczywistości przez wszystkie dni puczu bał się jednego: powtórki scenariusza wileńskiego i tego, że on i jego wojsko znów stanie się kozłem ofiarnym. Wielu wyższych dowódców wojskowych i oficerów odetchnęło z ulgą.

Kto pierwszy do Foros

Po tragicznej i pełnej napięcia nocy, gdy rano poszedłem do Białego Domu, zobaczyłem, że panuje tam atmosfera zwycięstwa. Debatowano, kto poleci do Foros, aby uwolnić Gorbaczowa, a także o tym, jakie powinny być dalsze losy puczystów.

eprasa.pl d185a8d253

A kiedy już ustalono, kto będzie towarzyszył wiceprezydentowi Rosji Aleksandrowi Ruckojowi w podróży, okazało się, że będą się ścigać z puczystami, którzy również wybierali się do Gorbaczowa. W ostatniej chwili chcieli spróbować odwrócić bieg wydarzeń. Także Anatolij Łukianow, przewodniczący Rady Najwyższej ZSRR, wybierał się (trzecim samolotem) do Foros, aby wytłumaczyć się z dwuznacznego zachowania, a co najmniej bezczynności w dniach puczu, i odzyskać zaufanie Gorbaczowa.

Puczyści byli pierwsi, ale tym razem osobista ochrona Gorbiego już wiedziała, jak ma się zachować. Gdy więc późnym popołudniem 22 sierpnia otworzono bramę wjazdową i kolumna wjechała na teren najpilniej strzeżonego wówczas obiektu w Foros – na jej drodze stanęło kilku uzbrojonych ochroniarzy. Kiedy generał Jurij Plechanow, powołując się na stanowisko szefa ochrony, zażądał przepuszczenia pojazdów, ci nawet nie drgnęli. Już wiedział, że tym razem nie ustąpią i gotowi są użyć broni. Na ich polecenie posłusznie udali się do swoich kwater, aby czekać, kiedy Gorbaczow zgodzi się ich przyjąć.

Korzystając z poparcia i „nastrojów ulicy", Jelcyn konsekwentnie zdobywał kolejne przyczółki.

Gorbi dokładnie wiedział, co się wydarzyło w Moskwie. Puczyści wprawdzie wyłączyli mu wszystkie telefony i sygnał telewizyjny, ale udało mu się zachować tranzystorowe radio Sony, na którym mógł odbierać Głos Ameryki czy BBC, a także inne stacje radiowe, w tym radzieckie, które na bieżąco i często na żywo relacjonowały wydarzenia w Moskwie.

Zgodził się rozmawiać z przybyłymi członkami GKCzP, ale postawił warunek: natychmiastowe przywrócenie łączności ze światem zewnętrznym. A gdy tak się stało, niezwłocznie wykonał serię telefonów i odbył rozmowy z najważniejszymi osobami, dzięki którym mógł odzyskać kontrolę nad państwem, a przede wszystkim nad wojskiem i siłami bezpieczeństwa. Najpierw zadzwonił do szefa sztabu generalnego, generała Michaiła Mojsiejewa, i kazał mu dopilnować, by samolot wiozący delegację rosyjską z generałem Aleksandrem Ruckojem bezpiecznie wylądował na Krymie, bo dochodziły sygnały, że szykowano na nich zamach. Zatelefonował też do dowódcy garnizonu kremlowskiego, któremu wolno było odtąd przyjmować rozkazy wyłącznie od Gorbiego, oraz do ministra łączności, któremu z kolei nakazał natychmiastowe odcięcie łączności z puczystami. Mówiąc krótko: odzyskiwał rzeczywistą władzę w państwie.

Rosyjska delegacja była jedyną, z którą spotkał się Gorbaczow. I chyba dla obu stron było to wielkim przeżyciem emocjonalnym. Michaił Siergiejewicz przekonał się, że ci, których do niedawna uważał za swoich przeciwników, a nawet wrogów, są w istocie sprzymierzeńcami, którym zawdzięcza uwolnienie. Zaś Ruckoj i pozostali

eprasa.pl d185a8d253

członkowie delegacji przysłanej przez Jelcyna sami mogli zobaczyć, że doniesienia o internowaniu i areszcie domowym Gorbiego były prawdziwe, a kłamstwem okazały się pogłoski o jego rzekomej grze politycznej z puczystami.

Jeszcze tego samego dnia, a właściwie o 1.30 w nocy 22 sierpnia, Gorbaczow wrócił do Moskwy na pokładzie samolotu delegacji rosyjskiej. Uznano to za rozwiązanie bezpieczniejsze niż powrót łatwym do rozpoznania i zestrzelenia samolotem prezydenckim. Na jego pokładzie znalazł się również Władimir Kriuczkow, z którym nikt już nie chciał rozmawiać i który stał się „zakładnikiem".

Los puczystów był już przesądzony. Większość została aresztowana bezpośrednio po przylocie do Moskwy, już na rządowym lotnisku Wnukowo 2, albo kilka dni później, jak w przypadku Walentina Pawłowa, kiedy czekano, aż po kolejnym alkoholowym ciągu dojdzie do siebie. Trwał spór, kto powinien tego dokonać – prokuratura radziecka (związkowa) czy rosyjska.

Niektórych jednak nie zdążono aresztować. Minister spraw wewnętrznych Borys Pugo zastrzelił się, zanim przyszli po niego z nakazem zatrzymania. Nikołaj Kruczina, szef wydziału administracyjnego KC KPZR, odpowiedzialny za jej finanse (w ogóle niewidoczny w dniach puczu), nie wiadomo dlaczego popełnił samobójstwo, rzucając się z okna. Wreszcie do odebrania sobie życia posunął się bliski doradca Gorbaczowa we wszystkich rozmowach rozbrojeniowych – marszałek Achromiejew. Powiesił się w swoim gabinecie. Nawet niebrany pod uwagę przez puczystów, przerwał swój urlop i sam się zgłosił do współpracy z GKCzP, bo – jak napisał tuż przed śmiercią w liście do Gorbaczowa – w całości podzielał ich racje. Było to więc samobójstwo z pobudek ideowych.

Rewolucja po puczu

Tymczasem w Moskwie po zwycięstwie nad puczystami dokonywała się prawdziwa rewolucja. Już w dniu powrotu Gorbaczowa do Moskwy, 22 sierpnia wieczorem tłum zebrał się koło KGB i gotów był szturmować osławioną Łubiankę, chronioną przez snajperów. Kontrolujący sytuację przedstawiciele władz miejskich i wywodzącego się z demokratycznej opozycji mera Moskwy Gawriła Popowa zaproponowali lepsze (i bezpieczniejsze) rozwiązanie: obalenie pomnika Dzierżyńskiego. Tłum posłuchał i poszedł po „Feliksa". Początkowo chcieli po prostu zwalić go za pomocą łańcuchów i ciężarówki, ale Siergiej Stankiewicz, reprezentujący mera Moskwy Popowa (i jego zastępca) przekonywał, że ze względu na groźbę zawalenia się sklepienia w podziemnej linii metra lepiej poczekać na przyjazd dźwigów i fachowej ekipy. Kilka godzin później, już po północy, pomnik Dzierżyńskiego rzeczywiście został zdjęty z cokołu i wywieziony, a tyle czasu wystarczyło, aby emocje opadły.

eprasa.pl d185a8d253

Jeszcze groźniej było następnego dnia, gdy w mieście pojawiły się – do dziś nie wiadomo, z czyjej inspiracji i na ile były prawdziwe – pogłoski o szykowanym przez zwolenników puczystów nowym ataku na Biały Dom. Wiarygodności tym plotkom dodawała informacja, że podobno z tego właśnie powodu marszałek Jewgienij Szaposznikow postawił siły powietrzne w stan pogotowia. Tłum zaczął gromadzić się na Pietrowce przed siedzibą moskiewskiej komendy milicji; niektórzy już wspinali się na żelazne ogrodzenie i była obawa, że tłum wedrze się do środka, a co gorsza, wejdzie w posiadanie broni i zaczną się zamieszki.

W sukurs znów przyszli przedstawiciele władz miejskich, nawołując, aby zamiast zdobywać Pietrowkę, jak popularnie nazywano w Moskwie Komendę Milicji, ruszyć na Starą Płoszczad' pod KC KPZR, bo podobno niszczą tam dokumenty, aby zatrzeć ślady udziału partii w puczu sierpniowym. Tłum posłuchał. Ruszył pod Komitet Centralny. Usiłowano wedrzeć się do środka.

I tym razem interweniowali przedstawiciele magistratu. Przez radiowęzeł odczytali wystraszonym pracownikom aparatu potężnej niegdyś KPZR komunikat i ultimatum: „Prezydent podpisał decyzję o zamknięciu całego Komitetu Centralnego, a wszyscy znajdujący się w jego budynkach mają 45 minut na jego opuszczenie". W domyśle: bo inaczej załatwi to tłum!

Nie mieli wyboru, musieli opuścić KC i oddać klucze. Wielu przeszło wówczas przez swoją „ścieżkę hańby". Rozwścieczony tłum protestujących obrzucał ich obelgami. W przypadku sekretarza moskiewskiego Komitetu KPZR Jurija Prokofiewa milicji tylko z trudem udało się nie dopuścić do linczu. Co więcej, w tej narastającej gorączce i żądzy odwetu tłum mógł znów pójść pod KGB, aby i tam zrobić porządek. Trzeba było aż przyjazdu Jelcyna i Aleksandra Ruckoja, aby zapobiec zamieszkom. Ale tłum i tak pozostał na miejscu przez całą kolejną noc i dopiero następnego dnia, 24 sierpnia, gdy emocje zaczęły opadać, sytuacja została opanowana.

Gorbaczow przekonywał przywódców innych republik do pozostania przy wynegocjowanym federacyjnym kształcie państwa. Ale ci chcieli już nie federacji, lecz konfederacji. A tak naprawdę każdy gotów był pójść w swoją stronę.

Niektórym udało się jednak uniknąć tego doświadczenia. Gieorgij Szachnazarow napisze potem w pamiętnikach, że jego przyjaciel Anatolij Czerniajew (również jeden z najbliższych doradców Gorbiego) osobiście mógł się przekonać, że wcześniejsze plotki o istnieniu tajnego, podziemnego przejścia ze Starej Płoszczadi do Kremla były prawdziwe. Właśnie tą drogą w krytycznym dniu ewakuował się z gmachu KC, zabierając najważniejsze dokumenty.

eprasa.pl d185a8d253

To był też koniec KPZR: w kilku najbliższych dniach Gorbaczow sam zrezygnował z funkcji sekretarza generalnego, a następnie wezwał do jej samorozwiązania, zaś 29 sierpnia rosyjski parlament zdecydował o jej likwidacji i przejęciu majątku.

Koniec sierpniowego sojuszu

Zdaniem komentatorów, tuż po powrocie do Moskwy, dosłownie już w pierwszych godzinach Gorbaczow popełnił wielki polityczny błąd, być może nawet przesądzający o jego dalszych losach.

Zaraz po wylądowaniu na rządowym lotnisku Wnukowo 2, gdy znów był bohaterem i miał szanse odzyskać pozycję politycznego lidera, zamiast prosto z lotniska udać się na spotkanie z rosyjskimi deputowanymi w Białym Domu, a także z jego obrońcami, którym zawdzięczał uwolnienie i których kilka tysięcy oczekiwało go koło rosyjskiego parlamentu – pojechał do domu.

Michaił Siergiejewicz, niczym Napoleon po powrocie z Elby, zyskał swoje sto dni. Coś jeszcze próbował zrobić, usiłował reanimować proces nowoogariewski, doprowadzić do podpisania nowej umowy związkowej. Ale tylko on już w to wierzył.

Następnego dnia po powrocie zamiast spotkać się z Jelcynem i uzgodnić choćby najważniejsze i najpilniejsze decyzje dyktowane sytuacją po nieudanym puczu, stawił się na Kremlu i zaczął układać skład nowych władz radzieckich po usunięciu z nich puczystów.

To był początek nowego i chyba już decydującego kryzysu w relacjach Gorbaczowa z Jelcynem – zapowiedź polityki, którą prezydent Rosji w jednej z późniejszych rozmów ze swoimi najbliższymi współpracownikami zawarł w krótkiej formule: „w jednym barłogu nie ma miejsca dla dwóch niedźwiedzi".

Borysa Jelcyna zirytowało, że Gorbaczow – bez konsultacji z prezydentem Rosji – powołał i ogłosił nominacje na zwolnione ze stanowiska osoby. Na przykład generał Mojsiejew, mianowany na nowego ministra obrony ZSRR – w rzeczywistości jeden z organizatorów puczu, czy też Leonid Szebarszyn, którego powołał na pełniącego obowiązki szefa KGB – bliski współpracownik Kriuczkowa.

Podczas spotkania w cztery oczy, do którego doszło 23 sierpnia, Jelcyn nie tylko zażądał cofnięcia ogłoszonych już decyzji kadrowych – na co Gorbi musiał się zgodzić – ale także uznania wszystkich dekretów podpisanych przez Jelcyna w dniach puczu, w tym również dekretu o suwerenności gospodarczej Rosji, który według rosyjskiego prezydenta miał być podpisany już 20 sierpnia (choć wiadomo było, że uczynił to *post factum*). Dekret godził w ekonomiczne fundamenty ZSRR.

eprasa.pl d185a8d253

W sprawach kadrowych Gorbaczow nie miał wyboru, musiał wycofać się ze swoich nominacji oraz powołać na „związkowych" ministrów własnego rządu, kandydatów zgłoszonych przez Jelcyna i jemu bliskich, między innymi marszałka lotnictwa Jewgienija Szaposznikowa na ministra obrony oraz Wadima Bakatina na szefa KGB.

Od tego momentu Gorbaczow był już w odwrocie, a Jelcyn, korzystając z poparcia i nastrojów ulicy, konsekwentnie zdobywał kolejne przyczółki. Tego samego dnia późnym popołudniem doszło wreszcie do spotkania Michaiła Gorbaczowa z rosyjskimi deputowanymi. Miało mieć charakter nieformalny, ale Jelcyn – nie informując o tym gościa – zaprosił również telewizję, która prowadziła transmisję na żywo.

Oglądałem ją. To był żenujący widok. Przypierany do muru i najzwyczajniej zaskoczony Gorbi wygłosił wówczas chyba najgorsze w życiu przemówienie, utrzymane w swoim klasycznym stylu; nazbyt ogólnikowe. Prosił, by Rosjanie razem z innymi republikami pomogli mu ocalić wspólne państwo – ZSRR.

Nawet uczestniczący w spotkaniu deputowani przyjęli ten apel krytycznie, uznając, że za ładnymi słowami kryją się złe intencje, bo w istocie Gorbiemu chodzi wyłącznie o to, by ukrócić rosyjskie ambicje demokratyczne i gospodarcze. Domagali się też od niego uznania KPZR (która była dotąd jego zapleczem politycznym i której sekretarzem generalnym formalnie jeszcze pozostawał) za organizację przestępczą.

Za to Jelcyn triumfował, nie szczędząc Gorbaczowowi gorzkich słów prawdy i umiejętnie dawkowanej krytyki. Delektując się swoją przewagą, żądał od Gorbiego spełnienia złożonej kilka godzin wcześniej obietnicy i podpisania dokumentu zatwierdzającego wszystkie dekrety – także te sporne – wydane przez rosyjskiego prezydenta w dniach puczu. Na koniec, jeszcze podczas spotkania, na oczach zebranych i samego Gorbaczowa podpisał dekret o zawieszeniu działalności KPZR. To był naprawdę przykry widok oglądać Michaiła Siergiejewicza w tak poniżającej sytuacji.

Michaił Siergiejewicz, niczym Napoleon po powrocie z Elby, zyskał swoje sto dni. Coś jeszcze próbował zrobić, usiłował reanimować proces nowoogariewski i mimo wszystko doprowadzić do podpisania nowej umowy związkowej. Ale tylko on już w to wierzył. Stawał na głowie, aby przekonać przywódców innych republik (przede wszystkim Rosji i Ukrainy) oraz aby pozostać przy wynegocjowanym wcześniej federacyjnym kształcie państwa. Ale ci chcieli już nie federacji, lecz jeszcze luźniejszej konfederacji. A tak naprawdę każdy z nich gotów był pójść w swoją stronę.

To także był pośredni skutek puczu. Unaocznił wszystkim, że władza centralna, związkowa nie sięga poza Moskwę, skoro wszystkie republiki związkowe – mniej lub bardziej dyplomatycznie – albo całkowicie zignorowały dekrety GKCzP, albo otwarcie wystąpiły przeciwko. Miały świadomość, że Moskwa nic już im nie zrobi. W rezultacie władza Gorbaczowa po jego powrocie z Foros była jeszcze bardziej iluzorycz-

eprasa.pl d185a8d253

na i ograniczona. W najlepszym razie sięgała do murów Kremla, a tak naprawdę kilku zajmowanych przez niego kremlowskich gabinetów. Choć i to było już wątpliwe. Własna ochrona Gorbiego znajdowała się na „jego" piętrze, ale najważniejsze wjazdowe bramy: Spasska i Borowicka były już pilnowane przez „ochroniarzy" Jelcyna.

Z dni puczu zapamiętałem jeden charakterystyczny moment. To było kilka dni po tamtych dramatycznych wydarzeniach, podczas wielkiej manifestacji zwycięstwa i triumfu, gdy składano hołd trzem ofiarom GKCzP, a Prospektem Kalinina (obecnie Nowoarbackim) niesiono długą, chyba stumetrową, trójkolorową flagę rosyjską. Podczas odbywającego się wtedy wiecu udało mi się dostać na balkon na pierwszym piętrze Białego Domu, zastępujący trybunę.

Rozmawiałem właśnie z Olegiem Rumiancewem, współautorem projektu konstytucji rosyjskiej i jednym z działaczy opozycji demokratycznej, którego – dzięki mojej moskiewskiej przyjaciółce Daszy Sylwańskiej-Pawłowej – poznałem podczas demonstracji moskiewskich jeszcze w 1989 roku. Nieoczekiwanie podszedł do nas zaprzyjaźniony z nim Rusłan Chasbułatow, ówczesny przewodniczący Rady Najwyższej Rosyjskiej Socjalistycznej Federacyjnej Republiki Radzieckiej. Na pytanie Olega: zwyciężyliśmy i co dalej? – Chasbułatow odpowiedział krótko i jednoznacznie: Jak to co? Przejmujemy wszystko, banki, przedsiębiorstwa, zakłady… Agonia Związku Radzieckiego wchodziła właśnie w końcową fazę.

eprasa.pl d185a8d253

Pieskie życie w Gruzji

Miłosz Szymański

Tego dnia Merabi przeżył szok. Zobaczył starszą kobietę, która buduje przytulisko dla sfory psów i nosi im jedzenie na własnych plecach. Musiał jej pomóc. Nie lubi siedzieć w domu. Sam od niedawna jest wdowcem i potrzebował czegoś, co pozwoli mu odnaleźć spokój. Przyprowadził swoje koty do Ingi. Postanowili działać razem.

Bezdomne psy w Gruzji były zabijane. Nocny odstrzał zwierząt zakończono w 2012 roku dzięki presji Unii Europejskiej. Gruzja zobowiązała się wdrożyć program zapobiegania bezdomności zwierząt. Jakie są jego efekty dziewięć lat później?

Batumi dynamicznie się rozwija, miasto zamieszkuje sto siedemdziesiąt tysięcy ludzi (dwa razy więcej niż w momencie upadku Związku Radzieckiego). W tym samym czasie ludność całej Gruzji skurczyła się o jedną czwartą. Miasto zawdzięcza rozwój kilku czynnikom. Pierwszym jest port morski, założony jeszcze przez starożytnych Greków, od którego miasto wzięło nazwę. *Bathus Limen*, czyli „głęboka przystań". Najsilniejszym motorem rozwoju jest obecnie turystyka. Gości z całego świata przyciąga łagodny klimat, umiarkowane ceny i malownicze położenie samego miasta.

Kolczyk

Batumi leży na wąskim pasie ziemi, wciśniętym między Morze Czarne a masyw Małego Kaukazu. Zapewnia to spektakularne widoki. Z tego samego balkonu można podziwiać ośnieżone górskie szczyty i fale rozbijające się o kamienistą plażę. Ten właśnie turystyczny potencjał zaczął wykorzystywać Asłan Abaszydze (przywódca Adżarii), który przez czternaście lat, do 2004 roku, traktował Batumi i całą Autonomiczną Republikę Adżarii jak udzielne księstwo. Nigdy nie posunął się do zadeklarowania niepodległości. To z jego polecenia zliberalizowano przepisy budowlane do tego stopnia, że całą Adżarię ogłoszono specjalną strefą ekonomiczną. Wtedy zaczęto budować na szeroką skalę hotele i apartamentowce. Prawdziwy przełom nastąpił za prezydentury Micheila Saakaszwilego. Prezydent stawał na głowie, by ściągnąć do Gruzji zagraniczne inwestycje. W ciągu kilku lat w południowej części miasta wybudowano dziesiątki apartamentowców i hoteli. Panorama zmieniła się nie do poznania. Ale w cieniu wieżowców życie toczy się starym rytmem.

eprasa.pl d185a8d253

– Mamy w mieście około dwu i pół tysiąca bezdomnych psów. Jesteśmy w stanie je policzyć z niezłą dokładnością, bo wdrożyliśmy program kastracji zwierząt. Od kilku lat psy są wyłapywane i przekazywane do ośrodka, w którym są kastrowane i sterylizowane. Po kilku dniach od operacji, kiedy rany się wygoją, odwozi się je z powrotem w miejsce bytowania. Każdy pies otrzymuje kolczyk z numerem porządkowym. Nie mamy w mieście pieniędzy na budowę schronisk dla nich wszystkich, ale staramy się chociaż kontrolować populację w ten sposób – wyjaśnia Zurab Nakaidze, przewodniczący Komisji Finansów i Rozwoju Gospodarczego w radzie miasta.

W Batumi mija się dziesiątki psów leżących na chodnikach, spacerujących po skwerach czy czekających na jedzenie pod restauracjami i sklepami. Większość z nich sprawia wrażenie dobrze odkarmionych i nieagresywnych. Chorych i słabych zwierząt nie widać wielu, co nie znaczy, że ich nie ma.

Nadmorski bulwar ciągnie się przez dziesięć kilometrów. Jego początek znajduje się przy porcie i stacji kolejki linowej, którą można wjechać na szczyt wzgórza Anuria. Bulwar opasa najdroższe hotele w mieście, po czym ciągnie się prosto jak strzała przez kolejnych osiem kilometrów. Wzdłuż niego zbudowano najwyższe apartamentowce w mieście, kasyna i centra handlowe. Idąc bulwarem, można podziwiać, jak szeroko miasto rozlało się w ostatnich latach. Kilkaset metrów od brzegu, za linią nowoczesnych wielopiętrowych budynków, znajdują się jednorodzinne domy z ogródkami, które dominowały w lokalnym krajobrazie jeszcze dziesięć lat temu. Wreszcie pod koniec bulwaru drogę do dalszego rozwoju miasta przegradza pas startowy międzynarodowego portu lotniczego. Dalej bulwar ciągnie się jeszcze przez półtora kilometra, ale mało kto tam spaceruje, bo podziwiać można już tylko niezagospodarowaną podmokłą łąkę i budynek oczyszczalni ścieków. Wreszcie koniec bulwaru wyznacza ujście rzeki Chorokhi. W trakcie spaceru łatwo przeoczyć wąską drogę wiodącą wzdłuż lotniskowego ogrodzenia. Prowadzi ona do sporego placu, na którym składowany jest sprzęt budowlany z budowy po drugiej stronie lotniska. Na nim jednak droga się nie kończy. W głębokich koleinach, niezależnie od pogody stoi woda, a sama droga wygląda na nieużytkowaną. Jednak w oddali wyraźnie słychać szczekanie psów.

Lotnisko

– Kiedy Inga tu przyszła, to nawet drogi nie było. Wszystko tworzyliśmy od zera. – Merabi robi szeroki ruch ręką. Wokół niego skaczą psy. To, o czym mówi, to kilkanaście lichych budynków skleconych z tego, co było pod ręką.

Stoimy obok szopy, w której mieszkają cztery suki. Jej tylna ściana wykonana jest ze starych okien zakrytych płytą. Jeden bok zbity z kilku desek, a drugi z dwóch par

eprasa.pl d185a8d253



Turystów w Tbilisi zachwyca stare miasto. Jest prawie jak na Zachodzie, wystarczy zboczyć z głównych ulic, by...

Darka Biernat

eprasa.pl d185a8d253



Darka Biernat

...zobaczyć jedno z obliczy Gruzji. Bezdomność zwierząt to ogromny i nierozwiązany problem.



Do bezdomnych zwierząt kiedyś strzelano, teraz żyją zdane na łaskę empatycznych ludzi.

Darka Biernat

eprasa.pl d185a8d253

Jedzą resztki, śpią na starych szmatach, ale mają dach nad głową.



Darka Biernat



Darka Biernat

A nawet możliwość skorzystania z pomocy weterynarza...

eprasa.pl d185a8d253



...choć dla wielu z nich codziennością jest poszukiwanie pokarmu i spokoju na wysypisku śmieci.

epraca.pl d185a8d253



aprasa.pl d135a8d253

Przez wiele miesięcy Darka Biernat i Miłosz Szymański pomagali opiekunom bezpańskich zwierząt w Tbilisi. Do Polski przyjechali z kilkoma podopiecznymi.



Darka Biernat

drzwi ułożonych poziomo. Na przodzie rozpoznaję blat stołu i coś jeszcze. Wszystko przykryte jest dachem z pofalowanej płyty eternitowej. W środku na wybetonowanej podłodze leżą posłania ze starych koców.

– Widzisz, jak jest, państwo nie pomaga, miasto nie pomaga, robimy, co możemy, a możemy niewiele.

Inga mieszka w centrum miasta. Podobnie jak wielu innych ludzi w Batumi nie mogła patrzeć na setki bezdomnych zwierząt. Dokarmiała te, które kręciły się wokół jej domu. Z czasem około dwudziestu psów rano czekało, aż Inga przyjdzie z garnkiem kaszy z warzywami, gotowanymi na resztkach z kurczaka. Przyszedł jednak moment, w którym sąsiedzi mieli tego dość. Byli zmęczeni szczekaniem pod oknami i zabrudzonym chodnikiem. Poza tym w Gruzji ludzie często boją się psów, zakładają, że są agresywne. Do Ingi doszły słuchy, że ktoś może zlikwidować jej psy. Musiała albo przestać dokarmiać swoje stadko, albo robić to gdzieś indziej.

Każdy, kto ma własny dom, musi mieć psa i kota. Jeśli wyjeżdża za granicę, to je porzuca. Poza tym w Gruzji było ostatnio kilka wojen, w kraju przebywa dwieście tysięcy uchodźców z Abchazji i Osetii. Ludzie mają tu większe problemy niż bezdomne zwierzęta.

Spod jej domu do lotniskowego ogrodzenia jest ponad sześć kilometrów. Któregoś dnia, jeszcze w 2004 roku, zarzuciła worek na plecy i ruszyła do wcześniej upatrzonego miejsca. Wtedy był to zapuszczony teren wojskowy. Niszczały porzucone przez Armię Czerwoną budki strażnicze, a lotnisko zarastało drzewami. Inga pamiętała, że jeszcze niedawno panował surowy zakaz wstępu do tej okolicy. Lotnisko było strategicznym obiektem w razie wojny z NATO. Leżało dziesięć kilometrów w linii prostej od tureckiej granicy, czyli kilka sekund lotu myśliwcem. Kiedy Inga szła tam po raz pierwszy, nie było nowego bulwaru, tylko mało widowiskowy chodnik wzdłuż plaży. Hasające wokół niej psy zajmowały całą jego szerokość. Dotarła do pasa startowego i idąc równolegle do niego, weszła w głąb szerokiej łąki zarastającej drzewami.

Odtąd przychodziła tam codziennie dokarmiać podopiecznych. Z czasem stadko zaczęło rosnąć. Indze pomagała koleżanka, także wdowa na emeryturze. We dwie skleciły kilka bud – tak jak umiały i z tego, co dostały. W tym samym czasie Merabi handlował cukrem na bazarze. On także dokarmiał zwierzęta wokół swojego domu, z tym że jego sąsiedzi nie mieli z tym problemów. Merabi mieszkał we wsi pod miastem, a poza tym koty robią mniej hałasu niż psy. Któregoś dnia w pracy dowiedział się o kobiecie z Batumi, która zajmuje się stadkiem psów i zbiera resztki od rzeźników. Wziął worek kości wołowych i pojechał się z nią spotkać. To było w 2012 roku. Szeroki bulwar już był, rosły apartamentowce, a miasto zbliżało się do lotniska.

eprasa.pl d185a8d253

Samo lotnisko kilka lat wcześniej zostało wyremontowane, ogrodzone i przekształcone w cywilny port lotniczy. Merabi musiał zostawić samochód obok plaży, bo do schroniska Ingi nie wiodła żadna droga, tylko wąska ścieżka, rozdeptana przez krowy i poszerzona kołami traktora.

Pies i kot

Tego dnia Merabi przeżył szok. Zobaczył starszą kobietę, która buduje przytulisko dla sfory psów i nosi im jedzenie na własnych plecach. Musiał jej pomóc. Nie lubił siedzieć w domu. Sam od niedawna był wdowcem i potrzebował czegoś, co pozwoli mu odnaleźć spokój. Przyprowadził swoje koty do Ingi. Postanowili działać razem.

Stoimy obok szopy, w której mieszkają cztery suki. Jej tylna ściana wykonana jest ze starych okien zakrytych płytą. Jeden bok zbity z kilku desek, a drugi z dwóch par drzwi ułożonych poziomo. Na przodzie rozpoznaję blat stołu.

W mieście zaczęły krążyć słuchy, że gdzieś obok lotniska działa schronisko dla psów. Niektórzy przyjeżdżali z workiem karmy, inni z nadliczbowym szczeniakiem. Inga i Merabi przyjmowali jedno i drugie. Nie potrafili inaczej. Z czasem wypracowali system: Inga sprzątała i gotowała, a Merabi jeździł do miasta i przywoził resztki od rzeźników, kupował kaszę i ryż. W wolnych chwilach pakował do swojego wysłużonego forda transita kamienie i wysypywał je na drodze, żeby choć trochę ją wzmocnić. W końcu zajeździł auto na wertepach. Z pomocą dobrych ludzi kupił następne i dzień w dzień kursował między domem, bazarem a schroniskiem.

Wreszcie pojawiły się u nich pierwsze wolontariuszki. Przyjechały do Batumi z Ukrainy, Białorusi i Rosji. Przychodziły pomóc przy sprzątaniu, wożeniu zwierząt do weterynarza czy robieniu zastrzyków. Założyły też stronę na Facebooku i Instagramie, żeby zbierać pieniądze na karmę i lekarstwa. Na tę właśnie stronę wpadła moja narzeczona. Postanowiliśmy zrobić o nich film.

– Najbardziej brakuje nam ludzi, którzy pomogą przy zwierzętach. Mamy ich ponad dwieście. Przychodzą wolontariusze, ale to ciągle za mało. Musimy mieć kogoś na stałe, żeby cokolwiek zbudować, stworzyć im jakieś warunki. Mam nadzieję, że wasz film zobaczą ludzie, którym los zwierząt nie jest obojętny. Sami nie zrobimy wszystkiego, chociaż siedzimy tu do północy. Dobrze, że dostałem przepustkę na poruszanie się w czasie godziny policyjnej. Pandemia bardzo w nas uderzyła. Wszystkie hotele i kasyna, które przekazywały resztki z kuchni, są pozamykane, nie wiemy, co będzie. – Merabi rozkłada ręce.

eprasa.pl d185a8d253

Merabi wskazuje na sparaliżowaną sukę:

– Spójrz na nią. Ktoś ją potrącił i pojechał dalej. Leżała w rowie dwa dni, aż ktoś inny ją przyniósł do mnie, bo wiedział, że jej tak nie zostawię. Żyje z nami już sześć lat, zrobiliśmy dla niej psi wózek inwalidzki. Kiedy ją na niego sadzam, biega i się cieszy.

– Każdy, kto ma własny dom, musi mieć psa i kota. Jeśli wyjeżdża za granicę, to je porzuca. Poza tym w Gruzji było ostatnio kilka wojen, w kraju przebywa dwieście tysięcy uchodźców z Abchazji i Osetii. Ludzie mają tu większe problemy niż bezdomne zwierzęta. Sam przychodzę tu od kilku miesięcy. Zaczęło się od tego, że przywiozłem im pustaki i inne materiały po wykończeniu mieszkania. Postanowiłem zostać i pomóc – mówi Sasza.

Sasza przyjechał do Batumi z Rostowa nad Donem. Pracuje zdalnie i w miarę możliwości przychodzi popołudniami.

– Wiem, że mamy w kraju uchodźców i biednych emerytów, którzy nie mają za co żyć. Dlatego trudno mi jest prosić o pomoc państwową, niezręcznie bym się czuł – mówi Merabi.

Największym problemem jest epidemia nużeńca. Powoduje stany zapalne skóry i wypadanie sierści. Psy zarażają się od siebie, bo w ogrodzonych boksach żyją tylko szczeniaki, psy po operacjach i te, które nie dogadują się z innymi. Reszta biega swobodnie po całej okolicy.

– Miasto przeznacza pieniądze na kastrację, ale nie na leczenie łysych psów. Ludzie w mieście dokarmiają zwierzęta, ale nie te chore, które przeganiają, bo się ich boją. Łyse psiaki nie wiedzą, jak strasznie wyglądają. Podbiegają i chcą się bawić jak każdy pies. Tutaj przychodzą zwierzaki już nikomu niepotrzebne, które nie mają się gdzie podziać – mówi Sasza, drapiąc za uchem psa w zaawansowanym stadium łysienia.

Leczenie nużeńca wymaga podawania leków, regularnego kąpania i izolacji. W schronisku pod lotniskiem nie ma bieżącej wody, elektryczności ani ogrodzenia. Trudno jest tu cokolwiek zbudować, bo teren jest podmokły, a nawet gdyby nie był, to należy do państwa. Próby sformalizowania statusu działki trwają od dawna i póki co wszystkie wysiłki rozbijają się o mury kolejnych urzędów.

Podobnie wygląda program sterylizacji zwierząt. Kontraktorzy rywalizują w przetargu ceną, a ich działania są słabo kontrolowane. Teoretycznie każdy pies w mieście, który został zakolczykowany, powinien być bezpłodny. Jednak Merabi przyjmował już porody od suk z kolczykiem identyfikacyjnym. Podobnie wolontariuszki woziły na sterylizację czy kastrację zwierzęta, które przeszły przez państwowy program. Sam zabieg nie jest tani. W zależności od płci i wielkości psa kosztuje w Batumi od siedemdziesięciu do ponad stu lari, czyli minimum dziewięćdziesiąt złotych. Tymczasem przeciętna pensja wynosi kilkaset lari. Mało kto decyduje się tutaj na taki wydatek.

eprasa.pl d185a8d253

Utka

To tylko jeden z wielu przykładów na to, że dobrostan zwierząt nie jest w Gruzji traktowany priorytetowo. Znacznie bardziej wstrząsające dane przedstawia w swoim raporcie gruzińska organizacja pozarządowa Institute for Development of Freedom of Information, która dzięki wsparciu Międzynarodowego Funduszu Wyszehradzkiego przygotowała raport *Cruel and Ill Treatment of Animals in Georgia*[1]. Z raportu tego wynika, że w okresie od stycznia 2008 do maja 2019 roku wszczęto 195 dochodzeń w związku z artykułem 259 gruzińskiego kodeksu karnego[2] (torturowanie lub złe traktowanie zwierząt). Siedemnaście z nich doczekało się rozprawy sądowej. Na karę bezwzględnego pozbawienia wolności skazano jedną osobę, trzy otrzymały kary w zawieszeniu, a wobec trzynastu orzeczono grzywnę.

Miasto wydziela jakieś pieniądze na kastrację, ale łysych psów nie leczą. I znów ludzie na mieście dokarmiają psy, ale nie te chore. Te chore przeganiają, boją się ich. A te łyse nie wiedzą, jak strasznie wyglądają. Podbiegają i chcą się bawić, tak jak każdy pies.

Liczba dochodzeń w związku z artykułem 259 rośnie z roku na rok. W 2018 roku, ostatnim pełnym, jaki obejmuje raport, wszczęto ich sześćdziesiąt cztery. Jednak zmiana mentalności nie nadąża za zmianami prawnymi. O ile państwowy program odstrzału zwierząt już nie funkcjonuje, o tyle istnieje jeszcze inicjatywa prywatna. Strzelanie do psów w okolicy własnego domu ciągle jest zjawiskiem zbyt powszechnym. Prawdopodobną ofiarą tego procederu jest suczka, której daliśmy na imię Utka (z rosyjskiego kaczka). Strzelano do niej jak do kaczki. Została podrzucona do schroniska w połowie marca. Jej obrażenia wskazywały na potrącenie przez samochód. Była sparaliżowana. Na zdjęciu rentgenowskim widniała pokiereszowana miednica i połamane nogi. Złamania zdążyły się zrosnąć, co wskazywałoby na to, że urazy mają około czterech tygodni. Poza tym prześwietlenie ujawniło w jej ciele coś jeszcze – dwadzieścia dwa pociski śrutowe od wiatrówki. Trzy z nich znajdowały się w kręgosłupie. Utka przeżyła cztery tygodnie bez pomocy medycznej i kolejne dwa intensywnego leczenia. Czeka na wózek inwalidzki. Będzie żyć.

Merabi ma spuchniętą dłoń. Prawdopodobnie złamał sobie którąś z kości śródręcza. Prawdopodobnie, bo nie był jeszcze u lekarza. Nie ma na to czasu.

– Przez ostatnich siedemnaście lat Inga jest tu codziennie. W ciągu ośmiu lat, kiedy jej pomagam, zdarzyły się tylko dwa dni, kiedy nie mogła przyjść. Byłem wtedy sam z tym wszystkim. Nie wiem, ile ona jeszcze da radę, ma już swoje lata. Mam

[1] https://idfi.ge/public/upload/IDFI_2019/visegrad/Animal_Cruelty_Eng.pdf [dostęp: 3.04.2021].
[2] https://matsne.gov.ge/en/document/download/16426/209/en/pdf [dostęp: 3.04.2021].

eprasa.pl d185a8d253

nadzieję, że z pieniędzy, które zbieracie, uda nam się zbudować prawdziwe schronisko, z kuchnią i punktem weterynaryjnym. Trzeba mieć nadzieję, bez tego byśmy nie dali rady przez te wszystkie lata.

Merabi nie ma także czasu na czytanie. Od kilku lat nie miał książki w ręce, nie czytał dziewiętnastowiecznych pisarzy amerykańskich, takich jak Josh Billings, który powiedział kiedyś: „W całej historii świata jest tylko jedna rzecz, której nie można kupić za pieniądze… to znaczy merdanie psiego ogona".

***

Historię Ingi i Merabiego opowiedzieliśmy w filmie *Państwo po cichu chciało się ich pozbyć* dostępnym na youtube'owym kanale *Wawrzyńcem*.

Miłosz Szymański z wykształcenia jest prawnikiem i inżynierem, z zawodu mechanikiem okrętowym i reporterem. Obecnie tworzy podcast *Za rubieżą. Historia i polityka*.

eprasa.pl d185a8d253

To nie jest opowieść „o nich”

Ze Złatkiem Enewem, bułgarskim pisarzem i intelektualistą, autorem powieści *Requiem dla nikogo*, rozmawia Dominika Kardaś

DOMINIKA KARDAŚ: Podobno twoja powieść *Requiem dla nikogo* nie została zbyt ciepło przyjęta w Bułgarii.
ZŁATKO ENEW: Cóż, to prawda… Kiedy książka ukazała się dziesięć lat temu, Bułgarzy uznali ją za obraźliwą dla swojego kraju. Ale to wcale nie było dla mnie zaskoczeniem. Zareagowali jak każdy naród uderzony w miękkie podbrzusze taką wersją własnej historii, którą uznaje za bardzo wstydliwą. W dodatku uderzony przez kogoś, kto trzydzieści lat temu wyemigrował na Zachód.

A więc książka wywołała dyskusję – to chyba dobrze?

Bułgarzy mają specyficzny sposób radzenia sobie z trudną historią własnego kraju. Inaczej niż w Polsce, gdzie o takich rzeczach się dyskutuje jak w europejskim państwie, a gdy coś się wydarzy – cały świat o tym słyszy. Kiedy coś się wydarza w Bułgarii, kiedy wypływa jakiś bolesny, kontrowersyjny temat, ludzie po prostu siadają tyłkiem na tej historii i siedzą tak długo, aż całkowicie ją zaduszą. Tak było z moją książką – została wydana, rzeczywiście sprowokowała kilka dyskusji (głównie dlatego, że jestem znany w moim rodzinnym kraju jako twórca poczytnego magazynu online). Ale Bułgarzy nie chcieli o tej książce słuchać, więc przepadła. W pewnym sensie to rozumiem, nie mam żalu do moich rodaków – żyją swoim życiem, a mnie już od dawna z nimi nie ma, więc nie interesuje ich, co o ich kraju mówi gość, który wiele lat temu wyjechał do Niemiec.

***Requiem dla nikogo* rzeczywiście opowiada o bardzo trudnym kawałku bułgarskiej historii. Główna część akcji dzieje się w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku, w samym środku prowadzonego wówczas procesu przymusowej asymilacji mniejszości tureckiej.**

Powiedzmy sobie wprost, niewiele się to różniło od represji wobec ludności żydowskiej podejmowanych w hitlerowskich Niemczech. Nie zaczęliśmy co prawda wsadzać Turków do komór gazowych, ale zabraliśmy im godność, zabroniliśmy im używać ich własnego języka, zmieniliśmy nazwiska na bułgarskie. Zmieniano nawet nazwiska w książkach historycznych, żeby nie było wiadomo, że postaci ważne dla naszego kraju były

eprasa.pl d185a8d253

etnicznymi Turkami! Oczywiście motywowano to szlachetnymi zamiarami: tłumaczono, że ci Turkowie to tak naprawdę Bułgarzy, którzy w ciągu pięciuset lat, kiedy Bułgaria znajdowała się pod panowaniem imperium osmańskiego, utracili swoją tożsamość. Tylko im się wydaje, że są Turkami! Ale dzięki nam staną się na powrót tym, czym zawsze powinni być. Oczywiście to była kompletna bzdura, to byli etniczni Turcy, którzy pozostali na terenie Bułgarii po upadku imperium osmańskiego. I właściwie od tego czasu regularnie poddawano ich represjom, zazwyczaj o charakterze ekonomicznym – jednak dopiero w latach osiemdziesiątych XX wieku prześladowania przyjęły tak drastyczną formę. Trzeba to jasno powiedzieć: celem tych działań było całkowite zniszczenie mniejszości tureckiej.

Czy tematy, o których piszesz, są obecne w bułgarskiej debacie publicznej?

Szeroka publiczność bułgarska właściwie nadal reaguje na nie alergicznie, w szkołach niewiele mówi się o prześladowaniu mniejszości tureckiej. Choć – przynajmniej tak, jak to śledzę zza granicy – zaczynają się pojawiać poważne badania historyczne dotyczące tych wydarzeń. Prawda jest jednak taka, że cała narracja tożsamościowa Bułgarów została skonstruowana wokół nienawiści wobec Turków, trudno więc teraz całkowicie się jej wyprzeć. Być może w latach osiemdziesiątych XIX wieku, gdy zostaliśmy wyzwoleni przez Rosję, było to nawet, mówiąc cynicznie, potrzebne – nie ma przecież prostszego sposobu, by połączyć ludzi w podzielonym państwie niż przez nienawiść. Niestety mimo zjednoczenia przeciw wspólnemu wrogowi ponieśliśmy sromotną klęskę we wszystkich kolejnych wojnach i ta nienawiść do wspólnego wroga została w nas niezabliźniona. Tego może na pierwszy rzut oka nie widać, ale Bułgarzy do dziś są rozgoryczeni historycznymi porażkami, tym, że nigdy nie udało się stworzyć na przykład Wielkiej Bułgarii. I kto jest temu winien? Oczywiście Turkowie! Mamy nawet taki żart o cudzoziemcu, który przyjeżdża do Bułgarii. „Czemu ten autobus się tak spóźnia?" – pyta. „To wina pięciuset lat tureckiego jarzma". „A dlaczego nie działa winda?" – „To wina pięciuset lat tureckiego jarzma". W Bułgarii wszystko pozostaje winą pięciuset lat tureckiego jarzma. Ale puenta tego żartu jest taka: „Dlaczego ci Turkowie są tacy źli?" – „Bo przez pięćset lat siedzieli w Bułgarii".

W latach osiemdziesiątych mieszkałeś jeszcze w Bułgarii, na własne oczy widziałeś więc, co się wówczas działo. Jak wspominasz tamte wydarzenia, atmosferę, która wtedy panowała?

Miałem dwadzieścia parę lat i wspominam z ogromnym wstydem, jak zachowywali się moi rodacy. To zapyziałe, senne miejsce, zamieszkane przez ludzi, którzy wydawali się wiecznie pogrążeni w półśnie, nagle zmieniło się nie do po-

eprasa.pl d185a8d253

znania, ludzie byli zaślepieni nienawiścią. I wszystko to było wstrętne! Najbardziej wstydliwym wspomnieniem są dla mnie słowa mojego ojca. (Miałem najbardziej kochającego i łagodnego tatę na świecie, był mi niezwykle bliski.) Powiedział mi wtedy: „Dobrze się dzieje, chłopcze, robimy słuszną rzecz. W przeciwnym razie Turcy by nas wchłonęli – mają przecież tyle dzieci… A to jest bułgarski kraj i powinni w nim mieszkać Bułgarzy". To był dla mnie szok. W ten sposób myślała wówczas większość Bułgarów – dobrych, mądrych ludzi, których znałem. To były czasy kompletnego szaleństwa.

Jeśli chodzi o warstwę fabularną, moja książka jest fikcyjną opowieścią. Ale gdy ludzie czytają tę historię, to ich pierwsza reakcja jest zazwyczaj taka: „Dobry Boże, to wszystko prawda, właśnie tak było!". O tym mówi też cytat z *Aniołów w Ameryce*, który zamieściłem jako motto mojej książki: *„Half the time I just make it up, and it still turns out to be true!"*.

W czasie lektury uderzyło mnie to, jak pełna przemocy jest to książka. Tak właśnie zapamiętałeś swój rodzinny kraj?

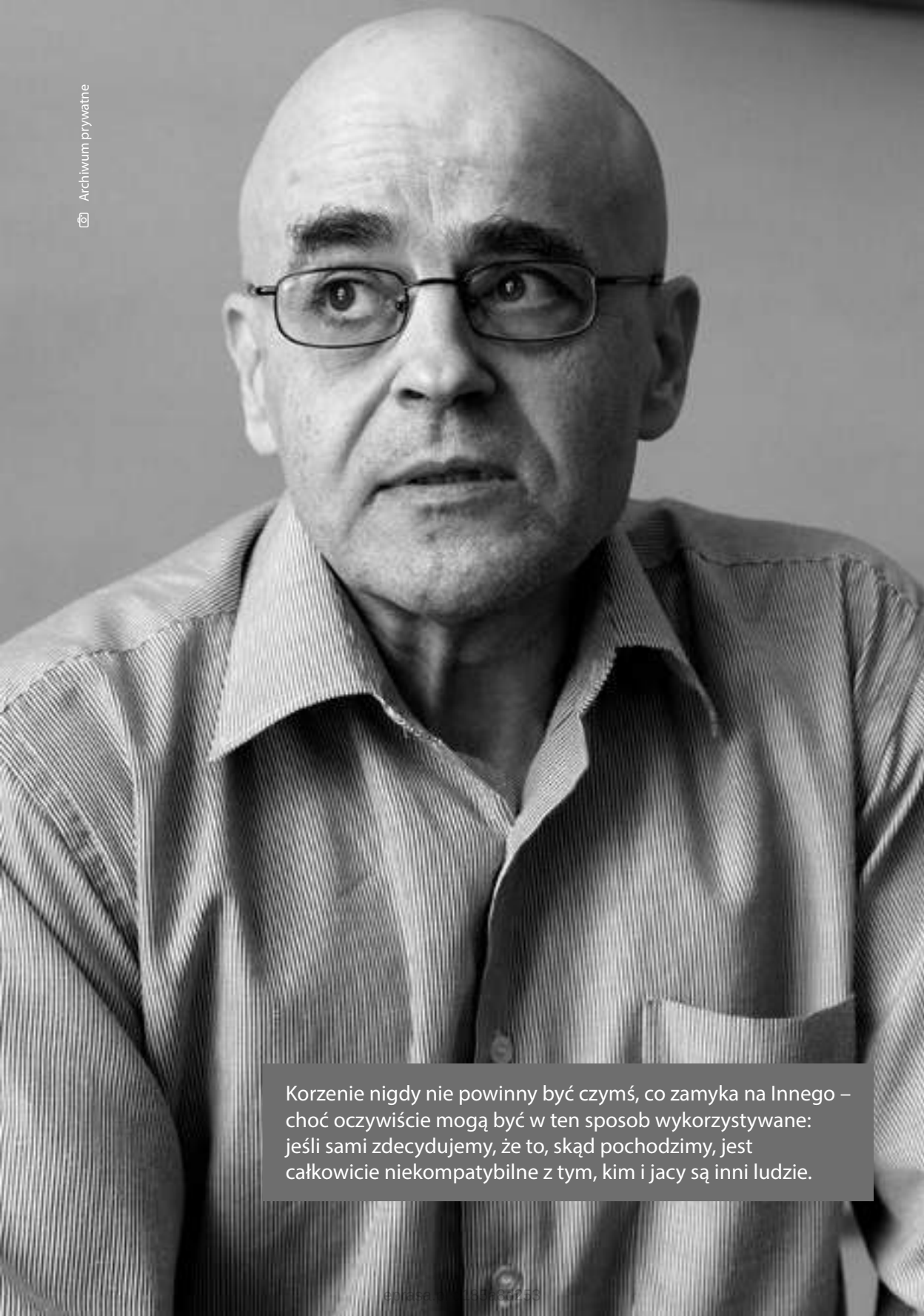
Bułgaria to kraj Południa – bardziej przypomina południowe Włochy niż Polskę czy Niemcy. Częste upały powodują nie tylko pewien specyficzny klimat geograficzny, ale także bardzo określoną atmosferę. Kiedy czytam powieści Eleny Ferrante, czuję się jak w domu – jak w miejscu, do którego należę i w którym się urodziłem. To miejsce, gdzie ludzie są tak ciasno ze sobą spleceni, że trudno się z niego uwolnić, a więc pełno w nim napięć, agresji i przemocy. Podobnie postrzegam Bułgarię.

Muszę tu jednak podkreślić, że *Requiem* nie jest tylko książką o Bułgarii. Oczywiście na najprostszym, fabularnym poziomie można tę historię odebrać jako powieść o małym zacofanym kraju, w którym działy się straszne rzeczy, a ludzie dopuszczali się okrutnych czynów. Dla mnie jednak to coś znacznie więcej, to historia o ludziach w ogóle. W naszą egzystencję od zawsze wpisana jest przemoc. Oczywiście świat się zmienia i badania współczesnych naukowców, takich jak Steven Pinker, pokazują, że statystycznie w dziejach ludzkości jest coraz mniej przemocy. Niemniej jednak pozostaje prawdą, że przemoc stanowi nieodłączne doświadczenie ludzkości. Nie chciałbym więc, żeby ta książka była odbierana jako historia o Bułgarii, o nich – to książka o nas.

Z jednej strony mówisz: „o nas", czyli traktujesz tę historię jak uniwersalną opowieść o złu, z drugiej – przemoc w Twojej książce jest bardzo mocno nacechowana genderowo: w dużej mierze to kobiety są wykorzystywane, brutalnie gwałcone i zabijane przez mężczyzn demonstrujących w ten sposób siłę. To nie ma znaczenia?

Wiele młodych Bułgarek, które czytały lub tylko słyszały o mojej powieści, było bardzo zniesmaczonych niektórymi

eprasa.pl d185a8d253



Archiwum prywatne

Korzenie nigdy nie powinny być czymś, co zamyka na Innego – choć oczywiście mogą być w ten sposob wykorzystywane: jeśli sami zdecydujemy, że to, skąd pochodzimy, jest całkowicie niekompatybilne z tym, kim i jacy są inni ludzie.

scenami przemocy seksualnej; mówiły, że to obrzydliwa książka, że nawet nie zamierzają jej tknąć. I jeśli czytać ją na poziomie dosłownym, faktycznie taka jest. Są w niej sceny okropnej przemocy seksualnej, niewyobrażalnie wręcz bestialskiej i sadystycznej. Moi bohaterowie są skażeni złem, a jedyne pozytywne bohaterki to kobiety, dwie Marie: Marion, Niemka, która uczy swojego języka w bułgarskiej szkole, a potem wraca na Bałkany jako pracowniczka humanitarna, i Maria, młoda dziewczyna, która zakochuje się w romskim chłopcu i za sprawą swojego ojczyma staje się ofiarą handlu ludźmi. Ale ona ma z kolei wokół siebie pewną aurę świętości. Jest męczennicą, zostaje poświęcona i to stawia ją poza kategoriami dobra i zła. Staje się nietykalna. Jeśli chodzi o mężczyzn, to rzeczywiście nie można o nich powiedzieć nic dobrego.

Wśród nich wyjątkowo odpychającą postacią jest młody Nikoła – dewiant i psychopata. Co więcej, jest on przedstawicielem nowego pokolenia, ukształtowanego przez wszechobecną przemoc. Czy to symboliczna postać, ostrzeżenie przed tym, do czego prowadzi kultura nienawiści i opresji?

Nikoła nie jest dla mnie nikim więcej niż swoją własną historią. Nie uważam też, by był potworem. Oczywiście, popełnia wiele potworności, ale… Cóż, jedna z podstawowych zasad związanych z pisaniem jest taka, że jeśli nie potrafisz utożsamić się ze swoimi bohaterami, nie potrafisz czuć i myśleć jak oni, nie jesteś w stanie stworzyć o nich przekonującej historii. Mogę więc powiedzieć tak jak Flaubert: Nikoła to ja. Wiem, że sporo ryzykuję, mówiąc to, ale wiele scen, wiele z tych impulsów, które targają Nikołą, ma charakter autobiograficzny. One przydarzyły się mnie, nikomu innemu. Doświadczenie przemocy ze strony matki, która potrafiła zmusić dziecko do zjedzenia własnych wymiocin – to są moje własne wspomnienia. A więc historia Nikoły mogła stać się moim udziałem, gdyby nie czuwał nade mną jakiś dobry anioł.

Nie sądzę, żeby Nikoła mógł stać się synonimem straconego pokolenia, które wyrosło w chorym, kipiącym od napięć społeczeństwie. To wydaje mi się dość fatalistyczną wizją, a ja jednak wierzę, że zawsze jest jakaś alternatywa. Sam jestem tego przykładem – z jednej strony potrafiłem opisać doświadczenie Nikoły, z drugiej – to, że jego los nie był mi w jakimś sensie obcy, nie czyni mnie potworem. Oczywiście, dostawałem nieraz wprost pytania: czy jest pan zboczeńcem seksualnym? Bo jak inaczej można wymyślić i napisać tak odrażającą postać? Zwykle odpowiadam wtedy: ocena należy do was.

Ale *Requiem dla nikogo* jest też historią zemsty – w finałowych scenach Maria przejmuje kontrolę, staje się narratorką własnej opowieści i mści się na oprawcy.

Za tym zakończeniem stoi też dość dziwna historia – zabrzmi może nie-

eprasa.pl d185a8d253

prawdopodobnie, ale jest w stu procentach prawdziwa. Pisałem *Requiem* przez pięć lat, od 2006 do 2011 roku. Dla mnie to raczej nietypowe – zwykle gdy zaczynam nad czymś pracować, kończę dość szybko. Ale z tą historią kompletnie nie mogłem sobie poradzić. Gdy doszedłem do decydujących, najbardziej brutalnych scen, poczułem, że brakuje mi języka, by o tym opowiedzieć. To było coś tak niewyobrażalnie okrutnego i nieludzkiego, że nieważne jak bardzo się starałem, moje słowa brzmiały albo zbyt chłodno, albo jak z rynsztoka. Zdawałem sobie sprawę, że obie opcje są niedopuszczalne.

Requiem przeleżało więc kilka lat w szufladzie. I wtedy wydarzyło się coś naprawdę przedziwnego, wręcz cudownego. Pewnego dnia nad ranem, gdy już nie spałem, ale jeszcze do końca się nie obudziłem, przyszła do mnie Maria i powiedziała: „Wiesz co, ty już swoje zrobiłeś. Teraz moja kolej, żeby przemówić". I w tym dziwnym śnie zaczęła opowiadać historię swojego gwałtu. To brzmiało jak zupełnie inna opowieść. Po bułgarsku opowieść Marii jest zaskakująco lekka, wręcz dowcipna. Maria mówi językiem bułgarskiego folkloru. A bułgarski folklor – jak każdy inny – jest polem ekspresji wielkiego bólu i smutku, wykształcił więc własny język. Mowa Marii jest jak ludowa piosenka, ma taki sam rytm. Nie znam języka polskiego i nie wiem, czy to się udało zachować w tłumaczeniu…

Ja nie znam bułgarskiego, ale w polskim przekładzie też słychać różnicę między językiem Marii i narratora, który opowiada pozostałą część historii.

W takim razie chciałbym ogromnie pogratulować tłumaczce, pani Hannie Karpińskiej. I podziękować jej, że przez dekadę walczyła o to, by wydać tę książkę po polsku. Jestem jej dozgonnie wdzięczny. Nie sądziłem, że to się uda, kiedy dziesięć lat temu przyszła do mnie i powiedziała, że przeczytała *Requiem* i że chciałaby je przetłumaczyć. A jednak!

Na koniec chcę Cię zapytać o korzenie. Dużo się o nich mówi w *Requiem*, a najwięcej chyba mają na ten temat do powiedzenia najbardziej negatywni bohaterowie. Postrzegasz korzenie jako coś, co nas usidla, zamyka na Innego?

Korzenie nigdy nie powinny być czymś, co zamyka na Innego – choć oczywiście mogą być w ten sposób wykorzystywane: jeśli sami zdecydujemy, że to, skąd pochodzimy, jest całkowicie niekompatybilne z tym, kim i jacy są inni ludzie; jeśli uznamy, że nie możemy być dumnymi przedstawicielami swojego narodu, a jednocześnie obywatelami świata. Moja twórczość stanowi część wielkiej (i wciąż rosnącej) fali literatury pisanej przez ludzi, którzy urodzili się w jednym miejscu, a potem zamieszkali w innym. A więc motyw korzeni, odcinania ich lub życia z nimi w zupełnie innym miejscu to temat, który osobiście mnie dotyka. Tak długo żyję poza Bułgarią, poza miejscem, które mógłbym nazwać domem, że mó-

eprasa.pl d185a8d253

wienie o rzeczach takich jak patriotyzm czy ojczyzna wydaje mi się przestarzałe.

Po trzydziestu latach na emigracji nadal piszesz o Bułgarii, prowadzisz bułgarskojęzyczne czasopismo – i nie czujesz się patriotą?

Nie nazwałbym się bułgarskim patriotą (ani tym bardziej niemieckim) i właściwie trudno mi siebie opisać w jakichś powszechnie używanych terminach. Owszem, jedynym językiem, w jakim potrafię tworzyć, jest bułgarski, ale od tak dawna nie identyfikuję się z moim krajem, że język nie ma dla mnie większego znaczenia. Gdy przyjeżdżam do Bułgarii – odwiedzam obce miejsce. Naprawdę uważam, że pojęcie patriotyzmu, tak jak klasycznie je rozumiemy, powinno odejść do lamusa, a wiele osób nie chce się z tym pogodzić, boją się tego procesu zacierania granic. I dlatego boją się obcych, tak jak Bułgarzy bali się Turków w latach osiemdziesiątych: „zabiorą nam ziemię, pracę, wchłoną nas, zmienią". Nigdy nie chciałbym się pod czymś takim podpisać.

Złatko Enew jest bułgarskim pisarzem, twórcą i redaktorem naczelnym portalu Librev.com. Studiował filozofię na Uniwersytecie Sofijskim, gdzie w 1989 roku uzyskał tytuł doktora. Krótko po upadku muru berlińskiego opuścił rodzinny kraj, by zamieszkać w stolicy Niemiec. *Requiem dla nikogo* to jego pierwsza książka przetłumaczona na język polski (tłum. Hanna Karpińska, Wydawnictwo Książkowe Klimaty).

eprasa.pl d185a8d253

Recenzje

Nie ma już



Robert Nowakowski, *Ojczyzna jabłek*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2021

„Zabranie głosu jest często aktem empatii" – pisała Rebecca Solnit w eseju *Krótka historia milczenia* poświęconemu unieważnianiu głosu kobiet. Czytałam ten tekst równolegle z *Ojczyzną jabłek* Roberta Nowakowskiego, który „zabrał głos" w sprawie historii Bojków, Łemków, uzupełnił lukę dotyczącą opowieści o akcji „Wisła". Zabierając głos, autor nie zawłaszcza historii wschodniosłowiańskich mniejszości, skrupulatnie snuje opowieść o powojennej Polsce, zwraca uwagę na pełną niuansów tkankę wielonarodowych i wieloetnicznych społeczności gór i pogranicza. *Ojczyzna jabłek* opowiedziana jest głosem empatycznym, otwierającym i ważnym. Nowakowski nie rości sobie prawa do mówienia za kogoś, występuje natomiast w imieniu grupy, której opowieść nie została usłyszana – całe szczęście, że przyjął taką postawę, ponieważ w „odpominaniu" tego rodzaju historii bardzo łatwo o krzywdzący paternalizm.

W popularnych opracowaniach dotyczących akcji „Wisła" można przeczytać, że wysiedlenia i deportacje z południowo-wschodniej Polski na ziemie zachodnie objęły ponad 140 tysięcy Ukraińców i mieszanych rodzin polsko-ukraińskich. Akcja „Wisła" była planowanym działaniem o charakterze polityczno-wojskowym skierowanym przeciwko Ukraińskiej Powstańczej Armii i Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów działających wówczas na terytorium Rzeczpospolitej Ludowej. Miała na celu rozproszenie i zlikwidowanie partyzantki. W konsekwencji jednak w masowych brutalnych deportacjach, wysiedleniu całych wsi, zniszczeniu domostw, obozie pracy w Jaworznie, transporcie w wagonach bydlęcych ucierpiało 140 tysięcy ludności cywilnej. Nie tylko niewinnych Ukraińców, ale także Bojków, Łemków i Dolinian, którzy zostali – jako wschodniosłowiańskie mniejszości chodzące do cerkwi i mówiące w „swoim" niepolskim języku – zaklasyfikowani jako zagrożenie w brutalnej

eprasa.pl d185a8d253

akcji funkcjonariuszy generała Stefana Mossora. Te uproszczenia dotyczące grup etnicznych są do dziś powielane w przestrzeni politycznej (wystarczy przypomnieć rok 2017, kiedy prezydent RP odmówił objęcia patronatem 70. rocznicy obchodów akcji „Wisła"), ale także społecznej – uwrażliwianie na temat odrębności tożsamościowej (od Ukrainy), na przykład Łemków, uchodzi w oficjalnej debacie za fanaberię. Wydarzenia powojenne, w tym akcja „Wisła", uwidoczniły różnice, które świadczą o niezależności pochodzenia i odrębności tradycji.

W wydanej w 2007 roku przez Stowarzyszenie Łemków książce jednego z najważniejszych łemkowskich pisarzy współczesnych Petra Murianki *A Wisła dalej płynie* można przeczytać dedykację, która brzmi: „Sąsiadom naszym Polakom, z wiarą – że zechcą przeczytać i spróbują zrozumieć – poświęcam". Odnoszę wrażenie, że Robert Nowakowski swoją książką podejmuje próbę, o której pisał Murianka, jednocześnie rozszerzając zakres odczuwania, pole widzenia obejmuje także losy grupy, która ma swoją odrębność, a której się nie dostrzega. To właśnie o różnorodności (bez popadania w tony arkadyjskiego mitu wielokulturowych społeczności), uwrażliwieniu na różnice, o pełnym napięć czasie po zakończeniu wojny, a przede wszystkim o potrzebie przynależności traktuje *Ojczyzna jabłek*.

Głównym bohaterem powieści jest Jelko Rabik z Pasiki (w Bieszczadach), który pochodzi z rodziny bojkowskiej. Jelko zakochany jest w Ninie z sąsiedniej wsi, która pochodzi z mieszanej polsko-łemkowskiej rodziny. Z kolei ojciec Jelka w ziemiance na podwórzu ukrywa przed nazistami Żyda Mozesa (i jego wiewiórkę Vaverke). Wokół losów tych trzech postaci zbudowana jest fabuła *Ojczyzny jabłek*. Jak pisze sam Nowakowski w *Posłowiu*, określenie „Bojkowie" to „koncept etnografów". Bojkowie są góralami mieszanego rusińsko-wołoskiego pochodzenia, którzy (historycznie) na zachodzie sąsiadowali z Łemkami, a na wschodzie z Hucułami. Autor rozpoczyna powieść od sceny z chmarnikiem, który według bojkowskich wierzeń posiadał moc, by przeganiać chmury nad wsią. Nowakowski w sposób inteligentny zaznacza odrębność Bojków – przedstawia ich kosmogonię, obrzędy, tradycje, ale też ujawnia cechy charakteryzujące tę grupę, na przykład małomówność, skrytość.

Historia Jelka, Niny i Mozesa przypada na powojnie, czas akcji „Wisła", lata pięćdziesiąte i sześćdziesiąte, kiedy rozpoczynają się prześladowania, napięcia, deportacje i wykorzenienia ludności, ale także poszukiwania żydowskich krewnych. Mozes ukrywający się przed Niemcami teoretycznie w 1945 roku może opuścić schronienie, natomiast nad Bojkami, Łemkami i mieszanymi rodzinami zbierają się czarne chmury. Najbardziej przejmujące opisy w powieści Nowakowskiego dotyczą brutalnych deportacji, wywózek w wagonach bydlęcych na zupełnie obce obszary (w których pora roku różni się od tej zostawionej w górach), poszu-

eprasa.pl d185a8d253

kiwania zagubionych krewnych, układania życia na nowo. W powieści pojawia się także kontekst obozu pracy w Jaworznie, który uchodzi za „wzorcowy polski łagier", obóz koncentracyjny „bez pieca", a to, co się w nim działo, kwalifikowane jest przez historyków jako zbrodnia przeciw ludzkości. Pobyt w tym miejscu odciska swoje piętno na życiorysach bohaterów *Ojczyzny jabłek*.

W swojej powieści Nowakowski pisze także o próbie dopasowania swojej tożsamości do nowego miejsca, zastanawia się nad tym, jak konkretny krajobraz determinuje to, kim jesteśmy. Okazuje się bowiem, że bez ziemi, w którą głęboko zostały zapuszczone korzenie bohaterów, nie mogą oni czuć się w pełni sobą. Bojkowie i Łemkowie na nowych terenach byli często stygmatyzowani (uważano ich za członków UPA), nie czuli się przynależni do społeczności i powoli zaczynali milczeć: o przeszłości, zwyczajach i obrzędach. Milczeli także w dosłownym sensie, bali się mówić, bo akcent, niewłaściwe użycie słów zdradzały ich pochodzenie, które okazało się powodem wstydu. Milczenie staje się fundamentem wielopokoleniowej traumy. Powrót „do domu" okazuje się niemożliwy – w opuszczonych wsiach nie ma już śladu po wielokulturowej obecności.

Mimo że książka Nowakowskiego na poziomie literackim nie jest wolna od potknięć (pojawia się tu kilka zbędnych wątków, a niektóre, tak jak opowieść o ojcu Niny powracającym z obozu w Jaworznie, domagają się rozszerzenia; zbyt „tekturowa" wydaje się na przykład postać Mozesa, który jako Żyd ze wschodniej części Polski już z nadania jest dziwny), uważam, że to powieść ważna, ponieważ przerywa milczenie na temat zapomnianego fragmentu historii Polski, która – co warto podkreślać – nie jest wyłącznie historią Polaków.

Urszula Pieczek

Jak to z Kozakami było



Leszek Szerepka, *Kozacy w Rosji Borysa Jelcyna (1989–1999)*, Studium Europy Wschodniej UW, Warszawa 2020

Na początku uwaga tylko pozornie techniczna: w polszczyźnie przyjęło się zapisywać słowo „Kozak" wielką literą – tak jak określenia ludzi zamieszkujących poszczególne kontynenty, kraje, regiony czy prowincje, a także członków narodów, plemion, grup etnicznych. Sprawę przesądza przynależność Kozaków do jedynej w swoim rodzaju wspólnoty o charakterze wojskowo-rolniczym, która ukształtowała się na terenie Ukrainy i południowej Rosji, tworząc odrębny, wolny stan (słownik poucza, że Kozakiem możemy nazywać również potomka tej ludności). Rzecz jasna, „kozak" jako żołnierz kozackiej formacji wojskowej będzie pisany literą małą – huzara czy kirasjera też przecież nie piszemy wielką literą – ale nas interesuje kozactwo:

eprasa.pl d185a8d253

specyficzny żywioł uważający się czasem nawet za samodzielny naród. Tymczasem Leszek Szerepka konsekwentnie unika wielkiej litery, argumentując, że dzisiejsi „kozacy" są najwyżej grupą społeczną, subkulturą lub właśnie formacją militarną. A ponieważ przyłącza się do nich coraz więcej osób niemających żadnych kozackich korzeni, zasadne jest, jak uważa, mówienie wręcz o „neokozakach" i „neokozactwie". Już zatem na poziomie ortografii autor stawia tezę, że mamy do czynienia ze zjawiskiem, co prawda, nawiązującym do przeszłości, ale w swojej istocie nowym.

Szacuje się, że w przededniu I wojny światowej do stanu kozackiego należało w Rosji od 4,2 do 4,5 miliona ludzi, co stanowiło około 2,5 procent ludności państwa. Kozacy uchodzili za ostoję samodzierżawia. Strzegli rosyjskich granic, ochraniali dwór i carską rodzinę. Bili się we wszystkich wojnach, jakie toczyło imperium Romanowów. Tłumili też powstańcze zrywy podbitych narodów. Żołnierkę łączyli z pracą na roli oraz ultraortodoksyjnym prawosławiem. W wojnie domowej część z nich opowiedziała się po stronie czerwonych, ale bolszewicy i tak pozbawili Kozaków wszystkich przywilejów i spacyfikowali zamieszkałe przez nich ziemie. Represje i prześladowania ciągnęły się do późnych lat trzydziestych XX wieku, Kozacy długo nie mogli na przykład służyć w wojsku. Za Chruszczowa i Breżniewa kozactwo sprowadzało się do cepeliowskiego folkloru i zespołów pieśni i tańca.

Kozacki ruch zaczął odradzać się na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XX wieku, na fali pierestrojki i narodowego przebudzenia zamieszkujących ZSRR mniejszości (na Kaukazie Północnym dochodziło do konfliktów pomiędzy neokozakami a przedstawicielami tamtejszych górskich narodów). Proces był żywiołowy i – jak przekonująco pisze Szerepka – spontaniczny, często oddolny: „jeżeli nawet dochodziło do inspiracyjnych działań ze strony KGB i przedstawicieli nomenklatury komunistycznej, to nie miały one decydującego znaczenia". Wkrótce w całej Rosji (i nie tylko – także w kilku innych państwach powstałych na gruzach ZSRR, między innymi w Kazachstanie) działały już setki kozackich organizacji, skupiających wielotysięczne rzesze członków i sympatyków. Szerepka podkreśla, że był to „najbardziej masowy ruch organizujący rosyjską prowincję".

Ówczesne kozactwo – czy też neokozactwo – charakteryzowała wielka różnorodność, by nie powiedzieć – pstrokacizna. Do starych podziałów na Kozaków czerwonych i białych (a raczej ich potomków czy spadkobierców) doszły kolejne: na tych „z dziada pradziada" i tych „bez korzeni" oraz „stanicznych" (dawniej mianem stanicy określano wsie garnizonowe, teraz – wszystkie wsie, gdzie mieszkali Kozacy) i „asfaltowych" (miejskich). Jedni działacze widzieli w kozactwie trampolinę do kariery politycznej na szczeblu lokalnym, centralnym, a nawet międzynarodowym (na dawnych ziemiach Ob-

eprasa.pl d185a8d253

wodu Wojska Dońskiego proklamowano Republikę Dońską), inni – przepustkę do biznesu (wielu neokozaków założyło firmy ochroniarskie, które czasami współdziałały z mafią). W pewnej stanicy pod Krasnodarem urzędowało czterech atamanów, wybranych przez cztery niezależne od siebie „kręgi", czyli zebrania Kozaków z danej wspólnoty. Władimir Czernyszew, znawca kozackiej tradycji i Kozak od pokoleń, w książce wydanej w 1992 roku w Mineralnych Wodach pisał: „Narzuca się naturalne pytanie, czym są kozackie wspólnoty i co to jest Związek Kozaków – jakiś ruch *nieformałów*, kozacka partia pracy, towarzystwo wzajemnej adoracji, zespół folklorystyczny, stronnictwo patriotów? I jak to wszystko objaśnić prostemu Kozakowi? A objaśniać przyjdzie. Już dzisiaj Kozacy gniewnie domagają się odpowiedzi – »Podnieciliście, poruszyliście kozacką duszę i co dalej?« Rzeczywiście – i co dalej?".

Do końca „dekady Jelcyna" ten amalgamat utrząsł się i uspokoił. Maksymalistyczne postulaty ruchu, obejmujące zwrot zajętych przez bolszewików ziem i odtworzenie kozackich formacji zbrojnych oraz jednostek militarno-administracyjnych (czyli „wojsk"), okazały się mrzonką – choć na początku wcale nie było to takie oczywiste. Przyjmowane w kozackich organizacjach historyczne nazwy, takie jak wojsko czy sotnia, tchnęły jednak mocno anachronizmem, zaś sztukowane umundurowanie – wręcz operetką. A cały ruch okazał się zbyt słaby i za bardzo wewnętrznie podzielony, by wymóc na nie najsilniejszym wszak w tamtym czasie rosyjskim państwie większe koncesje. Dziś, trzy dekady później, kozactwo podporządkowane jest już ściśle, choć nieformalnie, władzom centralnym. Jak zauważyła Jolanta Darczewska (*Kozacy Putina. Folklor, biznes czy polityka?*, zeszyt Ośrodka Studiów Wschodnich z grudnia 2017 roku): „Niedookreślony status prawny, polityczny i społeczny kozaków umożliwia Kremlowi obsadzanie ich w różnych rolach – od paramilitarnej organizacji, która ma dbać o wychowanie młodzieży w duchu patriotyzmu i posłuszeństwa obywatelskiego, poprzez rolę ochotniczej straży pożarnej i straży leśnej, rezerwy policji do profilaktyki przestępczości, walki z terroryzmem, ekstremizmem i nielegalną migracją, po rolę nieregularnych sił walki informacyjnej, sił obrony cywilnej i obrony terytorialnej". Z kolei w propagandzie kozactwo przedstawiane jest jako moralnie czysta siła, strzegąca konserwatywnych prawosławnych wartości i przeciwstawiająca się zgniliźnie Zachodu.

Książka Leszka Szerepki, przygotowana na podstawie jego doktoratu, mówi o latach dziewięćdziesiątych XX wieku, w których neokozactwo się ukształtowało. W tymże okresie wypracowane zostały także główne założenia polityki państwa wobec ruchu (wprowadzenie państwowego rejestru stowarzyszeń kozackich). Dekada ta określiła wreszcie miejsce neokozaków na mapie współczesnej Rosji. Praca *Kozacy w Rosji Borysa Jelcyna* jest zatem, siłą rzeczy, czymś więcej niż monografią

eprasa.pl d185a8d253

ciekawego zjawiska z historii najnowszej. Jak czytamy we wstępie: „proces odradzania się rosyjskiego kozactwa pozwala lepiej zrozumieć mentalność całego rosyjskiego społeczeństwa, jego stosunek do własnych tradycji oraz do roli Rosji w świecie. Kozactwo zawsze było integralną częścią rosyjskiego dyskursu imperialnego, a obecnie wpisuje się w przestrzeń »ruskiego miru«. Kozacy uważali, że Rosja jest tam, gdzie są ich stanice. W tym kontekście interesujące są próby zakorzenienia kozactwa w bezpośrednim sąsiedztwie Polski – w obwodzie kaliningradzkim czy na Białorusi. Historyczna rola kozaków w utrzymaniu podbitych terytoriów oraz w ochronie granic byłego imperium jest trudna do przecenienia. Obecnie oficjalny stosunek do tej tradycji oraz próby jej odradzania mogą być traktowane jako istotny wskaźnik oceny rosyjskiej doktryny państwowej. (…) Kozacy, podkreślający swój służebny stosunek wobec państwa, mogą być naturalnym zapleczem dla polityków przekonanych o szczególnej misji cywilizacyjnej Rosji w świecie".

Książka podzielona jest na pięć rozdziałów. W pierwszym autor przedstawia dzieje Kozaków jako stanu i ich miejsce w carskiej Rosji, a także losy kozactwa w czasie wojny domowej i w okresie radzieckim. Kolejne odpowiadają czterem wyrazistym podokresom „dekady Jelcyna": schyłkowemu ZSRR (1989–1991); tak zwanej republice sierpniowej charakteryzującej się stałym konfliktem pomiędzy prezydentem a Zjazdem Deputowanych Ludowych (1991–1993); formowaniu się rządów prezydenckich (1994–1996, od przyjęcia konstytucji do wyborów, w których ponownie zwyciężył Jelcyn; podokres ten obejmuje też I wojnę czeczeńską); wreszcie ostatnim latom rządów Jelcyna, zakończonych jego dymisją, po której władzę objął Władimir Putin (1996–2000, pod koniec tego podokresu wybuchła II wojna czeczeńska). W zakończeniu autor wspomina o wydarzeniach, które nastąpiły później, omawiając między innymi uchwaloną w 2005 roku ustawę *O służbie państwowej rosyjskiego kozactwa* oraz opublikowaną w 2008 roku *Koncepcję polityki państwowej wobec rosyjskiego kozactwa*. Poszczególne rozdziały – poza pierwszym odnoszącym się do bardziej odległej przeszłości – rozpoczyna przegląd najważniejszych procesów i wydarzeń w danym podokresie w życiu politycznym Rosji. Przyjęty układ chronologiczny – w przeciwieństwie do problemowego – wymusza niejako powtórki (poszczególne wydarzenia ogólnorosyjskie najpierw wspominane są w części przeglądowej, następnie zaś omawiane w kontekście danego etapu rozwoju ruchu neokozackiego), wydaje się jednak, że jest to zabieg usprawiedliwiony. Łatwiej w ten sposób zapanować nad bardzo bogatym materiałem faktograficznym. Niezależnie od koncentracji na formującej się w okresie Jelcyna „kozackiej" polityce państwa oraz na działalności głównych organizacji kozackich autor nie traci z pola widzenia aktorów drugoplanowych w rodzaju lokalnych atamanów,

eprasa.pl d185a8d253

a w przypisach nie unika ubarwiających narrację „smaczków".

Zaletą pracy Szerepki jest (poza jej nowatorskim charakterem, bo nie licząc opracowań OSW, neokozactwo rzadko bywa przedmiotem pogłębionej refleksji polskich badaczy) właśnie faktograficzne bogactwo, efekt mrówczej pracy autora. Mimo że w bibliografii zabrakło kilku pozycji, choćby wspomnianej wyżej książki Czernyszewa (*Казачество и его традиции* – „Kozactwo i jego tradycje") czy pracy Oksany German i Andrzeja Kiblickiego (*Политико-правовой анализ положения казачества Юга России: история и современность* – „Polityczno-prawna analiza sytuacji kozactwa południa Rosji: historia i współczesność", Moskwa 2010), nie sposób zarzucić autorowi nierzetelności. Robi wrażenie zwłaszcza wykaz ponad dwudziestu rosyjskich czasopism: dzienników, tygodników i miesięczników (a także serwisów dwóch rosyjskich agencji prasowych i PAP-u), których całe roczniki Szerepka przewertował. Owszem, chciałoby się, aby oprócz wydań centralnych znalazły się na tej liście czasopisma lokalne, choćby założony w 1990 roku w Nalczyku i dostępny w ogólnorosyjskim obiegu tygodnik „Северный Кавказ" („Kaukaz Północny"), ich obecność nie wpłynęłaby jednak raczej na wnioski ogólne, dostarczając najwyżej dalszych „smaczków" oraz informacji kontekstowych. Przy ewentualnym wznowieniu warto natomiast pomyśleć o przeprowadzeniu i dołączeniu do książki wywiadów z szybko starzejącymi się animatorami kozackiego odrodzenia – jeden ze ciekawszych działaczy Piotr Fiedosow, pierwszy ataman Kaukaskiego Wojska Liniowego, skończył niedawno osiemdziesiąt cztery lata.

Za pewną wadę pracy uznać można z kolei kronikarską – i będącą skądinąd u historyka cnotą – skrupulatność i drobiazgowość. Aby dotrzeć do odpowiedzi na postawione przez Szerepkę pytania badawcze, trzeba przekopać się przez gęstwinę dat, nazwisk i faktów, wśród której możemy stracić z pola widzenia las procesów i tendencji. Zagubić się w niej jest tym łatwiej, że materia pracy to w Polsce, jako się rzekło, niemal *terra incognita*. A są to pytania ważkie: „Na ile opisywane procesy były inspirowane i sterowane przez struktury polityczne, a na ile świadczyły o sile archetypów kulturowych? Czy pojawienie się kozaków, z których część uznała się za odrębną grupę etniczną, było odpowiedzią na autentyczne oczekiwania społeczne, czy raczej próbą wykorzystania sprzyjającej koniunktury politycznej przez część elit regionalnych? Czy władze centralne były zainteresowane rozwojem ruchu i czy miały plany jego wykorzystania w interesach państwa? Jaki był stosunek społeczeństwa rosyjskiego do neokozaków i co wpływało na jego kształtowanie?". Nie przytoczę końcowych, ciekawych wniosków autora, nie chcąc odbierać czytelnikowi przyjemności samodzielnego śledzenia jego wywodów, powtórzę jedynie, że zdaniem Szerepki odradzanie się kozactwa miało zasadniczo charakter oddolny.

eprasa.pl d185a8d253

Niestety, nie sposób nie odnieść się jeszcze do skandalicznej redakcji i korekty. Trudno byłoby przejść nad nimi do porządku dziennego nawet przy wydaniu popularnym. W pracy *stricte* naukowej, która ukazuje się w wydawnictwie akademickim, ich poziom woła o pomstę do nieba. Zacznę od dyskusyjnego pomysłu z tłumaczeniem przytaczanych w przypisach obcojęzycznych tytułów artykułów czy depesz agencyjnych. Czytelnikowi być może ułatwi to lekturę, utrudni mu natomiast ewentualne dotarcie do materiału wyjściowego. Tym bardziej, że prawie każdy tytuł można przełożyć na kilka sposobów. I tu dochodzimy do kwestii tłumaczeniowych. Otóż w spolszczanych fragmentach – i nie tylko tam – zbyt często trafiają się rusycyzmy. Pracujące w obydwu językach osoby wiedzą, jak trudno ich uniknąć, jednak redaktor powinien je wyłapać i zaproponować polski odpowiednik. Są to chociażby: „obraz życia" (styl, sposób życia), „niesienie służby" (jej pełnienie), „osądzanie" (potępianie), „samookreślenie się" (samostanowienie), opora państwowości (oparcie, opoka), czy „prosto tak" (tak po prostu). Zamiast Ałtajczyków mamy Ałtajców, Kozacy tereccy raz zapisywani są w taki sposób, a raz jako „terscy", i tak dalej.

Inne przykładowe błędy to „Północny Kaukaz" i „Północna Osetia" (powinno być: Kaukaz Północny, Osetia Północna, bo inaczej nie jest to nazwa regionu czy republiki, ale geograficzna część danego terytorium, jak północne Mazowsze), czy „Stawropol" w rozumieniu regionu, a nie miasta (powinien być Kraj Stawropolski, ewentualnie Stawropolszczyzna). Z litości pominę błędy fleksyjne oraz częste i denerwujące, bo wybijające z rytmu lektury, błędy interpunkcyjne, pominę także błędy ortograficzne oraz literówki. Jako przykład edytorskiego niechlujstwa zacytuję jedynie zdanie: „Był z urodził zawodu agronomem" (przypis 175).

W książce nie dopilnowano również składu. W rezultacie w początkowych rozdziałach część przypisów „przejeżdża" na następne strony, co nie pomaga w lekturze. Być może z tego też powodu numery stron podane w indeksie przy poszczególnych nazwiskach są niekoniecznie poprawne (według indeksu wspomniany Piotr Fiedosow powinien być wzmiankowany po raz pierwszy na stronie 77, a jest na stronie 79; rzecz jasna, nie sprawdzałem wszystkich nazwisk ani nazw geograficznych).

Praca Szerepki ukazała się w jubileuszowej serii Studium Europy Wschodniej Uniwersytetu Warszawskiego „30 tomów na 30-lecie". Nie sposób nie pochwalić tak zacnego uczczenia okrągłej rocznicy powstania tej zasłużonej instytucji, wydaje się jednak, że ilość (duża liczba książek, które przygotowano do druku) odbiła się na jakości (edytorskiej). Przynajmniej stało się tak w przypadku *Kozaków w Rosji Borysa Jelcyna (1989–1999)*.

Wojciech Górecki

eprasa.pl d185a8d253

Wołyń, czyli rubieże



Natalia Bryżko-Zapór, *Pogranicze wszystkiego. Podróże po Wołyniu*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2021

„Wołyń istnieje i żyje własnym życiem. Tuż za miedzą. Przy granicy z Polską. Po ukraińskiej stronie Bugu. Ale w polskiej świadomości pozostaje głównie nostalgicznym mitem z okresu dawnej świetności Rzeczypospolitej oraz pamięcią o wojennym koszmarze. Choćby dlatego warto przyjrzeć się temu miejscu bliżej i zobaczyć, czym jest obecnie. Poznać dzisiejsze troski i radości jego mieszkańców. Dowiedzieć się, co pozostawił im wczorajszy dzień" – tak zachęca do lektury swojej reporterskiej książki Natalia Bryżko-Zapór, dyplomatka, dziennikarka, tłumaczka z języka rosyjskiego i ukraińskiego.

Autorka na początku lat dziewięćdziesiątych była korespondentką Radia Wolna Europa w Moskwie, ponadto kierowała redakcją w Polskim Radiu, pracowała w Polskiej Agencji Prasowej, a także – w latach 2001–2005 – w Ambasadzie RP w Kijowie, zaś w latach 2013–2017 pełniła funkcję dyrektora Instytutu Polskiego w Petersburgu. Już te informacje biograficzne wskazują, że tematyka wschodnia była i jest jej niezmiernie bliska. Warto też wspomnieć, że w 2018 roku założyła Fundację Partnerstwa dla Europy Środkowo-Wschodniej.

„Współcześnie na Ukrainie »Wołyniem« nazywany jest obwód wołyński, położony między Bugiem, Prypecią a Styrem, znacznie okrojony w stosunku do historycznej krainy i przedwojennego województwa wołyńskiego. Ten dzisiejszy ma swoje pogranicza: nadbużańskie i poleskie, oraz stolicę w starym Łucku. Zjeździłam go wzdłuż i wszerz, by dotknąć trudnej i pełnej tragicznych splotów historii oraz równie niełatwej teraźniejszości" – pisze Bryżko-Zapór.

Książkę otwiera mapa, na której zaznaczono miejscowości odwiedzone przez autorkę – osobnym kolorem wyróżnione są obszary historycznego Wołynia, województwa wołyńskiego w II RP (1923–1939), a także współczesne granice ukraińskich obwodów: wołyńskiego, rówieńskiego, lwowskiego, tarnopolskiego, żytomierskiego, winnickiego, kijowskiego i chmielnickiego.

Przyznam, że na początku lektury miałem mieszane odczucia, pierwsze rozdziały z perspektywy całej książki wydają mi się nieco słabsze, jednak z każdym kolejnym tekstem *Pogranicze wszystkiego…* przynosi coraz ciekawsze informacje, także z czasem trudno się oderwać od czytania.

Niewiele jest optymistycznych wieści dotyczących współczesnego Wołynia: wskaźnik dochodów – jak pisze autorka – jest tu jednym z najniższych w kraju. Migracja zarobkowa stała się zjawiskiem masowym. Brak rąk do pracy, bo w państwach Unii Europejskiej pracodawcy płacą lepiej. Bliskość granic z Polską i Bia-

eprasa.pl d185a8d253

łorusią rodzi pokusy przemytu (głównie papierosów bez akcyzy, ale też bursztynu). Korupcja i nepotyzm. Kołchozy się rozpadły, rolnictwo w stagnacji. Ziemia leży odłogiem. Infrastruktura drogowa w kiepskim stanie. Emerytury symboliczne. Lasy eksploatowane rabunkowo (wydobycie bursztynu, torfu, wycinka drzew).

Najbardziej uprzemysłowionym miastem obwodu jest Nowowołyńsk. Ostatnio tutejsze kopalnie węgla mają kłopoty ze sprzedażą urobku, który w rezultacie zalega na hałdach.

W wielu miejscowościach pamięć o pomordowanych w czasie rzezi wołyńskiej została upamiętniona symbolicznie. W innych w ogóle nie ma pomnika, krzyża czy tablicy. W miejscowości Sokół na tabliczce u podnóża pomnika widnieje napis: „Maryjo Bogarodzico, orędowniczko pojednania polsko-ukraińskiego, módl się za nami".

Jeszcze słabsza świadomość wśród mieszkańców tych terenów panuje o zagładzie Żydów. Są chlubne wyjątki, komuś jednak zależy na upamiętnieniu pomordowanych. Niedaleko Kisielina otwarto w 2015 roku miejsce pamięci Holokaustu. Na jednej z tablic można przeczytać: „W latach 1941–44 około 900 mężczyzn, kobiet i dzieci z Kisielina i okolic zostało zabitych, bo byli Żydami. Na skutek realizowanej przez nazistowskie Niemcy polityki eksterminacji narodu żydowskiego na terenie dzisiejszej Ukrainy rozstrzelano i w pośpiechu pogrzebano ponad milion Żydów w ich rodzinnych miejscach lub w ich pobliżu. Ogółem w Holokauście zabito blisko 6 milionów Żydów w Europie".

Wołyń to najbardziej ukraińskojęzyczny obwód w kraju. „Jest jednym z najbardziej monoetnicznych regionów Ukrainy. Wojny, bratobójcze konflikty, czystki, zagłada, przesiedlenia, stalinowskie represje, emigracja – wszystko to zdziesiątkowało ludność i całkowicie zmieniło różnorodny niegdyś narodowościowy krajobraz" – pisze autorka.

W kilku rozdziałach książki Natalia Bryżko-Zapór tłumaczy zawiłości lokalnej polityki na przestrzeni dekad, wpływy oligarchów, Ukropu czy partii Swoboda. Kilka lat temu „Wołyń stał się – jak pisze – głównym teatrem walki między stronnikami Poroszenki i Kołomojskiego". Z kolei w niedawnych wyborach na Wołyniu Wołodymyr Zełenski zdobył ponad 63 procent głosów, a jego ugrupowanie 42 procent.

Reformy policji i służby zdrowia tak na Wołyniu, jak i w całej Ukrainie nie przyniosły wystarczająco satysfakcjonujących zmian. Wymiar sprawiedliwości pozostawia wiele do życzenia. Wygląda na to, że jedynie z unowocześnienia armii Ukraińcy są w miarę zadowoleni.

Arcyciekawym tematem poruszonym w książce są przedwojenne i powojenne losy Henryka Józewskiego, wojewody, który urzędował na Wołyniu w latach 1928–1938. Jak pisze autorka: „Pragnął, aby Polska była ojczyzną dla przedstawicieli wszystkich narodowości, zaś relacje polsko-ukraińskie w jego koncepcji zajmowały szczególne miejsce. Ich podsta-

eprasa.pl d185a8d253

wą była idea prometeizmu, w myśl której należało wspierać niepodległościowe dążenia narodów, po przewrocie bolszewickim i wojnie domowej w Rosji, pozostających w granicach ZSRR. Chodziło o rozsadzenie w ten sposób komunistycznego imperium od środka. Kluczowym dla tej sprawy zadaniem było propagowanie idei utworzenia ukraińskiego państwa na terenie Ukrainy sowieckiej. Dlatego Józewski programowo dążył do porozumienia polsko-ukraińskiego. Wspierał działających na Wołyniu petlurowców. Sam Wołyń natomiast widział jako pogranicze II Rzeczypospolitej oparte na zasadzie tolerancji religijnej i narodowej".

Józewski to nie jedyna interesująca postać Wołynia, którą autorka przypomina, pisze także między innymi o działaczu Wacławie Lipińskim (Wieczesławie Łypynskim), niemieckim inżynierze Hermannie Gräbe czy pisarzu Józefie Łobodowskim.

Grzegorz Nurek

Z fantazją w kuchni i w życiu



Michael Žantovský, *Havel od kuchni*, tłum. Andrzej S. Jagodziński, Wydawnictwo Afera, Wrocław 2020

Jak się można domyślić, choć *Havel od kuchni* to zbiór przepisów kulinarnych, nie jest tak naprawdę książką kucharską. Czym więc jest?

Na pierwszy trop naprowadza nas już we wstępie autor Michael Žantovský: „Gotowanie z Václavem Havlem to świetny sposób poznawania jego czasów, życia i sposobu myślenia". Dla starszego pokolenia lektura ta oznacza więc sentymentalną podróż do czasów, gdy kuchenne poczynania ze względu na niedobór towarów na sklepowych półkach wymagały dużo większej fantazji. Dla młodszego – wyprawę do świata, jaki znają tylko z opowieści. Światu temu obce są też jeszcze wszelkie koncepcje zdrowego odżywiania, dlatego specjały Havla, na ogół mięsne, ociekają tłuszczem i toną w śmietanie. I choć autor uwspółcześnił nieco havlowską książkę kucharską, wprowadzając do niej także coś dla wegetarian i amatorów sałatek, dominuje styl „czeski, prosty i ludowy".

To po pierwsze, a po drugie: z tego zbioru przepisów, hojnie okraszonego anegdotami, wyłania się cenny portret samego Václava Havla. O czym zresztą Žantovský wspomina: „W kuchni pozostawał wierny wartościom, na jakich opierało się jego działanie w innych obszarach. Być osobą autentyczną, naturalną i niczego nie udawać". Dlatego roi się tu od tworów fantazyjnych i dziwnych, odważnych kulinarnych połączeń, niekiedy stworzonych przez samego Havla, a niekiedy zaczerpniętych z jego twórczości. I nawet czeska klasyka w jego wersji zawsze jest nieco „podkręcona". Byłego prezydenta poznajemy też przez wspomniane anegdoty, nierzadko uszczypliwe, ale nigdy nie pozbawione pewnej czułości.

eprasa.pl d185a8d253

Po trzecie wreszcie: ta książka to też pretekst, by opowiedzieć o latach, które, choć niełatwe, przy odrobinie humoru i fantazji (nie tylko tej kulinarnej) bywały do zniesienia. Bo czy w innych warunkach, w innych czasach grupce pozytywnych szaleńców z Havlem na czele przyszłoby na myśl, by odtworzyć hrabalowski przepis na faszerowanego wielbłąda z *Obsługiwałem angielskiego króla*?

Anna Maślanka

Lektura do kawy



Božidar Jezernik, *Kawa*, tłum. Joanna Pomorska, wyd. 2, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2021

Lapidarnie zatytułowana *Kawa* Božidara Jezernika to w istocie podróż przez pięćset lat historii. Historii nie tylko samej rośliny i czarnego napoju pobudzającego zmysły, ale także przez dzieje myśli religijnej, politycznej i społecznej, która w pewnych aspektach łączyła się nierozerwalnie właśnie z kawą oraz kawiarniami. Wydana przez Wydawnictwo Czarne *Kawa* prowadzi nas od Arabii, przez Turcję, poszczególne kraje europejskie, Amerykę Południową, Stany Zjednoczone, aż do malutkiej Słowenii. Pochodzący z tego nadadriatyckiego kraju autor przyznaje, że w jego ojczyźnie kawa do dzisiaj traktowana jest jak przybysz i intruz, nie zadomowiła się w codzienności Słoweńców, tak jak miało to miejsce chociażby u Włochów. Nie przeszkadza to jednak, by Jezernik przedstawił kompleksowe dzieje kawy, jej eksportu, wędrówki przez granice i morza, tworzenia plantacji, etymologii jej nazwy w różnych językach czy licznych problemów z prawem, które kawa przysparzała swoim miłośnikom. Każde zdanie wypełnione jest sporą dawką faktów napisanych wręcz w encyklopedyczny czasami sposób, co powoduje, że należy się naprawdę dobrze skupić przy lekturze.

Większość z nas kawę pije przynajmniej raz dziennie, a nasza wiedza o niej wciąż pozostaje znikoma. A szkoda, bo nierzadko kawa była przyczynkiem do zmiany prawa, wywoływała kontrowersje, łamała konwenanse. Dzięki niej powstały kawiarnie, a sama kawa odegrała niebanalną rolę w dziejach świata, otworzyła drzwi na salony kobietom w niektórych europejskich krajach. Przemycana pomiędzy lądami, próbowała zakorzenić się na nowych kontynentach. Na niektórych – jak na przykład w Ameryce Południowej, zwłaszcza w Brazylii – z oszałamiającym sukcesem (co ma znaczący wymiar finansowy, także współcześnie).

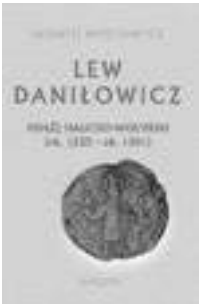
Dzisiaj, kiedy picie kawy w kawiarni jest czymś powszednim na całym świecie, dziwić może fakt, że w Arabii przez jakiś czas za jej spożywanie groziła kara śmierci, w Niemczech nawoływano do picia rodzimego piwa, gdyż kupując kawę, pieniądze zamiast do krajowej kasy odpływały za ocean, a w angielskich kawiarniach jeszcze w XVII wieku odbywał

eprasa.pl d185a8d253

się handel ludźmi. Jezernik ma dla swoich czytelników bogactwo historii, anegdotek, analiz i ciekawostek dotyczących tytułowego napoju. Niektóre tak mocne i uderzające jak najsilniejsza kawa.

Katarzyna Rodacka

Książę Lew



Leontij Wojtowycz, *Lew Daniłowicz. Książę halicko-wołyński (ok. 1225–ok. 1301)*, Avalon, Kraków 2020

W ostatnich dwóch dekadach obrodziło na polskim rynku biografiami trzynastowiecznych książąt. Opisano już wszystkich najważniejszych i bodaj połowę dzielnicowego planktonu. Poziom prac jest mocno zróżnicowany. Obok świetnych opracowań mamy książki zupełnie niepotrzebne. Coś, co dałoby się zapisać na kilkunastu stronach, naukowcy rozciągają na ponad sto, bo doktorat, habilitacja, punkty i tego rodzaju argumenty.

Powiewem świeżości jest napisana przez Leontija Wojtowycza biografia Lwa Daniłowicza. Wprawdzie to ruski władca, ale był zarazem najważniejszym trzynastowiecznym niepolskim księciem w polskiej historii. Z Piastami łączyły go więzy krwi i powinowactwa, mieszał się w ich spory, a w 1280 roku podjął nieudaną próbę zajęcia dzielnic krakowskiej i sandomierskiej. Jednocześnie władał terenami, które w kolejnym stuleciu znalazły się w granicach Królestwa Polskiego. Należały do niego między innymi Halicz i Przemyśl, opanował ziemię lubelską, to od imienia księcia pochodzi nazwa miasta Lwów, a – jak przekonuje Wojtowycz – był również jego założycielem.

Trudno wskazać badacza, który byłby bardziej kompetentny, by napisać biografię Lwa Daniłowicza. Leontij Wojtowycz, ukraiński historyk, cieszy się zasłużonym autorytetem jako specjalista w zakresie dziejów średniowiecznej Rusi i genealogii dynastycznej. Książka poświęcona Lwu ukazała się na Ukrainie po raz pierwszy w 2012 roku w wersji skróconej, po raz drugi w 2014 roku w wersji rozszerzonej, która została przetłumaczona na język polski. Pod względem formalnym jest to typowa naukowa książka historyczna: nabita faktami, wymagająca od czytelnika sporego skupienia, surowa stylistycznie (przynajmniej w polskim tłumaczeniu), ale z kilku powodów warto zwrócić na nią uwagę.

Przede wszystkim można zobaczyć państwo halicko-wołyńskie w szerszej perspektywie. Ze wschodu czuło oddech Złotej Ordy, na północy od czasu do czasu wdawało się w wymianę ciosów z Litwinami, ale jednocześnie Lew utrzymywał ożywione kontakty z Polską, Węgrami (ożenił się z węgierską królewną) i Czechami (bywał w Brnie i Opawie), a jego brat był bliski przejęcia rządów w Austrii.

Leontij Wojtowycz lubi bohatera swojej książki, polemizuje z tezami historiografii ukraińskiej i rosyjskiej, w której często „powtarza się negatywna al-

eprasa.pl d185a8d253

bo lekceważąca charakterystyka księcia Lwa". W polskich publikacjach Lew jest niejednoznaczną postacią. Z jednej strony w 1259 roku brał udział w mongolskim najeździe na Polskę, a w 1280 roku wspierany przez ordyńców ruszył z zamiarem zdobycia Krakowa. Z drugiej strony politycznie związał się z Władysławem Łokietkiem, którego nasi historycy darzą zwykle większą estymą niż innych dzielnicowych książąt. Tymczasem w książce Wojtowycza to Lew Daniłowicz jest tym „dobrym". Ciekawe i pouczające doświadczenie, które może pomóc patrzeć na dawne epoki bez bagażu narodowych uprzedzeń.

Warsztatowo jest to bardzo dobra książka, dość powiedzieć, że sama bibliografia rozciąga się na ponad pięćdziesiąt stron. We wstępie do polskiego wydania Dariusz Dąbrowski, znawca dziejów średniowiecznej Rusi, wskazuje kilka tez autora, z którymi się nie zgadza, ale zastrzega, że „są to generalnie drobne problemy z zakresu faktografii". Można tu jeszcze dorzucić uwagę, że w świetle nowszych badań Wacław II koronował się na króla Polski we wrześniu, a nie w sierpniu 1300 roku. Zabrakło w książce też wzmianki o jedynym znanym zwolenniku Lwa z czasów starań o władzę w ziemi krakowskiej i sandomierskiej – był nim Niemsta, syn Krzywosąda, który został za to pozbawiony wsi Beszyce (obecnie gmina Koprzywnica). Jeżeli w przypadku liczącej ponad trzysta stron książki są to najpoważniejsze uwagi merytoryczne, można być spokojnym o jej poziom naukowy.

Na polskim rynku ukazało się sporo prac na temat państwa halicko-włodzimierskiego. W ciągu ostatniej dekady są to trzy książki o ojcu Lwa, królu Danielu Romanowiczu (dwie autorstwa Dariusza Dąbrowskiego i jedna Mariusza Bartnickiego), i kolejna o babce, księżnej Eufrozynie, pióra Aleksandra Majorowa. Prozopografię elit ziemi halickiej i wołyńskiej opracował Adrian Jusupović, a polityce zagranicznej w latach 1198–1264 poświęcił monografię Witalij Nagirnyj (Vitaliy Nagirnyy). Wydano w oryginale i polskim tłumaczeniu *Kronikę halicko-wołyńską*, podstawowe źródło dla dziejów tamtych ziem w XIII wieku. Może więc już nadszedł czas, by napisać po polsku syntezę państwa halicko-wołyńskiego? Ale nie taką syntezę na doktorat, habilitację czy punkty, ale autorską opowieść, łączącą w sobie walory literackie i naukowe. Nie wątpię, że w pracach nad nią nieocenioną pomoc stanowić będzie recenzowana biografia Lwa Daniłowicza.

Michael Morys-Twarowski

Car dobry, tylko bojarzy źli



Barbara Włodarczyk, *Szalona miłość. Chcę takiego jak Putin. Reportaże z Rosji*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2021

Gdy czytam reportaże Barbary Włodarczyk, przed oczami stają mi jak żywe sceny sfilmowane

eprasa.pl d185a8d253

przez jej operatora, słyszę charakterystyczny tembr głosu reporterki, powracają w pamięci twarze jej rozmówców. Kilka z reportaży miałem szczęście oglądać w TVP, zanim ich wierny zapis w postaci książki do mnie trafił.

To drugi tom reportaży o Rosji znanej dokumentalistki i dziennikarki telewizyjnej. Osiem lat po publikacji *Nie ma jednej Rosji* w Wydawnictwie Literackim ukazała się książka poświęcona Putinowi (*Szalona miłość. Chcę takiego jak Putin. Reportaże z Rosji*). Pozwala ona zrozumieć fascynację Putinem wielu, szczególnie starszych wiekiem Rosjan. W Polsce, gdyby przeprowadzić badania opinii, zapewne większość uznałaby prezydenta Rosji za skończonego łajdaka, cynika, a może, jak ostatnio powiedział Joe Biden, mordercę. Co widzą we Władimirze Putinie rodacy? Nie sposób uogólniać. Zwolennicy Aleksieja Nawalnego mają Putina za złodzieja, oszusta i dawno skompromitowanego polityka. Podczas manifestacji wznoszą okrzyki „Rosja bez Putina!", „Putin won!".

Jednocześnie wystarczy zerknąć na sondaże poparcia. Po aneksji Krymu rosyjskiego prezydenta popierało 88 procent rodaków. Tuż po otruciu Nawalnego badania przeprowadziło Centrum im. Lewady. Putina popierało wciąż niemało, bo 66 procent Rosjan. Jeśli traci sympatię w którejś z grup społecznych, to głównie wśród młodych.

Barbara Włodarczyk próbuje zrozumieć, dlaczego mimo braku demokracji, stosowania represji politycznych i ubożenia znacznej części społeczeństwa Putin cieszy się wciąż tak dużym poparciem. „Żeby zobaczyć, jak to jest naprawdę z tą miłością, przejechałam tysiące kilometrów. Od Moskwy po daleką Syberię" – pisze dziennikarka. „Na fotografiach z końca 1999 roku, kiedy to prezydent Jelcyn wyznaczył go na następcę, miał zmarszczki na czole, wory pod oczami i pociągłą twarz. A nie okrągłą i gładką jak dziś. Gdyby wtedy ktoś mi powiedział, że ten niepozorny łysiejący mężczyzna stanie się wzorem męskości dla milionów Rosjanek, popukałabym się w czoło" – zaznacza na wstępie Włodarczyk. „Rosjanie są gotowi wybaczyć swemu prezydentowi bardzo wiele. To nie on jest winien, tylko jego otoczenie…" – pisze dalej autorka. Słynne rosyjskie powiedzenie brzmi jak mantra: „Car dobry, tylko bojarzy źli".

W każdym z regionów Rosji działają aktywiści Sieci, młodzieżowej proputinowskiej organizacji. Projektują i noszą koszulki z wizerunkami prezydenta, uczestniczą w wiecach poparcia, pieją peany na temat Putina w mediach społecznościowych. W trakcie konferencji prasowych organizowanych przez prezydenta reżimowe dziennikarki prześcigają się w mówieniu komplementów pod jego adresem. Staruszki z nabożeństwem wpatrujące się w ekrany telewizorów od Krymu aż po Syberię wychwalają silnego i „przystojnego" wodza. „Putin gra na pianinie, Putin śpiewa (i to po angielsku!). Putin jeździ na harleyach, Putin siedzi za sterami myśliwca, Putin opuszcza się

eprasa.pl d185a8d253

w batyskafie na dno Bajkału, Putin łowi dwudziestojednokilogramowego szczupaka i całuje go w pyszczek". *Show* pokazują wszystkie rosyjskie stacje telewizyjne. „Rosja wstaje z kolan" – często słyszy od napotkanych Rosjan reporterka.

Za tytuł książki Włodarczyk posłużyły słowa popularnej piosenki autorstwa Aleksandra Jelina. Zwrotka „Chcę takiego jak Putin" brzmi: „Chcę takiego jak Putin, pełnego sił. Chcę takiego jak Putin, żeby nie pił. Takiego jak Putin, żeby nie krzywdził. Takiego jak Putin, żeby nie porzucił". Autor tekstu zaklina, że piosenka jest żartem, prosi, żeby nie traktować jej poważnie.

Gdy Włodarczyk pyta Rosjan o prezydenta, słyszy: „Do niego się już przyzwyczailiśmy", „Nie ma go kim zastąpić", „Nie chcemy więcej żadnych rewolucji. Mieliśmy już kilka i wszystkie źle się dla nas kończyły", „Mamy centralne ogrzewanie, zimną i gorącą wodę. Nawet internet! To wszystko dostaliśmy za Putina", „Jak był Jelcyn, to nie dostawaliśmy emerytur po trzy miesiące. A za Putina płacą nam o czasie".

Po referendum, które, jak głoszą władze, poparło aż 73 procent Rosjan, Putin będzie mógł rządzić do 2036 roku, czyli przez kolejne piętnaście lat. W 2036 roku będzie mieć osiemdziesiąt dwa lata.

Życie jest nieprzewidywalne, więc trudno z całą pewnością zakładać, że Rosję czekają jeszcze długie lata jego rządów. Pewne jest jedno, dobrowolnie władzy nie odda. Na razie protesty przeciw jego rządom, nawet jeśli obejmują sto miast i bierze w nich udział tysiące Rosjan, są brutalnie tłumione i nie przeradzają się w rewolucję. Funkcjonariusze OMON-u używają paralizatorów, aresztuje się coraz więcej uczestników manifestacji. Kary są coraz bardziej drakońskie, mają wzbudzać strach. Pod byle pretekstem, nawet po sfingowanym procesie można trafić na kilka lat do łagru. Władze szykują cenzurę w internecie.

Czy Barbara Włodarczyk dostrzega, że nie wszyscy kochają Putina? Tak, opisuje także protesty w Moskwie z 2011 i 2012 roku, które relacjonowała dla telewizji. Wielokrotnie pisze o Nawalnym i jego zwolennikach.

Bardzo trafnie aktualną sytuację w Rosji zdiagnozował jeden z rozmówców reportażystki: „Putin mówi to, co ludzie chcą usłyszeć. Bo większości z nas podoba się imperialny ton. Na zasadzie: ale im pokazaliśmy! Odegraliśmy się! Wzięliśmy rewanż za to, że nas poniżano. Poza tym ludzie obwiniają za wszystkie problemy rząd, a nie prezydenta. Car jest dobry, tylko bojarzy źli".

Równie smutna jest konstatacja Lwa Gudkowa z Centrum im. Lewady: „Związek Radziecki umarł, ale człowiek radziecki żyje. To typ człowieka, który przystosował się do życia w represyjnym państwie. Dlatego nie walczy o swoje prawa, swoją wolność i swoje interesy".

Czytajcie reportaże Barbary Włodarczyk. Umiejętnie przepytuje Rosjan. A to, co od nich słyszy, jest niekiedy straszne.

Grzegorz Nurek

eprasa.pl d185a8d253

Białoruś inaczej



„Herito" 2021, nr 41

Najnowszy numer kwartalnika „Herito" poświecono Białorusi. Redaktorom i redaktorkom periodyku udało się to, co nie udaje się polskim mediom codziennym, a to właśnie z nich większość z nas czerpie informacje. Otóż opowiedzieli o prawdziwej Białorusi.

Wiedza na temat Białorusi jest w Polsce znikoma albo żadna. Słuchając wypowiedzi polityków, działaczy kultury lub cytowanych w przestrzeni publicznej słów „zwykłych obywateli", aż trudno uwierzyć, że tak niewiele mamy do powiedzenia na temat państwa, z którym sąsiadujemy. Było to przyczyną wielkiego żalu, jaki towarzyszył Tadeuszowi Konwickiemu, reżyserowi i pisarzowi urodzonemu w Nowej Wilejce. Konwicki mawiał, że recepcja białoruskiej kultury jest w Polsce praktycznie żadna. Podobna do recepcji lodówek Mińsk. A jak wiadomo lodówki te (kiedyś obecne w prawie każdej kuchni) dawno wyparły już zachodnie firmy.

Jeśli w mediach pojawiają się teksty na temat Białorusi, padają w nich obowiązkowe słowa: dyktator, ospały naród, dominacja Rosji. Bez tego kontekstu o Białorusi się nie pisze. O białoruskiej kulturze nie piszemy prawie wcale (jeśli tak, to wspomina się ją podczas niszowych festiwali). Białoruscy prozaicy i poeci są znani i tłumaczeni na Zachodzie. Wiele polskich środowisk intelektualnych nawet nie ma świadomości ich istnienia. Może dopiero gdy zachwyci się nimi Londyn czy Sztokholm, ktoś przetłumaczy ich twórczość na język polski.

We wspomnianym numerze „Herito" znalazły się teksty autorów polskich i białoruskich.

Esej Walancina Akudowicza, białoruskiego filozofa i publicysty mówi o współczesnej Białorusi więcej niż niejedna analiza politologiczna. Akudowicz tłumaczy mentalność i sposób zachowania naszych wschodnich sąsiadów. Wymowny tytuł *Apokalipsa, której nie było* nawiązuje do postawy białoruskiego społeczeństwa. W swojej historii doświadczyło ono już tak wielu traum i niepowodzeń, że jest w stanie przetrwać kolejne cierpienia. Przetrwać i iść dalej. Białorusini to bowiem ludzie zdolni do przeżywania katastrof i co ważniejsze – ich zapominania.

Podczas ostatnich protestów (lato–jesień ubiegłego roku) w debacie na temat Białorusi często pojawiał się wątek kobiecy. „Białoruś jest kobietą", „Rewolucja kobiet" – informowała prasa. Dziennikarze ekscytowali się, że „nieobecne w dyskursie publicznym" kobiety nagle zaczęły brać czynny udział w wydarzeniach politycznych. Nikt nie zadawał sobie pytań, do czego sprowadza się rola kobiet w białoruskiej rewolucji. I czy jeśli w kraju rzeczywiście dokonałyby się zmiany polityczne, to czy mogłyby w jakikolwiek sposób polepszyć ich sytuację. Irina Sołomatina – dziennikarka zajmująca się feminizmem, przewodnicząca Rady Białoruskiej Organizacji Pracujących Kobiet,

eprasa.pl d185a8d253

założycielka projektu Gender Route – pisze o roli kobiet na Białorusi w sposób niezafałszowany. Zachodnie media, zachwycone „kobiecą rewolucją", informowały, że kobiety walczą „w imię siedzących w więzieniu mężczyzn". Są dzielne: stają twarzą w twarz z OMON-em, nie załamują się nawet w więzieniach. Mało który publicysta zwrócił uwagę na prawa kobiet na Białorusi (i szerzej: w krajach poradzieckich). Niestety, kobiety były jedynie „ozdobami" rewolucji. Miały ładnie wyglądać. Być łagodne. Maszerować z białymi kwiatami i śpiewać kołysanki. Ich rola w społeczeństwie (do bólu patriarchalnym) w ogóle nie stała się przedmiotem debaty. Media potraktowały kobiety tak, jak traktuje je Łukaszenka. A zdaniem dyktatora „kobiety są przeznaczone do upiększania świata, rodziny, parlamentu".

Sołomatina pisze:

> Te protesty nie były sterowane i planowane, dlatego ta sytuacja miała swoje mocne i słabe strony. Wydarzenia ostatnich miesięcy pokazują jednak, że i taka formuła wyczerpuje się z czasem.
>
> Pytanie o to, jakie możliwości mają kobiety we współczesnej Białorusi, by wypracować własne cele i program, przedstawić je publicznie i zostać uznanymi za pełnoprawny podmiot politycznego przejścia w stronę upragnionej transformacji demokratycznej, pozostaje bez odpowiedzi.

W kwartalniku nie zabrakło tekstów o tematyce politycznej, historycznej, kulturalnej i społecznej. Hienadź Sahanowicz napisał o wizji dziejów Białorusi stworzonej na potrzeby reżimu, Stsiapan Stureika, prezes Białoruskiego Komitetu Międzynarodowej Rady Ochrony Zabytków ICOMOS, opowiada w wywiadzie o trudnej roli godzenia różnych epok i narracji historycznych we współczesnej Białorusi.

Najnowszy numer „Herito" jest wart polecenia nie tylko specjalistom zajmującym się Europą Wschodnią. Powinni po niego sięgnąć wszyscy interesujący się literaturą, kulturą, sztuką i historią. Białoruś jest nam bowiem kulturowo i historycznie bardzo bliska. Szkoda, że tego nie rozumiemy, a wielu z nas zwyczajnie nie jest tego świadoma.

Małgorzata Nocuń

Piękno tkwi w twoim wnętrzu



Petra Hůlova, *Krótka historia Ruchu*, tłum. Julia Różewicz, Wydawnictwo Afera, Wrocław 2021

Powieść Petry Hůlovej *Krótka historia Ruchu*, wydaną w przekładzie Julii Różewicz przez wrocławskie Wydawnictwo Afera, daje się streścić w pytaniu: czy świat bez patriarchatu jest możliwy? Czeska pisarka nie daje prostej odpowiedzi. Z jednej strony tworzy w swojej książce utopię, w której kobiety – wiedzione „rewolucyjną" ideą wyzwolenia spod jarzma estetyki, młodości i wizual-

eprasa.pl d185a8d253

ności – przejmują władzę nad światem, z drugiej ukazuje na wskroś dystopijne funkcjonowanie fikcyjnej feministycznej Instytucji, która metodami przypominającymi działania władz totalitarnych wprowadza nowy ład.

Główną bohaterką i narratorką *Krótkiej historii Ruchu* – piątej powieści Hůlovej przełożonej na język polski – jest Věra, która przed nastaniem władzy kobiet, w okresie zwanym ciemnoczasem, pracowała dla firmy Pornjoy zajmującej się erotycznymi gadżetami, tam malowała ciała i półkorpusy sztucznych kobiet. Wówczas doświadczyła czegoś w rodzaju olśnienia: „jasno jak nigdy dotąd ujrzałam mężczyzn, którzy widzą tylko ciało, kobietę – reklamówkę z zawartością bez znaczenia". To doświadczenie sprawiło, że wstąpiła do Instytucji, stając się oddaną idei, przykładną, ambitną pracownicą, w wolnych chwilach spisującą swoje „memuary", tytułową historię Ruchu.

Idea, w którą wierzy Věra, jest stosunkowo naiwna. Oto świat, wspomniany ciemnoczas, dominują w nim mężczyźni, dla których ważniejszy jest „kształt", nie „istota rzeczy". Wraz z nastaniem jasnoczasu powołana zostaje Instytucja, która ma za zadanie przemienić społeczeństwo, a przede wszystkim mężczyzn – postrzegających kobiety jako obiekty wizualne: „oto ciemnoczas w gorzkiej pigułce, którą ssano całe wieki: kobiety wyglądały, a mężczyźni robili i byli". Věra, wstępując do Instytucji, zaczyna pracować jako terapeutka: zajmuje się przewiezionymi prosto z ulicy, skierowanymi przez żony lub rodziny do ośrodka mężczyznami. Jej praca polega na zmianie, a ostatecznie zniwelowaniu ich seksualnych pragnień – za pomocą wykładów, terapii, medykamentów i elektrowstrząsów: „o ile pierwsza faza resocjalizacji polega na zerwaniu dawnego związku między męskim pożądaniem a młodością kobiecego ciała, i w tej fazie obowiązkowa jest masturbacja przy plakatach dojrzałych modelek, o tyle od chwili, kiedy klient już to potrafi, dążymy do całkowitej eliminacji pożądania samego ciała". Powodzenie terapii wiąże się więc ze sprowadzeniem ciała do roli mięsa (skądinąd oddział Instytucji, w której pracuje Věra, znajduje się w miejscu dawnych Zakładów Przetwórstwa Mięsa), nad którym resocjalizowani mają sprawować pełną kontrolę. I tak też kończy się powieść – opisem pokazu, w którym mężczyźni poddani są ostatecznemu testowi: jeżeli nie podniecą się na widok krążących między nimi nagich młodych kobiet – tak zwanych „realek" wynajętych na tę okazję – zostają uznani za zresocjalizowanych i powracają do społeczeństwa.

Jednym z najciekawszych elementów *Krótkiej historii Ruchu* Petry Hůlovej jest właśnie konstrukcja postaci. Trudno bowiem powiedzieć, czy Ruch ufundowany jest na tak naiwnych koncepcjach, czy to raczej zawężona, uproszczona, sprowadzona do potrzebnego minimum wizja rewolucji, ale też i świata, jaką stworzyła dla siebie bohaterka powieści. Bohaterka, która – należy to podkreślić i o czym przypomina jej nieustannie matka – jest

eprasa.pl d185a8d253

pracującą bez wytchnienia i za „marną pensję" urzędniczką, opuszczającą mury siedziby Instytucji tylko po to, żeby trafić do innej siedziby, widzącą świat jedynie przez okienko wycięte „laserem w karoserii dawnej ciężarówki". Jak sama przyznaje, te opisy jasnoczasu mają „znaczenie czysto orientacyjne (…). Ale lepsze to niż nic, a ogląd orientacyjny jest czymś więcej niż brakiem oglądu, i niniejszym postanawiam chwytać się tej maksymy jak tonący brzytwy, gdy przyjdzie mi tonąć w zwątpieniu".

Krótka historia Ruchu jest trzecią – po *Macosze* i *Plastikowym M3, czyli czeskiej pornografii* – książką Petry Hůlovej przetłumaczoną przez Julię Różewicz. Przekład oddaje w sposób doskonały stylistyczną rozpiętość języka używanego przez pisarkę: od biurokratycznej czy wręcz korporacyjnej nowomowy, przez pornograficzne opisy kolejnych faz terapii, po nieliczne poetyckie fragmenty lub kolokwialne wstawki („niby majestatyczna willa magnata, a dojazd do niej dziadowski, że łeb gałęzią urywa", „co się mizdrzysz sztucznym ryłem?"). Na odrębną uwagę zasługuje wyobraźnia słowotwórcza polskiej tłumaczki, kreowane przez nią słowa lub wyrażenia – „kocowa okutaność", „dyrdygadka", „guczołowaty", „mizerotka" – potwierdzają tylko wyczucie translatorskie. Z wyjątkiem kilku niezborności lub wątpliwych jakościowo rozwiązań – „kilka stacji nakręciło jej łzy", „uprawiam słowną żonglerkę na jej zaminowanym stereotypami polu widzenia", „siklawa krwi" – tłumaczenie przygotowane przez Julię Różewicz należy uznać za wszech miar udane.

Powieść Petry Hůlovej można określić jako feministyczną fantazję na temat świata, nad którym władzę (wreszcie?) zaczyna sprawować matriarchat – stanowiący w ujęciu czeskiej pisarki proste odzwierciedlenie patriarchatu. Proste nie znaczy jednak w tym przypadku niedomagające się refleksji. *Krótka historia Ruchu* jest bowiem nie tylko książką poświęconą wizualnej fiksacji zachodniego społeczeństwa (dotyczącej między innymi prymatu wewnętrzności nad zewnętrznością), ale i funkcjonowaniu maszyny totalitarnej (jak przyznaje w pewnym momencie Věra: gest powitalny ruchu ma w sobie „coś z hajlowania"). To historia krytycznej idei, która przemienia się w historię idei w sposób krytyczny uproszczonej i wypaczonej. To wreszcie opowieść o ciele poddawanym represji, stającym się niczym więcej jak mięsem. Powieść, którą należy czytać.

Maciej Topolski

eprasa.pl d185a8d253

REKLAMA



DEMOKRATYCZNA OPOZYCJA NA BIAŁORUSI

Staraniem Biura Parlamentu Europejskiego we Wrocławiu z pomocą Urzędu Miejskiego Wrocławia, na znak solidarności z Białorusią, powstał mural upamiętniający Nagrodę Sacharowa Parlamentu Europejskiego dla białoruskiej opozycji demokratycznej. Malowidło według projektu białoruskiej artystki Anny Redko można podziwiać we Wrocławiu przy ulicy Legnickiej 64.

Wrocław miasto spotkań

eprasa.pl d185a3d253

W numerze między innymi:

Monika Andruszewska (z cyklu „Reporterzy na Wschodzie"): W styczniu 2015 roku, w czasie walk o lotnisko w Doniecku, pojechałam do pobliskiej miejscowości Piski. To było pierwsze ciężkie przeżycie. Czasem ostrzał artyleryjski był tak intensywny, że wychodziliśmy do toalety raz dziennie, a przed tym się żegnaliśmy – niby dla żartu, ale w każdej chwili można było zginąć.

Na pytanie, czy bohaterki jej prozy są jej *alter ego*, Tania Malarczuk odpowiada, że pisanie od zawsze było dla niej sposobem na przeżywanie wydarzeń i emocji, których nie mogła doświadczyć. Jako mała dziewczynka niezbyt rozumiała zależności między swoim życiem a literaturą. Po prostu pisała – portret Tani Malarczuk kreśli **Anna Łazar**.

Miłosz Szymański: Państwowy program odstrzału zwierząt już nie funkcjonuje, ale istnieje jeszcze inicjatywa prywatna. Ofiarą tego procederu jest suczka, której daliśmy na imię Utka (z rosyjskiego kaczka). Strzelano do niej jak do kaczki. Na zdjęciu rentgenowskim widniała pokiereszowana miednica i połamane nogi. Poza tym prześwietlenie ujawniło w jej ciele coś jeszcze – dwadzieścia dwa pociski śrutowe od wiatrówki.

20 LAT
Kolegium Europy Wschodniej
im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego we Wrocławiu

eprasa.pl d185a8d253